













WYDANIE JUBILEUSZOWE

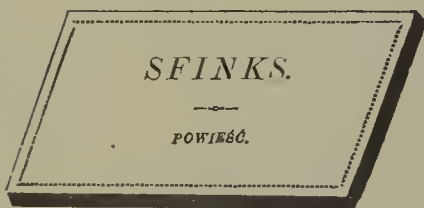
J. I. KRASZEWSKIEGO.

1875

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM X.

W ZBIORZE
PISANEGO.

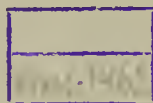
Wydawnictwo na korzyść Jubilat.

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki. Nr. 3.

1879.

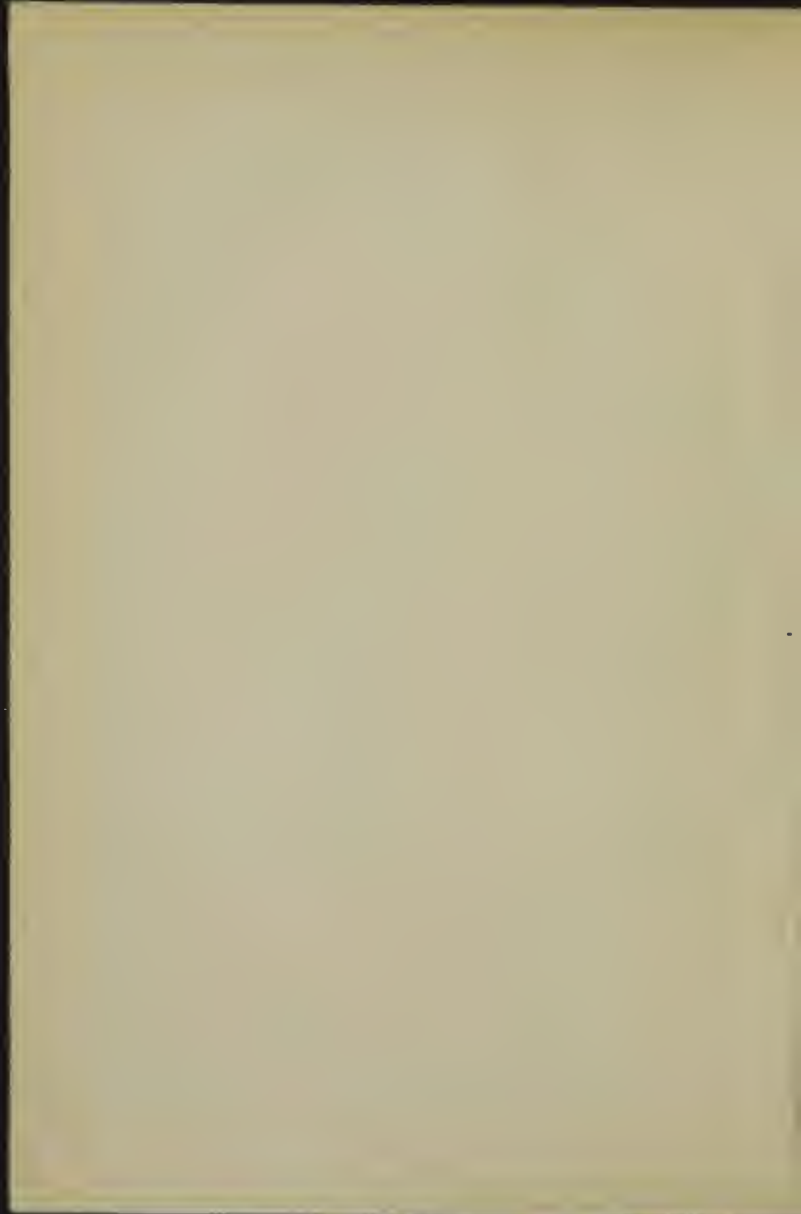


Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1877 г.



10.102 1.15

S F I N K S.



Na ludziach, co świat jeszcze kochają, co młodzi sercem tak dalece, że wszystko żywe i wesole kolacze im do serca i głowę zawraca,—klasztór ze swemi cicheni nury, ciemneni okopciałemi sklepieniami i przerywaném tylko powolnemi kroki człowieka lub zegaru ułeczeniem, robi ściskające, smutne wrażenie, takie właśnie, jakie na ich czole czyni chłód zimnego sklepu. Radzi są co najprędzój wyniść z niego na świeże powietrze, do ruchu, do tłumu i wrzawy, jakby się obawiali, aby kamienna trumna umarłych dla świata nie zamknęła się nad nimi na zawsze, nie przytrzymała ich zimnym swym uściskiem. Lecz dla tych, co ciałem i myślą przewędrowali przez krainy wesela i młodości, ten obraz doskonałego spokoju, „pokoju, jakiego świat dać nie może”, tyle ma ponęty i uroku!

Niech co chcą piszą ludzie dumni i nową jakąś nauką pijani, oszaleni, niewidzący prawdy za zlocistemi blaskami nowości; niech wyrzekają przeciw instytucyi, której uprzedzenie pojąć im dziś nie dozwala lub wystawia fałszywie ze stanowiska na jakim stoją;—ileż to przecię zawiedzionych i utrapionych przez świat, westchnięci ku niedostającej im ciszy klasztornej! Te westchnienia daleko silniój mówią nad wszelkie rozumowania przeciwne. Samo pozornie najcięższe dla człowieka wyrzeczenie się własnej woli, jakże się sta-

je pożądaném, gdy ilekroć jój użył, zawsze go wiodła ku zgnie, gdy znużony padał, nie wiedząc co począć z sobą. Naówczas z rozkoszą wyrzekł się kierunku życiem i zdał je w ręce starszego, jako lekarza duszy; z rozkoszą oddzielił się od świata zawodów, walk, czego już dla niego na zawsze.

W wiekach wiary wszysej dzisiaj kończący smobójstwem moralném lub cielesném, których boleść npadła lub zabija, szli w zacisze klasztorne, rozdmuchać w sobie ostatnią, zawsze na dnie tlejącą isierkę religijnego uczucia, aby się ogrzać przy świętém, od niej rozniceoném ognisku. Dawniej klasztor istotnie był portem, dokąd nie zawiewały wiatry ani burze świata, gdzie słodka dla skolatanych, jednostajna ciesz, długie lata w chwilę niepostrzeżoną zmieniała. Tak go pojmiowali założyciele zakonów wielu, takim go czynić były powinny istotne potrzeby natury ludzkiej. Że mogły się klasztory stać schronieniem próżniactwa, nie przeciw ich użyteczności, jako przytulku skolatanych życiem, nie mówi. Wszystko na świecie ludzie zepsuć umieją, i wszystkiego nadużyć.

Nie wiem czemu, ja także lubię ciszę klasztorną i nie minę, gdy mogę, żadnego z tych starych mieszkań pustelniczych, nie zaczerpnąwszy w nich spokoju, jak się czerpie w cichego źródła chłodną i orzeźwiającą wodę dla ust spieczonych podróżą. Dotąd jeszcze stare nasze klasztory telną dawnym spokojem.

Lat temu kilka przejeżdżałem przez male w naszej starć, pocziwój Litwie miasteczko (nazwisko pozwoicie mi zataić, jak ja pozwałam wam je zgadywać), miasteczko, u którego przedmieścia, w pewném od wrzawy mieszczańskiej i rynkowej oddaleniu, wznoszą się białe i czerwone mury kapucyńskiego klasztoru i kościoła.

Miejsina ta zewsząd wzgórzystym i pięknym otoczona krajem, który zamyka prawie dokola widok sinych, ciemnych lasów sosnowych i jodlowych, wznosi się na dolinie opasanej gajami, dotąd niewytrzebionemi, brzoza podszytych jałowcem.

Gaje tego rodzaju widzieć można tylko na Litwie. Składają je smukłe białe brzozy, przez których przerzedzone szeregi sinieje niebo dalekie; a ciemne i pokrzywione jałowce rozścielają się u nóg, jakby broniąc przystępu. Rzadko inne drzewo zabieży od brzeźniaka, a wzrosłszy w nim, stoi z brzegu i zdaje się smutne, osamotnione, jak wśród obcych, radeby niecie, a nie może.

Miała rzeczulka, z jednej strony wijąca się po ogromnej zielonej łące tatarakami obrosłej, z drugiej tworząca staw czysty, osadzony wierzbami staremi, podchodzi prawie pod same mieszczańskie ogrody. Za rzeczką zielone uprawne wzgórki, gdzie niegdzie urozmaicają stare drzewa z wykarczowanych pozostałych lasów, grusze po miedzach stojące, oraz sosny, na których barę oparta ochroniła je od siekiery. W dolinach pomiędzy pagórkami, widać wsie szare i białe, ciemnych kościołów kopny i dzwonnice staruszek. Z drugiej strony miasteczka ogromny klasztor kapucyński, postawiony w XVII wieku, wspaniałemu muraui swemu i drewnianym krzyżom kościoła na ciemnym tle jodeł się maluje.

W tym wieku powrotem do wiary katolickiej tylu rodzin polskich od niej odpadłych wprzód, powrotu spowodowanego zarówno gorliwością Zygmunta III, wymową księdza Skargi i reakcją konieczną przeciw niestrawionym a zapalczywie przyjętym, jak pożądaną nowostką, zasadami protestanckim,—wznosiły się u nas

kościół i klasztor w większej może liczbie niż wprzód, gdy wiara jedna, niezachwiana trwała jeszcze.

Nawróceni na wiarę ojców i dziadów synowie i wnuki, śpieszyli ze wspaniałemi budowy i bogatemi dary, dowodząc swęj gorliwości ku katolicyzmowi i szczerości nawrócenia. Mnożyły się wspaniałe klasztory a szwedzki marmur — którego pobożny nżytek wskazał Zygmunt III, sprowadzając go do wileńskich kościołów — zdobił nie tylko ołtarze, ale zewnętrzne facyaty kościołów, na których wyginanych gzemсах wznosiły się kamienne kwiatów kosze i kamienni aniolowie ze złożonemi rozpiętymi skrzydły. Świecące krzyże wieńczące miedziane kopuły, strzelały nagle z głębin lasów i pustyń. Posypywano kalwaryjskie drogi ziemią umyślnie z Jerozolimy przywiezioną; chwymano święte obrazy w Rzymie (jak Sapiela kodeński), kradziono relikwie męczenników świętych, zakupowano w Augsburgu bogate trumny, srebrne sarkofagi, przepyszne monstrance od złota i drogich kamieni, zamawiano najdroższe obrazy u najslawniejszych malarzy. Domy boże jaśniały przepychem, który im ze skrucłą i pokutą ofiarowała gorliwa pobożność nowo nawróconych. Wielkie siola i włości zapisywano sługom bożym, aby się modlili o przebaczenie winy ojców i późne opamiętanie obłąkanych dzieci.

W tym to czasie wzniósł się klasztor i kościół Kapucynów, na samem wybrzeżu lasu jodeł i sosen, opodał naówczas od małej miejsciny, którą składało kilkadziesiąt mizerynych domowstw nad brzegiem błotnistęj rzeczki Bystrzyczki.

Później dopiero Bóg placąc dzieciom za ojca, zasilil miasteczko handlem. Urosło ono niespodziewanie, i jakby podziękować chciało klasztorowi, do murów

jego pokornemi przysunęło się lepianki. Do nagłego i niespodziewanego wzrostu téj dosyć od innych oddalonej i zasuniętej w lasy osady, przyczyniły się niemalo: slawa odpustów kościelnych i obrazu Św. Antoniego, który cudami począł naokolo słynać. Corocznie w czerwcu, pobożne tłumy pielgrzymów, odbywszy nowennę, zalewały miasteczko, cały prawie tydzień w niém trwając. Stary parafialny modrzewiowy kościoleczek, założony tu w XIV wieku, po przejściu parafii i *cura animarum* do zakonników, został opuszczony. Otoczyły go do kola nowe mogilki; poprawiony, podparty, później przebudowany, stał się cmentarną kapliczką, gdzie w dzień Św. Józefa odprawiało się uroczyste nabożeństwo, bo to był dawny patron parafii.

Nowe mury z całém staraniem i przepychem, na jakie tylko dawniej budując się zdobywano, wzniosły się na obszernym placu, nadanym dziedzictwem OO. Kapucynom. Nie żalowano ziemi, cegły i pracy. Ogród zarwał aż jodeł od lasu i szeroko się rozłożył po za klasztorem; cegła z gnojonej długo wypalana gliny, dźwięcząca, czerwona, w krociach tysięcy wzniosła się i wyciągnęła ogromnemi murami opasującemi nie tylko mieszkanie klasztorne, kościół, podwórzce, ale wielki i prawie wytworny ogród kapucyński, gdzie na kwiaty, drzewa, szpalery i kwatery, sadzawkę, kapliczkę, mostki i niewinne starców rozrywki, było dość miejsca. Tam widziałeś dawniej owe cyfry z bukszpanu, imię Jezusa i Maryi zielenią na piasku wypisujące, cudne kompasy na ziemi wysadzone, i tysiączne pobożne wynalazki tego rodzaju.

Fundator miał widać na myśli uprzyjemnić życie samotnikom, o ile tylko było w jego moey. Ciemne dla modlitwy i dumań szpalery lipowe, altany, w któ-

rych stały kamienne ławy, stoły i świętych posagi; osadzona olchami, na których bociany klekotały, sadzawka; sad bogaty w wyborne owoce,—bawily oko i dozwalały cieszyć się zielenią, powietrzem i szczebiotaniem ptactwa, nie patrząc na obcych ludzi i nie będąc dla nich widowiskiem. Tu mógł zachwycony lub splakany zakonnik upaść wśród przechadzki na natęhnioną modlitwę, nie wstrzymując się myślą, że ludzie obcy, ludzie tego świata, wezną uczucie jego prawdziwe, za obłudny rachunek. W owych czasach, gdy taka jeszcze mnogość protestantów kraj zalewała, zakonnik często nawet modlitwę ukrywać musiał przed światem; bo i ona mogła być powodem zgorszenia i grzechu.

W pośrodku ogrodu pagórek wyniosły, na którym przezroczystą zbudowano szopkę opartą na dębowych z kory nieodartych słupkach, dozwalał spojrzeć ztąd na cały otaczający krajobraz, który oko obejmowało, panując nad nim. Ztąd miasteczko, rzeczulka niebieska lub zlocista wedle stanu nieba, zielone łąki i sioła szarzące, i wzgórza, i ciemne lasy, i żółte pola, i ruch gościńca osłoniętego obłoczkiem kurzawy, widać było jak na dłoni. Tu nieraz najstarszy z zakonników z siwą brodą, o kiju, przychodził pograć się na słońcu, gdy cały ogród murem i szpalerami zacięziony, już w chłodzie wieczoru lub jeszcze w rosie porannej spoczywał. Tu patrząc na mogilki czarnemi i białemi krzyżykami, płowemi świeżemi grobami zasiane, modlił się o śmierć nienagłą, przytonną, na którąby się, jak podróżny na ucztę idący, mógł przygotować za wczasu i ubrać duszę w najlepsze szaty.

Bliżej klasztoru, zwrócone ku południowej stronie, zakryte od północy, sławne kapucyńskie gwoźdźdiki pełne, i białe lilie hodowane rękami starców, zakwita-

ły na pstrych grządkach, gdzie jeszcze nie było żadnego z tych nowo poznanych i polubionych u nas kwiatów obcych ziem, ale stare i z klimatem naszym już oswojone narcyzy, irysy, orliki i t. p.

Wpółród kwiecica i liścia rozsypane znaki pobożności, przypominały wszędzie modlitwę. Wysoki mur opasujący arkadami dokoła cały ogród, w kilku miejscach zdobiły kapliczki z kalwaryami i posążki Świętych. Wzniosły krzyż drewniany, pomalowany brązowo, dźwigał ramiona litości nad galezie drzew zielone. Przy nim rósł jeden z tych rzadkich, pięknych jałowców, przybierających kształt drzewa i podobnych do jodły.

Prócz zakonników i ptaszków, rzadko ciekawy przychodzień zawitał do cichego ogrodu. Tu przecież niejedno, długie nawet życie między kościołem, celą a grządką kwieciastą spłynęło; niejedno siwobrode starzec podlewał i oczyszczał posadzone jako wątłą latorośl drzewko, na którego liście poglądał niespokojnie, sądząc, że los wychowawca przepowie mu zgon blizki. Kwiaty kapucyńskie nie tylko zabawą dla nich samych, ale często wdzięczną dla sąsiadów bywały ofiarą, zwłaszcza białe, wonne lilie i przepyszne gwoździki szkarłatne.

Kościół podobny wszystkim kapucyńskim, był bardzo obszerny, trochę przyciemniony i ozdobny snycerskimi na drzewie robotami, które tu kruszce zastępowały. Wielki ołtarz, ławki i kilka mniejszych ołtarzy bocznych, wszystko z dębu wyciosane, zastanawiało delikatnością roboty i pięknym, choć w smaku XVII w. rysunkiem. Posągi kilku Świętych także były z drzewa. W środku nawy pod sklepieniem, stała jakoby w powietrzu zawieszona Kalwarya, Chrystus konający na

krzyżu, i Jan z Matką Bożą, oczynia łzawemi wpatrujący się w Zbawiciela. Za ołtarzem głównym, całkowicie w drewnianą snycerszczyznę strojnym, zamknięty chór Kapucynów zajmował obszerną salę.

Nieraz z niej dochodzące głosy pieśni poruszały przechodnia, co ukląkł na chwilę pomodlić się w kościele. Na sklepieniach kilka obrazów z życia Matki Bożej, wprawną ręką Dankerts'a malowanych, zachwycało kolorytem i wielką rysunku śmiałością. W pośrodku na kopule było Wniebowzięcie wyrażające chwałę Maryi i chwałę kościoła, którego ona według wielu tłómaczów była figurą. Ciemny kościół, od ozdób drewnianych przyciemniony bardziej jeszcze, czysty i utrzymany starannie przez rok cały, ukazywał się w chwale, blasku i wdzięku, gdy jedno z wielkich świat obchodzonych tu z przepychem, na jaki ubodzy żebracy Chrystusowi zebrać się mogli—nadeszło. Na Św. Antoni, Św. Franciszek, Poreyunkule, Zielone Święta zwłaszcza i Boże Ciało, wszystko tu okrywało się zielenią i kwiatami. Od posadzki kamiennój, potrząśnionej tatarakiem i jedlinką siekaną, do najukrytszych ołtarzy, wszędzie błyszczały kwiaty i szemrały liście. Pilastry nawet ostawiano jedliną, a w wielkim ołtarzu potężne wazony, bukiety rozkwitłe, błyszczały razem z mnóstwem świec jarzących. Ta zieloność i kwiecistość świętego miejsca, nadawała mu nowy i nieopisany wdzięk. Z pośrodku gałęzi gdzie niegdzie na murze wyglądał stary wyszezerbiony grobowiec, z herby rytymi na kamieniu, znikłemi postaciami rycerzy nieulekniomych i niewiast pobożnych a mężnych.

Na posadzce kamiennój, niedaleko wnijsia do podziemnych sklepień grobowych, oznaczonego dwoma żelaznemi kółkami, leżało wieko marmurowe założyciela,

skromne i unyśluic z pokorą rzucone pod nogi pobożnych. Tu żadnego znaku, żadnego herbu, co by wysokie urodzenie i piastowane przypominało godności—kilka tylko wierszy proszących o modlitwę za grzesznika.

Znacznie później na facyacie kościoła położono czarny marmur z długim napisem pochwalnym, na który wysiliła się wdzięczność zakonników. Tam żony, dzieci, starostwa, komissye graniczne i poselstwa na sejmy założyciela obszernie i skrupulatnie wyliczone zostały, enoty uwielbione wymownie. Wśród innych grobowców, uderzało mauzoleum syuowskie, hetmańskiego dziecięcia, co dokonyło ojcowską ręką poczęte mury; mauzoleum wspaniale, przedstawiające rycerza w całej zbroi, wspartego na zdjętym hełmie, jakby chciał potrzeć z użnojonego czoła. Symboliczny wieńiec owoców i kwiatów, ubierający ramy grobowca, oznaczał przymioty towarzyskie i dobre uczynki zmarłego.

Kamienna przedziwniej roboty kropielnica, wsparta na czterech aniołkach, attrybuta czterech enot unoszących, zdobiła wnijście kościelne. Wspaniały organ, blyszczące swe floty wznoszący jak pęki strzał ku górnemu sklepieniu, zajmował cały chór nad wnijściem. Drewniane, takież roboty jak posągi wielkiego ołtarza anioły z trąbami, stały na wierzchu jego. Organ ten za szczególną dyspensą, dla odpustów mnogi lud przywabiających, mieli sobie dozwolony Kapucyni.

Taki był kościół zakonników. Ale trzeba go było widzieć w dni uroczystości, pełny ludu, w świetle mnóstwa świec jarzących, w obłokach dymu kadzidel, w kwiatach i zieloności, aby całą świetność i piękność jego ocenić. Wygodny i obszerny klasztor przytykał

do niego, długie swe ramiona podparte skarpami i zakończone półokrągłemi wieżyczkami, wyciągając od kościoła na prawo i lewo. Tu z równą troskliwością myślano o wygodnym pomieszczeniu ojców i upiększeniu niewinném pobytu ich w tym porcie schronienia doczesnego.

Nieskończone korytarze, sklepione i wygodne schody, łączyły z sobą piętra i cele. Na ścianach tych długich linii murów, ten sam Dankerts de Ruy, żyłoty Ś. Franciszka, Ś. Antoniego i wiele z historii świętej, w wielkich arkadach cele oddzielających, wystawił. Błyszczały jasnymi kolorami te nieśmiertelne dzieje religijnego ducha, aby na każdym kroku miał je przytomne oczom duszy i ciała zakonnik. Stary gdański zegar, poważnym krokiem od lat przeszło dwóchset idący, przerywał sam jeden wielką ciszę korytarzy. Drzwi celi i izb wychodzące na nie, okładane były dębowymi odrzwiami, nie wytworniej roboty, ale przedziwnych linii, pełnych prostoty. W jednej arkadzie paliła się lampa niegasła dniami i nocą, przed ogromnym krucyfiksem, u którego zwykle na krótką modlitwę przyklekali przechodzący zakonnicy. Dalej piękny założyciela portret, ale bez buławy, zbroi i błyskotek, w stroju pielgrzyma, przypominał go modlitwom przechodzących. Jeszcze dalej twarze synów jego, dobroczyńców spadkowych klasztoru, oraz znakomitszych zakonników generalów i Świętych, pozawieszane były na przeciw okien, między drzwiami cel. Obrazy zakonników do ostatniej, najbliższej nas należały epoki; dawniej bowiem nazwiska się zapierając, przez pokorę też nie dozwolali rysów znikomego ciała podawać potomności.

Zwłoki szły do wspólnego grobu, pamięć w zapomnieniu pokory pełne; świętym potrzeba było zostać, aby żywot na ziemi przedłużyć.

Na tych ogromnych korytarzach, po których długo z przyjemnością przechadzać się było można, cisza uroczyście panowała nieprzerwanie prawie. Odmykające się ciężko drzwi celi, kroki uzbrojonych trepkami nóg zakonników, świergot ptasząt, a zwłaszcza jaskólek kłęjących gniazdka pod dachami, stąpanie powolne zegara, słychać było po całym gmachu. Na korytarze wychodziły drzwi wielkich sal refektarza, biblioteki i innych. Ztąd także na pierwszém piętrze było wyjście na chór.

Refektarz wedle zwyczaju ogrzany piecem niezmierniej wielkości, z niebieskich kafli zbudowanym, w którym można było na raz całą furę drzewa spalić, znajdował się jak zawsze na dole. Sufit jego z ruchomych desek złożony, przepuszczał ciepło do nieopalanych cel zakonników.

Wszystko tu obrachowano na ogromną skalę; a że ilość choć szczupłych cel była bardzo wielka, refektarz więc rozciągał się niemal przez całe jedno skrzydło klasztorne, wsparty będąc tylko na murowanych słupach, podtrzymujących belki misternie wyrabiane, zezerniałe od czasu i ciepła. Całą szerzyń ściany poprzecznej zajmował i tu jeszcze krucyfiks; drugą obraz Ś. Antoniego. Na murach były zakopcone freski i wypisane zdania z Pisma Świętego. Dokola otaczały go dębowe ławy i także stoly na skrzyżowanych w X sparte nogach, zastawione kufłami glinianemi, polewanemi misami i wytworniej czystości naczyniem. Drewniane bukszpanowe łyżki leżały na swoich miejscach, wysłużwszy już kilku pokoleniom i powoli ustępując miejsce nowszymi, gorszymi, lipowym. Od strony okien wzniesiona trybuna dębowa dla lektora, który wedle

zwyczaju zakonnego czytywał w czasie jedzenia, odznaczała się piękną, ale niewytworną robotą.

Okna refektarza wychodziły na ogród. Przez nie widać było kwatery kwiatowe osadzone bukszpanem, i zapach lilij załatywał przez kraty, misterną robotą ślusarską wykute, w pośrodku których wieniec obejmujący imię „Marya” wyrobił pobożny rzemieślnik.

Oprócz opuszczonej sali obrad i wyborów, na piętrze się znajdującą, gdzie widzieć było można nad ławami wiele ciekawych portretów rodziny założyciela z twarzami widocznie innego świata, innej epoki — była tu jeszcze wielka biblioteka.

Sklepiona ta sala, w górze obwieszona żywych kolorów freskiem wyobrażającym czterech Doktorów kościoła, z dodatkiem Ś. Franciszka przysłuchującego się ich dyspacie, — ostawiona była szafami dębowymi, roboty téjże ręki co i ołtarze kościelne. Ale tu szycarz widocznie się wysilił. Wieńce kwiatów, owoców, emblemata pobożne, stroiły każdą szafę wierzcholek. Na stole w pośrodku stojącym, wspartym na czterech delfinach, stał śliczny kościany krucyfiks staroświecki, przypominający, aby nauce przewodniczyła wiara.

Biblioteka początkowa, ofiarowana przez hetmana, pomnożona darami synów jego i wnuków, obfitowała w dzieła ciekawe. Nawrócony niedawno właściciel, miasto spalić folianty różnowierców, dał je z innymi zaknikom, aby co na zgobę duszy służyło, w innych ręku na ratunek obrócić się mogło. W zamkniętych szafach, w dole zbrojnych kratą, trzymano tych niebezpiecznych więźniów, których grzbiety tylko pargaminowe poglądały złocistymi literami z zamknięcia. Klucz

prohibitorum był u O. gwardyana, który wedle potrzeby ndzielał starszym Bezy, Melanchtona, Oekolampada, Kalwina, Lutra, Serweta i mnóstwa broszur XVI wieku tu złożonych. Na górnych półkach kollekeya Bollandystów, Bullarya, wielkie biblioteki i encyklopedye teologiczne, przepyszne edycye Ojców kościoła, Biblic poliglotty, komentarze, słowniki i zbiory podróży zalegaly, ledwie się ciasno mogąc pomieścić. Tu kryły się w oddziale *manuscriptorum*, ciekawe *historia domus*, konnotacye, *compendia privilegiorum* przez pobożnych braci spisywane; tu niejedna nota rzuciona na białym brzegu foliantu, zdradzała umysł niepospolity lub nieznaną światu wielką walkę odbytą z szatanem wątpliwości w zaciszy klasztornej.

Niestety! im bliżej nas, tém trudniej było o noty i rękopisma, bo duch zakonny nikł i z sere wygasal. Dawniej droga biblioteka, teraz zasuwala się pyleni, a zamek jęj potężny jeden już tylko braciszek i zakrystyan umieli otwierać. Z okien biblioteki widać było podwórzec klasztorny, na którego zielonęj murawie stały dwa posągi: Matki Bożej i Ś. Antoniego z Dzieciąciem Jezus na ręku, z lilią w dłoni; widać było gościnice i część miasteczka, łąki, rzekę, dalekie wsie i lasy.

Gdym jeszcze zwiedzał to miejsce, klasztor żył dawném, pozostałem z przeszłości życiem. Poczciwi zakonnicy byli przyjaciółmi całego sąsiedztwa, ich klasztor najgościnniejszym z domów, ich obiady ze sławnym sztokfiszem nieodzily w poście za najsmaczniejsze, choć je dobre sere więcej niż wytworne przyprawki krasilo; a stary miód tylko na Porcyunkulę i Ś. Antoni w małych kieliszczykach podawany, sławny był na mil dwadzieścia dokola.

Wszystkie prawie cele były jeszcze zajęte, ale po większej części przez siwych jak gołębie starców, którzy jedną nogą stali już w grobie, choć z żywością młodzieńczą pieszko nieraz biegli z pociechą i modlitwą do oddalonego łoża chorych i konających.

Któż nie zna celi kapucyńskiej? Wszystkie one na jeden wzór stawione; z jednym okienkiem na ogród, z gwoździkiem na oknie, z maleńkiem łóžeczkiem zasłaném twardą, sukienną pościelą, z krucyfiksem w głowach tapezanu, ze dzbanem wody u drzwi. Rzadko nawet obraz nagie mury téj ciasnej komórki wielkiego uła rozwesela.

Cale sąsiedztwo kochało Kapucynów i żyło z nimi jak z przyjaciółmi. Dobijano się o dozwole nie kilkun tygodni pobytu na wsi jednemu z ojców przy dworów wiejskich kapliczkach. W niedzielę i święta tłumnie zbierano się do kościoła.

W poście posyłano ryby, w lecie brano od nich kwiaty, radośnie pokazywano śliczne i misterne ich roboty, zielone i białe stoczki. Szlachta okoliczna składać się zdawała familię zakonników, a każdy z chęcią, z troskliwością śpieszył, uprzedzając ich potrzeby, i dając datkę, radował się jakby go odbierał. Pomiędzy ciszą klasztornej, zamknięcia, pośpnych murów i sąsiedniego ciemnego jodłowego lasu ze swym szumem pośpnym, tak tam było lekko i wesoło! Kwiaty wschodziły w ogrodzie bujne, rozkoszne, silne; ptacy szczebiotali na galeziach; chłopięta do posługi kościelnej wzięte z pociłowatemi twarzyczkami aniołków, figlowały na podwórzu; starcy nawet uśmiechnięci byli spokojni, tak widocznie w téj ciszy klasztornej kosztowali szczęśliwości.

Nigdy spór, nigdy zwada żadna nie gorszyły są-

siedztwa, a familia zakonna kochała się jak istotna rodzina, lepić od niejednej krwią i interesami połączonęj. Lecz powoli, powoli zaczęły się wypróżniać cele, a zapelniał cmentarz; grzędy ogrodu chwastem zarastały, brukowany podwórzec otoczyły cheiwe ruin pokrzywy; wielki krzyż ogrodowy spróchniał od spodu i upadł. Gwardyan ujrzawszy go nazajutrz po burzy na ziemi, zapłakał; bracia mleczący i zamyśleni odeszli.

Gdym raz pierwszy zajrzał do tego uroczego klasztoru, był on jeszcze w całym blasku życia i pomyślności. Przejeżdżając gościńcem, który okolo wrot dziedzińca kościelnego się przesuwają, zasłyszałem śpiewy, ujrzałem drzwi otwarte i zatrzymałem się, zdjęty ciekawością. Była to godzina południowa, nikogo w kościele prócz kilku chłopców i dziadów; w chórze za wielkim ołtarzem śpiew zakonników rozechodził się poważny pod wysokie sklepienia. Ukłakłem naprzód, potem poszedłem oglądać napisy, nagrobki i obrazy. Właśnie gdym się z ciekawością Wniebowzięciu Dankerts'a przypatrywał i dobywał ołówka dla zanotowania tej pięknej kompozycyi, ujrzałem przed sobą zakonnika (bo śpiew w chórze już był ustał, a chłopcy uwijający się zmiotłami, musieli o bytności mojej rozechodzącym się z chóru powiedzieć).

Staruszek powitał mnie zwykłym chrześcijańskim pozdrowieniem, przypominającem dawne wieki, kiedy znak krzyża i te słowa tajemnicze różniły w tłumie od pogan pierwszych sług ukrzyżowanego Messyasza.

— Cóż to za piękny kościół! zawolałem w uniesieniu. Jakie wspaniałe malowidła!

— Prawda, że śliczne? uradowany przerwał mi śmiejąc się wesolo staruszek. Stare to są panie dzieła starzej pobożności i talentu! A widziałeś pan piękne

posagi drewniane w wielkim ołtarzu, które tak wychwalają artyści? Widziałeś pan ołtarzowe obrazy nasze? Jeśliś pan ciekaw a lubiący te rzeczy, poprosiłbym go i do klasztoru: na korytarzach są téj saméj ręki sławnego Dankerts'a roboty; w bibliotece też; a w sali wyborów portrety, jak mówią, ciekawe.

Widząc, że na samo wyliczanie oczy mi się zapalały, uśmiechnął się starzec i począł od oprowadzenia najprzód po obszernym kościele, tłumacząc, wskazując, objaśniając, ciesząc się jak dziecko, gdy wychwalał.

— Pobożni ludzie dawniej— rzekł— niech im Bóg da za to niebo! co mieli najdroższego, to pod skrzydła krzyża składali. Hetmani, najwyżsi dygnitarze, myśleli o nbogim zakonniku, aby się on za nich pomodlił, gdy wysokiego stanu obowiązki, gdy świat otaczający odrywał ich pomimo woli od Boga i modlitwy. Pobożna myśl więcéj wzniosła monumentów, więcéj dziel wielkich sztuce natchnęła, niż дума nawet i próżność. Dziś... dodał — ale nie czerńmy swych czasów, mają i one zaprawdę swoje dobre!

Westchnął zakonnik. Po cichu rozmawiając, przyszedliśmy pod ołtarz w kaplicy ukryty; ale starzec, przeciwko zwyczajowi, nie zwrócił uwagi mojej na obraz zajmujący wielkie ramy dębowe, kolorem drzewa świeższą wskazujące robotę. Spojrzałem od niechcienia tylko, myśląc, że w istocie może robota nie zasługiwała na uwagę. Ale jakżem się zdziwił, widząc nowy, świeżo jeszcze skończony, kolorytem nroczym ozdobny obraz, zdradzający mistrzowską prawdziwie rękę.

Stałem zdumiony, z oczyma wciąż wlepionemi. Nowych obrazów tego rodzaju nikt już podobno u nas nie ujrzy; głębokiéj wiary, zapалу i prawdziwego talentu potrzeba było, aby stworzyć coś podobnego. Obra-

zy religijne naszych czasów są zimne i sztywne, życia w nich nie ma, bo ducha braknie.

Ten, z całą naiwnością starych mistrzów szkoły florenckiej, wystawiał znajomy rys podania. Był to wizerunek S. Łukasza, zachwyconego widzeniem Matki Bożej, której rysy anielskie miał przenieść na płótno. W górze obrazu, na czystym lazurze, wśród lekkich obłoczków, w wieńcu drobnych aniołków splecionych rączkami, ukazywała się Królowa niebios w białej szacie zwycięstwa. Korona z siedmiu gwiazd błyszczała nad jej czołem. Na ręku dziecię Jezus spoczywało, z dziwnym wyrazem Bóstwa w małej twarzyczce, spoglądając z matką razem na Świętego Ewangelistę.

W dole starzec klęczący, zachwycony, z pendzlem w dłoni, z oczyma wlepionemi w obraz niebieski, zdawał się żyć i oddychać. Wpół otwarte jego usta, jakby zbytke uczucia i westchnienie radosne rozwarły. Dwóch aniołków uśmiechających się podtrzymywało płótno i paletę. Wół, symboliczne znamię ofiary, padł na nogi i świetnie przytulił skrzydła. Zwierzę to nawet było tak naturalne, a tak razem idealne, tak wiele miało wyrazu, że się coraz bardziej wpatrując dziwił i zachwycił. Ogół tego utworu kolorytem pełnym życia i harmonii nderzał. Każda twarz doskonale mówiła, co jej malarz kazał; wszystko żyło, a żyło tém idealnym życiem drugiego świata, którego chcieli w dziełach sztuki szukamy.

— Zkądże ten obraz? zawolałem zdziwiony.

— Alboż istotnie tak piękny? spytał mnie naiwnie starzec, patrząc mi w oczy z uwagą.

— Cudnie piękny!

— No! doprawdy! Dziwy, panie!

— Któż go malował? spytałem znowu: bo widocznie świeży.

— Boć nie ma w istocie i tygodnia, jak go poświęcono i na ołtarz wzniesiono.

— A zkadźście go dostali?

— E! to robota klasztorna! dodał staruszek ciszej, potrząsając głową: — tutejsza...

— Jak to? tutejsza? coraz bardziej zdziwiony spytałem żywo.

— Tak jest, tak. Malował go-ci brat Maryan.

— Zapewne kopiował z jakiego starego, a kopia mu się, nie ma co mówić, prześlicznie udała.

— O! nie! on to całkiem swoją inwencją zrobił. Ale ojen gwardyanowi wcale się nawet to nie podobalo; prawdę rzekłszy, przedmiot nam niebardzo do ołtarza przypadał i nowe musieliśmy dać robić ramy, bo daleko większy rozmiar od obrazu co tu był wprzód, a który w kawałki się od wilgoci z muru sączącej popadał.

Gdyby kto inny mi to mówił, załedwiebym uwierzył, żeby w celi tego klasztoru zasuniętego w głuchą ciszę lasów litewskich, mógł się taki utwór urodzić: utwór niepospolitego natchnienia, pojęty po mistrzowsku i po mistrzowsku rzucony na płótno.

— A malarz ten? spytałem staruszka.

— Brat Maryan mówicie? to laik klasztorny... odpowiedział zażywając tabaki Kapucyn.

— Wielki malarz! a tak nieczuany! tak nieoceniony! zakrzyknąłem z podziwieniem, oczu nie mogąc odebrać od obrazu.

Staruszek zdawał się pochwał tych słuchać z powątpiewaniem o mojej znajomości rzeczy; odwoził mnie nawet od tego obrazu do fresków Dankerts'a

i snycerszczyzny niemieckiej, ale długo napróżno. Ja cały zajęty byłem nieznanym wielkim malarzem współrodakiem.

— Nie mógłbym odwiedzić brata Maryana w jego celi? spytałem nieśmiało po chwili namysłu.

— Czemuż nie? zapewne można będzie. Ale to panie trochę dziwny człowiek, smutny, zamknięty w sobie, milczący. W klasztorze wybaczają mu się to, po części przez miłość chrześcijańską, po części, że i klasztor ma od niego dosyć—pracuje dla nas. Nie wiem, czy odwiedziny nieznanego będą mu smakowały; lubi biedaczysko samotność.

— Ale na chwilę?

— Chodźmy! rzekł ojciec Serafin: chodźmy, spróbujemy; jeśli się nie modli, to nas musi przyjąć.

Po drodze nie mogłem wytrzymać, żebym nie rozpytywał o brata Maryana, ale niewiele o nim dowiedzieć się mogłem.

— Świat go utrapił, mówił ojciec Serafin; szukał pokoju, jakiego on dać nie może, w cichych murach naszych. Nic o nim tak dalece nie wiemy, prócz że zapewne szczęścia nie zaznał. Ze wszystkiego widać, że malarzem być musiał i za świeckiego życia. Ślady niezagasłych cierpień aż tu z nim przyszły. Modlitwa, praca wiele ran goi. W nich on szuka lekarstwa i pociechy.

Zbliżyliśmy się do drzwi celi, i ojciec Serafin zapukał.

Głos przytłumiony odpowiedział niezrozumiale ze środka.

— To ja, to ja! rzekł łagodnie starzec: ja z gościem, co waszego Świętego Łukasza w kościele zobaczywszy, chciał koniecznie brata poznać i w celi odwiedzić.

Drzwi się otworzyły, i weszliśmy do szczupłej izdebki zakonnika. Była to cela wszystkim innym podobna, jedno okno kraciaste oświecało ją tylko. Wąskie łóżeczko, stolicek i stół prosty stały na swoich zwyczajnych miejscach. W pośrodku ze zdumieniem postrzegłem najniewygodniej rozpięte duże płótno na trzech prostych kijach sznurami jako tako powiązanych, oparte. Potrzeby malarskie, farby, kamień, paleta, pendzle leżały obok na ziemi. Między obrazem a ścianami za ledwie przecisnąć się było można. Jednym rzutem oka pojąłem, jaką męczarnią było żyć w tej ciupce tak ciasnej, i tworzyć tu, nie mając gdzie nsiąść, jak łokcie wyciągnąć. Niepodobieństwem było zrobić kilka kroków lub przejść, nie zachowując największej ostrożności. Światło padające było niewygodne i niedostateczne, słońce biło na płótno, a smugi cieniów rzucanych przez kraty, krzyżowały się na niem i dzieliły je dziwacznie.

Pospolity artysta, który tyle potrzebuje wygódek, światła tak jednostajnego, tak obszernego miejsca, nie pojąłby nawet jak tu malować było można. Prawie pod kątem prostym z konieczności ustawiony obraz, zdawał się umyślnie jak najniewygodniej umieszczony. Inaczey byłby całkowicie zaparl przejście między drzwiami a łóżeczkiem. Dowiedziałem się później, że gwardyan opuszczoną salę obrad dawał bratu Maryanowi na pracownię, ale ten chcąc czémś okupić przyjemność malowania, dobrowolnie na niewygodny ciasnej celi się skazał.

Na wielkiem płótnie węglem, śmiało, ogromnemi pociągami, narzucony był projektowany rysunek. Kilka innych ram wisiało na ścianach, stały na podłodze wsparte o nie, tak, że ruszyć się tu wśród tylu rzeczy

trudno było. W pośrodku celi, w habicie bez kaptura stał zakonnik wysokości postawy i ślicznego charakteru głowy. Wypełzłe z włosów czoło, porysowane zmarszczkami poprzecznymi, oczy wpadłe lecz świejące, nos suchy, kształtny, usta wąskie i blade, ale pięknych linii, szyja muskularna i silna, wystawały tylko z pod grubiej sukni braciszka. Ręka brunatnym włosem pokryta, trzymała pendzel, gdym wchodził. Wyraz tej postaci i twarzy pełnej zapалу, smutku i rezygnacji, zachwycał jak niespodziane zjawisko.

Stałem w progu. Braciszek spojrzał ku wchodzącym i zmieszał się widocznie; rumieniec przelotny pokrył mu chude policzki, zadrżała ręka; szybko pendzle wsunął w paletę, rzucił o podłogę i pośpieszył ku nam.

Jak błyskawica tylko dumne jakieś uczucie przeleciało po twarzy jego, natychmiast zmienił się gwałtownym wysileniem jęj wyraz i schylone czoło pobladło znowu.

Na zapytania moje, zadziwienia i pochwały, odpowiedział kilku niewyraźnemi słowy, pełnemi skromności i pomieszania, pomieszania dziwnie wydającego się przy pooraném czole i siwiejącym włosie. Zdawało się jakby bronił nam wnijscia i chciał wyprzeć na korytarz koniecznie. Mnie zaś bardzo o to chodziło, żeby zobaczyć inne roboty braciszka. Podwoilem pochwał i usilnej prosby, a za wstawieniem się ojca Serafina, pozwolono mi nareszcie wpaół prawie gwałtem wcisnąć się do celi i spojrzeć na nowe obrazy. Wszedłem śpiesznie, z uwagą jednak, jakie wymagało przeciskanie się między natłokiem sprzętów.

Najpierw za robotą, mokra jeszcze i niedawno ha-

bitem przechodzącego neliatościwie starta, wyobrażała Ś. Antoniego z Dzieciątkiem Jezus. Nie wiedziałem wówczas kto, czy sam malarz, czy jeden z braci przechodząc posunął po niej suknią i prawie całkiem zniszczył. Westelnąłem, bo obraz był prześliczny. Wielkie płótno z zaczetem podmalowywaniem, wyobrażało przyjęcie stygmatów Ś. Franciszka. Chrystus w niebiosach i zakonnik na ziemi, połączeni cudownymi promieniami, obaj po mistrzowski byli pojęci. Z części wnosząc o całości, nowe dzieło mogło przejść Ś. Łukasza. Założyciel zakonu zostawiony w półcieniu sztucznym (gdyż najwyższe światła otaczały Zbawiciela), zacząty był z doskonałą znajomością wszystkich materyalnych sztuki resursów. Drugi zakonnik od blasku zasłaniający się ręką, pelen naiwnej naturalności, zdawał się nie widzieć i nie pojmować nadziemskiego zjawiska.

Twarze dwóch zakonników wystawiały doskonałą sprzeczność dwóch natur ludzkich: natury poetycznej, idealnej, z prozaiczną i poziomą. Obie zresztą były piękne, łagodne i szlachetne. Chrystus ukazujący się w niebiesiech miał Bóstwo w obliczu. Widok otaczający, złożony z drzew odwiecznych, pokręconych dębów, smukłych jodeł i ciemnych sosen, wyborne tło stanowił.

Koloryt ciepły był i żywy, a tak misternie urozmaicony, stopniowany, że choć bez pomocy wzorów i całkiem z praktyki (*de pratique*) malowany obraz, zdał się owocem długich studyów. Stałem przed nim długo, nie mogąc się od niego oderwać. Inne pomniejsze *quadri* przedstawiały poczęte lub wykonane już całkiem obrazki: *Śmierć Ś. Józefa*, *Ucieczkę do Egiptu*, *Nawró-*

cenie Ś. Pawła, Męczeństwo Ś. Katarzyny i t. d. We wszystkich też sama wprawna ręka, silne uczucie, koloryt pełen harmonii.

Gdym się wpatrywał w te niespodzianie napotkane skarby, brat Maryan stał w progu, prawie zawstydzony, ze spuszczonei oczyma i rękami, rzadką swą siwiciącą już brodę na piersi zwiesiwszy. Nie mi nie odpowiedział na pochwały, na zapytania, jak gdyby lękał się wyłać, jakby się bał w sobie obudzić myśl nowemu stanowi niewłaściwą. Próżno usiłowałem go do rozmowy nakłonić; musiałem wreszcie odcjść, dziwnie niepowodzeniem tém dotknięty. Z pokorą i łagodnością pożegnał mnie braciszek, ale bał się prawie rzecz słowa, lękał spojrzeć na mnie, w którym opuszczony świat widział. Próbowałem nabyć jedną z prac jego, lecz gdym o to przebaknął żądanie, odpowiedział mi skłopotany, że prace jego do niego nie należą, że niemi rozporządza ojciec gwardyan.

Poszliśmy więc ze staruszką do celi gwardyańskiej, gdzie przyjęty gościnnie i uczęstowany, gdym się spytał, czyby nie można co z robot brata Maryana dostać? — rumiany, otyły i rubaszny przełożony odpowiedział mi z głośnym i szerokim śmiechem:

— Mój jegomościuniu! alboż to doprawdy co tak osobliwego?

— Są to bardzo piękne obrazy, a kiedyś może i wysokiei będą ceny. Brat Maryan będzie drugim Leksyckim, jest nim już dzisiaj.

— Któż to dobrodzieju Leksycki?

— Sławny krakowski malarz, zakonnik reguły Ś. Bernarda.

— A! a! Jestże tam co skończonego u brata Maryana?

— Zdaje mi się, dodałem żywo, że Ucieczka do Egiptu...

— To dobrze!! Pieniędzy od jegomości nie chcemy, ale gdybyś pan co w zamian ofiarował dla klasztoru?

— Co będziecie życzyli sobie? Bardzo chętnie! rzekłem żywo.

— Gdyby tak piękny ornat ponсовy? Nie mamy już w czém przystojnie dni świętych Męczenników obchodzić.

Mówiąc to, zdawał się powątpiewać, ażali to otrzymać może.

Zgodziłem się chętnie na żądanie.

Gwardyan zwyciężko trochę się uśmiechnął, jakby dziwiąc się i litując nademną, a podnosząc się z miejsca, rzekł:

— Chodźmyż po tę Ucieczkę.

Zwróciliśmy się powtórnie do celi brata Maryana.

Gwardyan wszedł do niej nie pukając, a malarz nie musiał nawet usłyszeć skrzypienia drzwi, bośmy go zastali klęczącego przy łóżku z twarzą w dłoniach ukrytą. Przed nim był dziwny krucyfiks, który mnie uderzył — krzyż bowiem Zbawiciela wetknięty był na grzbiecie brązowego Sfinksa. Na rubaszne powitanie przełożonego, zerwał się dopiero żywo i jakby zawstydzony stanął przed nami, uśmiechając się, z założonymi po monastycznemu na piersiach rękami.

— A! a! jak to tu przejść! zawolał otyły gwardyan. Ledwie się za temi gratami przecisnąć można. Poza-wczoraj już jakieś malowidło zatarłem, a co gorsza daleko, nowiuteńki habit powalałem na nie. Ot — dodał — ten pan życzyłby sobie waszój Ucieczki do Egiptu, malowidła, które wychwala bardzo. Ofiaruje

za nie ponсовy ornat dla konwentu, na dni Męczeuników. Jeśli to wam bracie nie robi wielkiej przykrości rozstawać się ze swoją pracą...

To mówiąc, łagodnie spojrzał na mnicha. Ten pobladł trochę, ale nie rzekł, tylko głowę sklonił, szybko zwrócił się ku obrazowi, zdjął go z pośpiechem, wlepił weń oczy raz jeszcze jakby go żegnał i (bojąc się może, żeby mu później odwagi nie zabrakło) oddał w ręce przełożonemu.

— Wszystko to, rzekł, własność klasztoru. Bogu dzięki, żem się zdał na coś przecie. Biercie, proszę!

Cenę ornatu wypłaciłem natychmiast, uszczęśliwiony nabyciem tak łatwą rzeczy tak pięknej, a tak niespodzianie wśród drogi schwytaną. Ojciec gwardyan z Serafinem, odwołani dla pilnej sprawy, wyszli na chwilę, a ja pozostałem sam na sam z bratem Maryanem.

Zbliżyłem się do niego, usiłując wybadać, czyby nie przyjął jakiejś małej ofiary dla siebie, pozbawiając się obrazu, którego zdawał się żalować; ale mi odpowiedział z uśmiechem litości łagodniej:

— Reguła nasza nie pozwala nam mieć własności; zresztą ja nic nie potrzebuję. Spokój, cisza klasztoru, oto moje skarby.

To mówiąc, przyłożył rękę do serca, i dwie lzy zakreśliły mu się w oczach.

— Świat więc zranił ci serce? spytałem ze współczuciem.

— Nie pytaj pan, odpowiedział. Musiałbym przypominać to, o czém chcę zapomnieć. Miłoby ci było dla próżnej ciekawości, drogiego, najdroższego na długo pozbawić mnie pokoju, który nareszcie zyskałem?...

— To nie jest ciekawość, odparłem, to prawdziwe współczucie. Ująłeś mnie wielkim talentem, jesteś artystą. Niedawno może wdziałeś tę suknię. Cierpiałeś wprzód pod inną, a cierpiałeś srodze zapewne, gdyś w końcu skryć się musiał pod kaptur mniszy z duszą, zdaje mi się, nie do niego stworzoną.

— Jak to? rzekł Kapucyn, z pogodnym smutkiem wpatrując się we mnie. Już sądzisz o mnie bracie! tak mało mnie znając? tak rychło? Któż wie do czego stworzony byłem! dodał. To pewna, że tutaj szczęśliwy, o ile człowiek na ziemi szczęśliwym być może.

Wtém usłyszeliśmy kroki nadchodzących zakonników; brat Maryan umilkł. Załedwie gwardyan z Serafinem weszli, pożegnaliśmy się. Nie wypadało mi pozostawać dłużej, aby nie zabierać czasu zakomunikom i nie przerywać podróży. Uniosłem z sobą tylko przedmiot do długich rozmyślań i zdobytą Ucieczkę do Egiptu.

Słońce się miało ku zachodowi, gdym przeprowadzony przez poczciwego ojca Serafina, uporeczywie częstującego mnie tabaczką, przeszedł znowu cicho dziedzińce klasztorne i dostał się do moich ludzi i koni znecierpliwionych niespodziewanie długą po klasztorze wędrówką. Wszystkie projekta podróżne złamane zostały stratą czasu; musiałem nocować w miasteczku, gdyż o dobre cztery mile dopiero mogłem się spodziewać wygodnej karczmy na trakcie, a tyle już zrobić nie było podobna przed nocą lasem i dosyć złemi drogami.

Nazajutrz raniechno wstąpiłem jeszcze na mszę do Kapucynów, potem na kawę do ojca gwardyana, ale brat Maryan, jak mi mówiono, był trochę niezdrowszy i już go widzieć nie mogłem. Nie bardzom się o to

starał, lękając się mn uprzykrzyć, widząc jak niemilo świat przypominać może to, co od niego przychodzi do zakonnika, pragnącego zapomnieć wszystkiego, co za sobą zostawił.

W kilka dopiero lat później, dostałem w miasteczku wieści o pochodzeniu zakonnika i jego młodości, a znacznie później przypadkiem wpadły mi w ręce i inne materiały tej powieści. Ani jak, ani z kąd ich nabyłem, nie widzę tu potrzeby wypisywać.

Brat Maryan wedle jednych już nie żył, wedle drugich w dalekim podobno gdzieś klasztorze kończył spokojnie życie. Nie o nim z pewnością powiedzieć mi nie umiano. Sam klasztor zostawiony pustką, rujnował się z ową przerażającą szybkością, z jaką nikną dzieła ręki ludzkiej dane na pastwę czasowi.

Kilka lat zmieniło go do niepoznania. Mur obwodowy powywał się w wielu miejscach, z kościoła opadały tynki, na klasztorze dach świecił licznymi dziurami, zielsko zarastało dziedzińce, wróble gnieździły się w bibliotece i refektarzu. Pająki, nietoperze, myszy, mieszkaly same po celach i korytarzach milczących.

Freski Dankerts'a pozaciekały, a wiele obrazów i snycerszczyzny nie wiedzieć gdzie i jak poznikało. Nagie ściany, na których tylko ślad długo przytkniętych ram pozostał, dziwnie smutne robiły wrażenie. Bezbożne ręce Żydów z miasteczka, wiele drzewa z budowlu klasztornej do pieców swoich poprzemosiły. W ogrodzie cyfra tylko Maryi wśród chwastów jeszcze trochę widna była. Zdziczały i strzelily w górę szpalery, zazieleniała sadzawka zielskiem, wiatr powylałmywał drzewa.

Stary zakrystyan sam jeden jeszcze pilnował ruin

i czekał śmierci na dawném swém stanowisku. Złamany we dwoje, blady jak upiór, a jak grób milczący, obchodził z kluczami gmach we dnie, a w nocy przy słuchował się głosom, które zdawały mu się z pustej wylatywać budowy. Przysięgał on, że nie raz słyszał grające z cicha organy i księży o północy odśpiewujących *Requiem*.

Nie byłbym mógł nigdy nie stanowczo powiedzieć wam o młodości tego, którego później znalazłem pod suknią nmiszą i nazwiskiem brata Maryana; gdy by nie nowa podróż i przypadkowy nocleg w miasteczku. Wiedziałem już z będących w moich ręku papierów, o dalszém życiu i losach artysty, co obiół habit zakonny; ale nie jeszcze o jego pochodzeniu i dziecińczych latach, o których milczały udzielone mi notatki. Na próżno starałem się czegoś dowiedzieć od sąsiadów klasztoru: starzy wymarli, młodszy zapomnieli.

Jużem był powiedział sobie, że się nie nigdzie nie dowiem, gdy nocując w miasteczku, znudzony w długi wieczór jesienny, ujrzałem wchodzącego do mojej izdebki Żyda, gospodarza domu, który potrząsając jarzmką, z jedną ręką w kieszeni czarnej sukni, wsunął się, by w oczy zajrzeć podróżnemu i trochę go wybadać.

Był to starzec już pochyły, na jedno oko ślepy z wypadku, o siwych ogromnych włosach i długiej brodzie, chudy, zgięty, ale pomimo lat żywy. Jedyńm okiem, które mu pozostało, błyskał dowiecip i przebieg-

łość; głos jego silny jeszcze i młody (bo nie stracił zębów), zadziwiał przy pomarszczonej twarzy.

Zaczął się rozmowa poczęta jak zwykle wzajemnym badaniem. Żyd starał się dowiedzieć, kto byłem, z kąd jechałem, dokąd, i po co? ja niedbale wypytywałem o okolice, o ceny zboża i t. p.

— A pan tu pierwszy raz w tej stronie? rzucił Żyd.

— Nie, byłem już razy kilka, odpowiedziałem, i w klasztorze.

— Był pan dawniej w klasztorze?

— Tak; jeszcze za Kapucynów.

Przyszła mi na myśl brat Maryan i westchnąłem.

— Szkoda pocziwych zakonników, dodał Żyd przy pochlebiając mi się. Od ich wyjścia i miasteczko znacznie podupadło.

— A znaliście zapewne dobrze zakonników?

— O! o! jakże nie! wszystkich! Trzymałem u nich grunt, gdzie była wapielnia.

Od słowa do słowa, przeszliśmy do brata Maryana.

— Malarza? spytał Żyd.

— Wiesz i o tym? podchwyciłem ciekawie.

— Nu! jak nie! ruszając ramionami zawołał Żyd, stając przy piecu gorącym i zakładając ręce za pas.

— Wiesz z kąd był rodem?

— Ja? Rodem był prawie z miasteczka, bo tuż z okolicy. Gdyby nie mrok, pokazałbym jego mości miejsce, gdzie stał domek jego ojca. Dziwo, że wiem jego historię i ojcowską! Pewnie lepij nikt jej nie wie!

Tak przypadkiem od starego Szmula dopytałem się pierwszej części historii, którą czytelnikom moim daję.

Wprowadzony na trop, uzupełniłem ją później w sąsiedztwie zebranymi powieściami.

Niedaleko opisanego w pierwszym obrazku naszym litewskiego miasteczka, za rzeczulką, na której brzeg drugi wiódł wąty mostek, jakby cudem dziwnym na dygocących utrzymujący się palikach, w dolinie malój, u kraju lasu z sosen, jodeł, brzoź i grabów a niskiej dębiny złożonego, stał mały domek przed laty. To *przed laty*, nie oznacza więcej nad kilkadziesiąt. Dziś tam kupa gruzu tylko i poorane do kola pole, a stary omiszony krzyż wśród grzędy świadczy, że niegdyś szła tędy drożyna, gdzie teraz niedza tylko się przesunwa. Domek ów dawny, który otaczały pozostawiane na świeżej trzebieży brzozy białe i wysmukłe sosny, ploty kamienne, malownicze chat litewskich stróże i płytkie zarosłe rowczaki,—trzymał środek między dworkiem szlacheica a chatą wieśniaka.

Widać było spojrzawszy na niego, że człowiek, co tu zamieszkał, był także ni prostym wieśniakiem, ni szlacheicem. Coś pośredniego między tymi dwoma. Dworek miał ganek o dwóch cienkich słupkach i wystawce, który już pretensyi niby do szlactwa dowodził. Bo dawniej, jak wiadomo: *rodziłem się pod gankiem*, znaczyło: *jestem szlacheicem*. Ale pominawszy ganek, była to tylko dość obszerne i porządne chaty z bierwion sosnowych na mech układanych zbudowana, z malcami okienkami, o sporych, czy styłych szybkach. Wysoka słomiana strzecha, pod cieniem drzew porosła rychło zielonym aksamitnym mechem, unosiła na sobie

jeden murowany, czerwonawy komin, dość niekształtny i nadkaszony od sloty i wiatrów. Małeńkie podwórkó obrzucone plotem kamiennym, zamknięte było z jednej strony szopką skleconą niestaramnie, o wrotach podwójnych i nieszczelnie z dranie zbitych. Za dworkiem ciągnął się ogródek warzywny i sadek owocowy, w którym szczepy weale nie bujały. Zielona łączka, żerdziami niedbale opasana, mnsiała także do właściciela dworku należeć. Las sąsiedni prawie do szopki przytykał, i w piękne ranki wiosenne slychać tu być mnsiało wśród ciszy pól, gruchanie dzikich gołębi, dziwaczne stukotanie dzieciolów, zawodzenie słowika, nawet szmery owadów leśnych. Bocian, przyjaciel człowieka, usiadł na strzeczce szopki, aby sąsiadować z nim wedle zwyczajn i pod jego opieką gniazdo módz odlatując zostawić.

W tym dworku-chalupce, mieszkala podówczas cała rodzina Bartłomieja Rucpintisa. Nazwisko samo i jego litewskie znaczenie, dowodziły pochodzenia tego człowieka i jego pierwiastkowego stanu. Ale pan Bartłomiej dawno z właściwej Litwy (a raczej ze Żmujdzi) wyszedłszy, tu uchodził już za coś nakształt szlachcica, bo ubierał się w kapotę. Wszyscy tak u nas za ledwie sierp porzuciwszy lub lokicę sklepowy, chwytali zaraz za tarczę i szablicę. *Rucpintis* po żmujdzku oznacza troskliwego o żniwo, o zboże. Zaeni też a poczeiwi przodkowie Bartka o nie się więcej długie lata nie troszczyli, krom o zbawienie duszy a o chleb powszedni. Poddani żmujdzkich włości familii hetmana, który zbudował kapucyński ów klasztor wyżej opisany, Rucpintisy pracowali dotąd jak dawniej okolo rodzinnego zagonn. Jeden Bartek przypadkiem ze stanu,

w którym się urodził, wyszedł na nowe stanowisko. Potomek hetmański wziął go był najprzód za pacholika, przypadkowo z potrzeby wybrawszy jako roztropniejszego na miejsce zmarłego nagle sługi. Zostawiono go potem przy dworze. Bartek wiele się tu nauczył, ale też zapomniał wiele. Nauka świeżo nabyta była ulamkową i śmieszną, a zapomnienie dotknęło najważniejszych wieśniaczych cnot ludu, skromnych prawda, ale wysokićj ceny w oczach tych, co szacują czyny i ich prawdziwą wartość, nie polyskiem i pozorem.

Bartek cheiwie chwytal wszystko, co było z brzegu; niewiele mu chodzilo o użytek, jaki z tego miał uczynić. Ciekawy był i pragnął wyniesienia się nad swoich: co tylko go od nich oddalało, dobrém mu się zdawało. Cudaki w głowie potworzyły się z pomieszanych wiadomostek; ale on tak był nabytkiem swoim szczęśliwy! Pochlebnik niezręczny, ale niczém niezemieszany, i bezwstydnny, nicustannością uniżeń i pochlebstwa płacił za jego grubiaństwo i niezgrabność. Rysy jego twarzy nieforemne, okrągłe, sklepane, czelo niskie a szerokie, usta ogromne a obwisłe, szare oczka, wieczny uśmiech głupkowato-frantowski i niczém niezachwiana wiara w siebie, widoczna w każdym ruchu—stanowiły powierzchowność tego człowieka. Mały, pękaty, kwadratowy, silnie zbudowany, miał odwagę bezrozumną dziecka, co się jeszcze nigdy na niczém nie sparzyło, nieprzezorność dziecięcia roztrzepanego, a w złym razie głupiał zupełnie, nie pojmując co się z nim dzieje.

Cheiwy jak najwięcej się nauczyć, nie pytał czego i jak się uczył, byleby coś nowego. Wszystkich rzemiosł po trochu zakosztował, każdego umiał po odro-

bince, a nie do rzeczy. Lecz talenta swe wychwalał z tak silną i niezachwianą w nie wiarą, że nią nieraz nawet zawiedzionych obietnicami swemi znowu potrafił w pole wyprowadzić.

Jedyną myślą i dążeniem Bartka było wznieść się i pozyskać niezależność. Tak też służył i nadskakiwał panni, że wkrótce nie tylko zupełną swobodę, ale kawał ziemi na pograniczu miasteczka odebrał w nagrodę. Góry, ale znakomicie odważny, ruszył na plac budować się tak właśnie jak Fernand Cortez na zdobycie Meksyku: bez odpowiednich środków, ale z silną żądzą dopięcia co zamierzył.

Nieforemny ów dworek, któryśmy widzieli, był prawie dziełem rąk jego, a przynajmniej dziełem jego przemysłu.

— Co to mądrego ciesielka! rzekł noenją u ogniska pod sosną na *swojem* już polu, pierwszego wieczoru po objęciu wytkniętego żerdziami dziedzictwa, pustego jeszcze. Co to mądrego ciesielka! Siekiera, piła, sznur a dobra wola, ot i cieśla!

Nazajutrz więc zaraz kupił w miasteczku siekierę i piłę, ale jednakże *dla bezpieczeństwa*, jak powiadał, najął na tydzień jakiegoś cieślę do pomocy, aby się jego robocie przypatrzeć. Po tygodniu, wyczerpawszy z niego co tylko potrafił pochlebstwem, gorzałeczką, gawędką ponęcał, rozstał się z pomocnikiem, i na gotowych podwalinach, począł bierwiona sosnowe, już posprowadzane na plac, układać. Ale wybrnąwszy szczęśliwie z uszaków, gdy przyszło do dachu, znowu sam sobie rady dać nie mógł. Powrócił więc do cieśli. Założywszy z nim pierwszą parę krokwi, odprawił majstra, który widząc jak z niego żartują, doprawdy się już pogniwał.

Gniewającego się pana majstra Bartek pocałował w ramię, a sam wrócił do poczętego domku. Ile się napracował, nim krokwie powciągał i poustawiał, sam tylko Pan Bóg a on drugi wiedział. Często nie mogąc sam ciężarowi podolać lub dać sobie rady, czyhał na drodze na przechodzących do kościoła i miasteczka wieśniaków, i za nich tabaki lub wesolą pogadankę, zyskiwał pomoe ich łatwo.

Tak nareszcie wzniosł się dach; ale czém go było poszyć? Słomy nie było za co kupić; łaskawego pana, cohy może dopomógł, daleko szukać, wyjechał z domu; komissarz niełitościwy, był głównym nieprzyjacielem Bartka. Poszedł do głowy po rozum.

We dworze uczył się różnych rzeczy; między innymi był jakiś Klein, Niemiec, co drzwi, uszaki, lawy i stolki, a nawet kniży pokostował. Patrząc na jego robotę i rozcierając mu farby, Bartek, jak powiadał, nauczył się *malować*. Niemiec ani się spodziewał, żeby mu figlarz Żmujdzin miał taką splatać sztukę, a konie końców chleb odebrać. Ale po niejakiem czasie, obeznawszy się z farbami, smażeniem pokostu i robotą całą, Żmujdzin poszedł cichaczem do pana, ofiarując się obcyńcą nową darmo pokostować, byleby mu kupiono farby i kamień. Starego tedy Kleina odprawiono, a Bartek stanął do roboty i wyszedł zwyczajko.

Cały dwór wziął go za wielkiego człowieka, chociaż jak on, *co się nigdy nie uczył*, doskonale wykostował wszystko, *gdyby sam Klein*. Pan śmiał się, a Bartek dostał wówczas w darze kamienną płytę, knrant, rogowy nóż i pendzle; wziął je był z sobą nawet na nowe dziedzietwo. Ten kamień rzucony z początku pod drzewo, przyszedł mu na myśl, gdy słomy do poszycia dworku zabrakło. Spojrzał na poczęty i tak

szczęśliwie do góry doprowadzony budynek, westchnął, uderzył się w czoło kilka razy, potem niewiele myśląc, chwycił za łomoczek, za kij, świsał, obejrzał się na cztery wiatry i poszedł drogą w prawo.

Na prawo widać było w pewnem oddaleniu nowo wystawiony i żółty jeszcze od drzewa świeżego dwór, którego białeńkie kominy błyszczały na zielonym dywanie wznoszącego się po za nim pagórka. Tam udał się Bartek, dzwigając na plecach cienką swą płytę i cały przybór malarski. A idąc nieraz poskrobał się w głowę; dziwne bowiem i trudne do spełnienia krzyżowały się w nięj projekta.

Nowego dworu właścicielem był ex-ekouoni dóbr pańskich, których częśćkę wioski nabył na dziedzictwo, nalupiwszy i nadusiwszy niemalo grosza. Znany ze swego sknerstwa i szachrajstwa, niełatwo dawał się wyprowadzić w pole; a tu właśnie o coś podobnego szło Bartkowi. Zbliżając się do wrot, zwolnił kroku, chcąc widać koniecznie na drodze gdzie spotkać się z nowym dziedzicem. Tak też się dobrze wyrachował, czy los mu posłużył, że właśnie nowy obywatel wychodził w białym kitlu w pole, gdy Bartek niby już pomijał obojętnie zabudowania jego.

— A! niebźe będzie pochwalony Jezus Chrystus! Ot to kopę lat *wielmożnego pana* nie widziałem.

Wielmożny pan bardzo już polechtał dumę szlachetki.

— Na wieki wieków! To *wacpan panie* Bartłomieju, rzekł stary wyplacając się tąż samą monetą. A jak mi się tam miewacie?

„Żle! pomyślał Bartek: za *wielmożnego* płaci gotówką *wacpanem*, nie chce zostać w długi, podobno nie nie wskóram.” — A!t, zwyczajnie, dodał głośno: mam

się jak groch przy drodze. Ale cóż to ja widzę? Pańsko śliczny dwór pobudował! Co za dwór! a! a! co za dwór! wykrzyknął z coraz wzrastającym niby zapalem i uniesieniem, jakby go pierwszy dopiero raz oglądał. Dalipan w całej okolicy nie podobnego nie zobaczył. Całą gębą pański dwór!

— Alboż to asan co myślałeś? ozwał się uśmiechając polechtany po duszy ex-ekonom.

— Otoż z jegomości teraz taki pan całą gębą, pan wielmożny! obywatel!

— Widzisz kochanku, Pan Bóg nagroził i pobłogosławił pocziwój pracy mojej. Ale to na starość chleb, gdy zębów, już omal.

— Gadaj pan zdrów! oj! oj! Sto lat wam! Dajże mnie Boże takie zęby nie urzekając!

I przeżegnał się; a po chwili dodał:

— Ale taki jednej rzeczy tu braknie. [Żle, źle, jak Bóg miły, niedobrze i nie dokończono, i nie po pańsku.

— A cóż tam u licha widzisz niedokończonego? panie Bartłomiej!

Bartek raz drugi niby stroskaną robiąc minę, głową pokiwał.

— Widziałem, rzekł do siebie, wiele pańskich dworów, ale nigdzie bez tego się nie obeszło. Chyba to może na później odłożone; ale i tak nie do rzeczy.

— Cóż ty tam szepczesz: nie do rzeczy?

— A! juściż! Drzewo niepokostowane! Okiennece, uszaki, okna, wszystko się w mig popaczy, pozsycha, powykrzywia, a potem popróchnieje i pognije!

— Dla czego? drzewo suche, spuszczone w jesieni!

— Śmiej się pan z tego! Co to pomoże kiedy nie pokostowane?

— A! ty myślisz, że ja pokostować będę?

— Nie wiem, ale gdybyś pan robił całą gębą po pańsku i chciał, żeby potrwało, trzebaby koniecznie. W każdym porządnym dworze nieinaczaj.

— Fraut, stręczysz mi się na robotę.

— Cha! cha! ja! zawołał śmiejąc się Bartek z dość dobrze udaném podziwieniem. Właśnie wielmożny pan trafiłeś. Gdybyś mnie pan jak prosił i przeplacał, czasu nie mam, zamówiony jestem do Zaciszek.

A w Zaciszkach mieszkał główny nieprzyjaciel ex-ekonom, stary kawaler, któremu darować nie mógł obywatel świeżej kreacyi jakiegoś wykrzykniku obelżywego, wyrzeczonego z powodu projektu starania się o jego siostrę.

— Zgodzono mnie malować cały dwór na *de novo* i weale po pańsku, dodał Bartek. Ten sobie nie żałuje.

— Hm! ten szcrepetka z Zaciszek! rzekł przcz zęby szlachcie—doprawdy?

— Wziąłem nawet *bargeld* dwa złote zadatku, mówił Żmujdzin; muszę pośpieszać na noc tam koniecznie, przyrzekłem być dzisiaj. Dobranoc wielmożnemu panu!

— Poczekaj-no bo, poczekaj! zawołał ex-ekonom. A jakim tam kolorem będziecie malowali?

— Już to oni nie żalują! *Honest!* Bialo! bialo! odparł Bartek. Blejwasem całusieńki dom, blejwasem, a tylko od tyłu czerwono. A co mają płacić temu partole, temu partaczowi pijanicy z miasteczka, u którego zawsze farba pęka i osypuje się, a taki drogi? Zgodzili mnie. Ja niewiele wymagam. Dobranoc wielmożnemu panu! muszę pośpieszać, spóźnię się.

— Czekaj-no! sam widzisz, że już późno... przece-
dził przez zęby niewyraźnie szlachcie, zastanawiając

się i myśląc. Do Zaciszek przed nocą nie zajdziesz. Kiego licha się tak śpieszyć? Dwór ci nie uciecze, przenocuj u mnie.

Bartek choć udawał, że mu było pilno, nie dał się jednak bardzo długo prosić i mówić sobie do trzech razy; zawrócił się, skrobiąc w głowę, niby uciechę... i skutkiem dyplomatycznych kłamstw swoich nazajutrz miał robotę we dworze, kilkadziesiąt złotych zarobku, a tymczasem wyprawieni ze słomą ludzie kryli mu chatę w dodatku. Z dziedzińca nowego dworu ujrzawszy zlocisty daszek chałupy swojej, z bijącym sercem dokończył jako tako pokostowania i pośpieszył napowrót.

Murów, drzwi i okien brakło. Nie zafrasował się wcale Żmijdzin, obejrzał tylko, jakby latające po świecie myśli chciał polapać na drodze, nacisnął czapkę na uszy, i ruszył do miasteczka z miną poważną. Mina ta była mu potrzebna. Tu trudniej było niż ze słomą: brakło bowiem cegły, wapna i majstra, a w dodatku pieniędzy. „Bez majstra, rzekł w duchu, oszczędylbym się łatwo. Alboż to święci garnki lepią? Widziałem-ci to jak się piece stawiają; trochę mam wyobrażenia o zasklepieniu i wiązaniu cegieł; wapno rozprawię. Kielnia to blichtr tylko, bo i drewnianą lopateczką toż samo zrobić. Aby kamień to i młotek, aby sznurek a tarcieczka, to i pion. Ale wapno i cegła, to sęk! Tego nie zrobić sam, trzeba dostać.”

Przychodziło mu na myśl kupić, ale obrachowawszy się z kasą w skórzanym woreczku u pasa wiszącą, i pomyślawszy, że będzie potrzebował pieniędzy na zagospodarowanie, nie czuł się w siłach kupić, postanowił dostać cegły i wapna, jak mówił, po prostu *psim* swędem. To znaczyło, że chciał nie zapłacić a mieć.

Pod miasteczkiem na tak zwanych *Glinkach*, nieopodal od chłupy Bartka były cegielnie żydowskie; tam udał się Żmujdzin, grając rolę sługi od dworu starosty. Począł się dopytywać o gatunek cegły, o cenę, i dawał niby mimowolnie do zrozumienia, że za dwakroć sto tysięcy na nową stajnię potrzebować mogą. Żydzi gorąco chwycili się tego z łatwowiernością, której powodem było, że wiedzieli, iż starosta nie miał cegielni. Bartek popatrzawszy, pomrucawszy, odszedł tymczasem, ale tak, aby go mogli wyszpiegować w miasteczku. Chaim, stary, szczwany lis, postawił kwartę miodu, i począł badać go, naglić, usilując wyrozumieć. Żmujdzin udawał głuptaska, potem trochę podpilego.

— Bo to widzisz asan, rzekł dobrodusznie: rzeczy są jeszcze dalekie i niepewne. Albo będą umrowali stajnię, jeśli cegły dostaną tanio, albo ją będą stawiali z drzewa.

Żyd się zapalił, domyślając się tajemnicy jakiegóż, której nie było.

— Ja tylko tu tak przyszedłem ze swego domysłu, dodał Żmujdzin. Mnie tu nikt nie posłał, ręczę wasanu, że nikt mnie nie posłał. At tak, chciałem sobie zobaczyć.

— Nie zapieraj się wasan.

Bartek począł się zaklinać, ale tak doskonale, że Żyd mocniej się jeszcze utwierdził w przekonaniu, iż to był posel tajemny.

— Co waś do mnie się uczepiłeś! mówił napastowany, niby się broniąc. Ja nie wiem! Ja tak sobie zaszedłem; ja sam tu niedaleko się bnduję i potrzebując cegły dla siebie, zajrzałem zobaczyć i potargować. A jakby była dobra a tania, nawiasemby się

jaśnie wielmożnemu panu o niej mogło powiedziec jakie słówko.

I tak dobrze grał komedycę, że Żyd nadzieję dostarczenia dwóchkroć sto tysięcy cegieł dla starosty, opłacił darmo dostawiając parę tysięcy kopciałki i dobrą wypaloną cegłę Żmujdzinowi do jego chałupy. Szczęściem wkrótce potem istotnie zamówiono cegłę u Chaima, a Żyd pozostał w przekonaniu, że Żmujdzin tajemnie mu to wyrobił; był więc jeszcze dla niego z wysokim szacunkiem.

Gdy już cegła stała w kostrach na placu, poskrobał się znówu Rugpiutis w głowę, i począł głęboko zamyslać się nad wapnem. Kapucyni mieli wapiarnię na kawałku gruntu przytykającym do ich ogrodu, sprzedaż wapna robiła im kilkaset złotych do roku, a mieszczenie najęci wypalaniem jego się zajmowali.

W sobotę poszedł Bartek do Kapucynów, a że był z natury swój bardzo pobożny, i wiele miał do Boga interesów, gorliwie się też modlił. Po nabożeństwie zaszedł do celi ojca gwardyana.

Tu pokłoniwszy się i ucałowawszy pasek ojca dobrodzieja, westchnął.

— A co tam powiesz moje dziecko? spytał starszy łagodnie. Czego tak głęboko wzdychasz?

— Ja tu dobrodzieju, do jego łaski, po radę przyszedłem.

— No, i po jakąż to przecie?

— Aby tylko dobrodziej łaskawego dał ucha.

— Dla czegoż nie, mój kochanku? jeśli ci potrafię poradzić, z całej duszy.

— Miałem to ja sen dobrodzieju!

— O! o! sen! Sen mara, Pan Bóg wiara, kochanku.

— Toć to ja wiem, ale sen bardzo dziwny.

— Naprzykład? spytał zażywając tabaczki starszy.
Cóż tam takiego?

Bartek znowu westchnął, ręce zalał, w niebo spojrzał.

— Trzeba dobrodziejowi wiedzieć, że ja jestem biedny chudy pacholek, sierota, biedota. Starosta wywiózł mnie ze Żmujdzi, a że mu się służyło pocziwie i co mogło skarbiąc łaski jego czyniło, dał mi kawalinę gruntu, ot tu nieopodal pod lasem. Ja tedy własnymi rękoma i z wielkim mozolem pobudowałem sobie chałupinę. Dostałem cegły na piecysko, a majstra i wapniska mi braknie. Wapno zwłaszcza spać i jeść mi nie daje, a kupić go nie mam za co. Otoż wczoraj, nastękawszy się okolo tego wapna, którego z palca nie wylamać, a nie wiedzieć z kąd go wziąć, bo nawet nie slyszalem czy gdzie bliżej dwóch mil się znajduje...

Starszy się uśmiechnął i zażył tabaki.

— Wczoraj tedy usypiam z tą troską gryzącą. Aż we śnie widzę patronkę moją, która mi się objawia w jasnym obloku i powiada wyraźnie: „To czego żądasz tak bardzo, znajdziesz u oo. Kapucynów. Jutro pomódl się w kościele, a potem idź do o. gwardyana, pokłoń mu się do nóg, a otrzymasz czego żądasz. On cię zrozumie, wysłucha i obdarzy.” Obudziłem się w zimnych potach, pomodliłem, i ot klaniam do nóg dobrodziejowi.

Gwardyan wesolo się rozśmiał.

— A wiesz waść—rzekl—musi to być prawda co powiadasz, bo i ja sobie teraz przypominam, że się mnie także śniło, abym ei dał wapna. Ale razem ode-

brałem rozkaz z Nieba, aby za każdy korzec wysypać ci trzydzieści pasków z ogórkami kapucyńskimi.

Bartek pobladał.

— Tego rodzaju sny święcie spełniać potrzeba, bo są widocznie natchnione z Niebios, dodał gwardyan. Ileż ci tam korey wapna potrzeba mój kochanku?

Bartek po swojemu skrobiąc się w głowę, myślał, jakby się z tego wykręcić? ale pomysłu mu brakło. Starszy śmiał się w duchu z konceptu Żmujdzina.

— Coś nie mogę się obrachować, rzekł nareszcie Rugpiutis. Ale wie dobrodziej co? Prosiłbym tymczasem o wapno, a po ogórki przyjdę na ostatku, gdy już będę wiedział, ile mi się ich należy.

Naśmiewszy się do woli z przebiegłego chłopka gwardyan dał mu chętnie wapno potrzebne, a z niemi razem naukę, aby mogąc pracować, nie żebrał bezwstydnie. „Pracuj moje dziecko, rzekł: nie jesteś wcale głupi, masz zdrowie i sily, wick po temu, mógłbyś łatwo zarobić co; wstyd i upokorzenie ostatnie wykryć i wypraszać figlami.”

Zamiast przyobiecanych pasków, dano Bartkowi robotę, kazano odnowić pokost na drzwiach cementarych i balustradzie chóru kościelnego.

Tak wszystek już mając gotowy materyał, Żmujdzin jął się roboty; ale ta nielatwo mu poszła. Żle sobie przypomniał, jak się ~~co~~ robić powinno, i nie mógł podolać całkiem nowój dla siebie pracy. Rzuciwszy więc zaimprovizowaną kielnię i linie, poszedł do miasteczka. Tam trzy dni tabaczką częstując wszystkich majstrów mularzy, dla których szczególny teraz powziął szacunek, smakując nadzwyczaj w ich towarzystwie, przypatrywał się robocie, opowiadając im bajeczki. Czwar-

tego dnia wrócił do chalupy i śmiało już wdał się w wyprowadzanie komina. A chociaż mur jego inwencyi nie bardzo był gładki, choć komin nie trafił w zostawiony namyślnie otwór na środku dachu chalupy, przecież jakoś to się zrobiło. Z piecem było mnóstwo trudności, ale nalamawszy rąk, głowy i cegły, dał i temu jako tako rady.

Stała tedy owa chalupa, ale drzwi jeszcze, okien i stolów brakło. Główne wejście zaparłszy tymczasowo zbitymi z kilku opólków wrotkami na drewnianych biegunach, Bartek puścił się na wędrówkę raz jeszcze, i to nie ostatni.

„Najpotrzebniejsza mi teraz, mówił do siebie w drodze, przyjaźń jakiego stolarza. Pociężni to ludzie w ogólności ci stolarze! Naród enot pelen i uczuć najmoralniejszych, nie tak jak mularze, którzy z Żydami jedzą i za pan brat przestają z nimi. Prawda, że stolarze napijają się czasami lubią, ale któż bez słabości? Mularze, teraz zwłaszcza, gdy już piec postawił, wydają mi się dziwnie barbarzyńskim ludem.”

Przebiegł myślą wszystkich w miasteczku majstrów stolarzy, ale na żadnego z nich pono wiele rachować nie mógł, bo frasobliwie głową kiwał. Wszystkie interesa z mieszczański najłatwiej się w szynkach zawiązują i kończą. Bartek więc zasiadł pod wiechą, czekając co mu los nadarzy. Wierzył on bardzo w trafę, w szczęśliwy los, ale przez nahożeństwo nazywał Opatrznością fatalność, której ponęty go ludzili.

Nieraz tak sobie samym kłamiemy. Szczęście tak dobrze Bartkowi dopisywało, że się go i nadal spodziewał.

Pod wieczór nadeszła z flaszką wódki, córka majstra cechowego Łukasza, Justysia, którą Bartek znalazł

i dawniej. Wypadalo koniecznie do niej się poumizgać, a że to łatwo zwłaszcza po piwie przychodziło Żmujdziuowi, począł od: *Dobry wieczór panowie*, przeszedł z dziwną łatwością do zapytań o zdrowie godnej rodziny, nareszeie odprowadził dziewczynę do drzwi domu ojcowskiego.

Justysia, jedyne dziecko pana Łukasza, wielkiej używała swobody; wywdzięczając się więc za miłe słówka Bartka, zaprosiła go do środka. Początek tych odwiedzin nie poszedł łatwo, gdyż majster powód ich przypisał nie tak wdziękom Justysi, jak raczej ponętom flaszki z wódką, niesionej przez nią pod fartuszkciem. Ale gdy nie w cieniu bity Rugpintis, rozpoznał przyczynę zimnego przyjęcia i kwaśno mu ofiarowanego odmówił kieliszka, a cały się zajął Justysią, zniemi'a się całkiem postać rzeczy. Stolarz przypominał sobie nagle, że Bartek był uwolniony przez pana, miał własny kawałek gruntu, i gadano o nim, iż skrycie grosz gromadził. Chłodne więc z początku przyjęcie przybrało rychło pozór gorącej przyjaźni, zwłaszcza gdy Bartek miodu przynieść kazał i począł zręcznie rzemiosło stolarskie wynosić.

— Bo to zdaje się nie, nie! mówił podweselony. Stoi na pniu drzewo, kłoc gruby i bez formy, czarny, niezgrabny. A niech-no do niego zawężmie się stolarz, patrzaj! już wypilował tarciczkę, a z tarciczki dłubie, dłubie i robi co dusza zapragnie: stoiczki, stolki, szafki. Ot, ot! aż miło spojrzeć. To mi sztuka! Nie wielka rzecz mularzowi nagromadzić cegły, polepić, i coś tam z tego wybudować, to i bobry panie budują. Stolarz u mnie panie człowiek.

Przy miodzie poczęła się coraz serdeczniejsza gawędka, i od słowa do słowa Żmujdzin wszystkie swoje

starania o nową chłupę szumnie nazwaną dworkiem, z pewnemi jednak potrzebnemi odmianami i poetyzując niektóre okoliczności, opowiedział.

— Gniazdeczko się ściele, rzekł w końcu; a później, ba i czas będzie pomyśleć o ptaszku! Człowiekowi samemu źle i nie do rzeczy żyć. A byle było dwoje, będzie wszystko.

Majster wziął to za delikatne przymówienie się do Justysi, zwłaszcza, że w opowiadaniu dowiedział się o wyprowadzonym już kominie i postawionym piecu. Justysia zaś dla pewnych, bardzo ważnych, niemogących się tu wyłożyć przyczyn, potrzebowała koniecznie iść za mąż, nie w miasteczku, gdzie była nadto znana, ale kędyś dalej. Zastawiono więc sidła na Bartka, a Bartek niby dla interesu kilka dni przebawił w miasteczku, uczęszczając także do szklarza, z którym uczynił umowę o okienka, nawzajem mu zobowiązawszy się wypokostować dwie szafy. Że one koniecznie pokostowane być były powinny, o tém postarał się szklarza przekonać. Dziwił się Żyd, jak tego dotąd wcale się nie domyślał.

Ze stolarzem było trudno i szło tępo: trzeba było doprawdy unizgać się do bladój Justysi, do której Bartek wiele sereca nie miał, a lękał się, by potem nie rozeszonó do niego jakich dziwacznych pretensyj i nie kazano mu się żenić. Justysia, niebezpieczna Syrena, szczerze chcąc już pójść za mąż, tak się przymilała do Bartka, że Żmudzin począł zamyślać się o niebezpieczeństwie swego położenia. Napróżno usiłował on prowadzić interesa serdeczne stępo: ona ciągnęła go galopem do celu. Zląkł się, by go' za sobą nie uniosła. Historya drzwi i ławek mogła się skończyć tragicznie. Żmudzin poćmował nad tém, zważył wszystko, i wie-

czorem z miasteczka po dwóch tygodniach pobytu, zniknął nagle.

Powróciwszy do chałupy z oknami pod pachą i kupioném narzędziem stolarsko-ciesielskiém, wziął się sam Rugpiutis do roboty ław, stolów, drzwi i polic. Nie szło to łatwo: pacyło się i darło snrowe drzewo pod snrową ręką; ale choć niegładko, dokonał Bartek dzieła, winszując sobie, że w czas się opatrzył, jak dalekoby go zawieść mogło upodobanie w stolarskiém rzemiośle i Justysi. Jakiś dobry duch czuwał nad Żmujdzinem, bo mu jeszcze jednego niebezpieczeństwa oszczędził. Trzeciego czy czwartego dnia po powrocie z miasteczka, zajęty był właśnie ogladzaniem deszczek na lipowy stół głównej izby, gdy wyszedłszy na próg gdzie suszył tarcieжки, ujrzał z daleka drogą od miasta ku chałupie idącą postać kobiecą. Przeczucie jakieś mówiło mu, że to była Justysia, goniąca za nim i uważająca go już za narzeczonego. Bartek zaledwie miał czas zawołać: „I nie wwóǳ nas na pokuszenie!” rzucił się żywo na strych, wciągnął za sobą drabinkę i zaszył się w siano. Wkrótce dały się słyszeć kroki nadełhodzące, a potém wołanie, a potém śpiewka wesola.

Justysia (doskonale ją widać było ze strychu), nbrana jak od święta, świeża, z minką figlarną, w gorseciku czerwonym, faldzistej spódnice i białej jak śnieg koszuli, w granatowym kabaciku, stanęła w progu, różnemi głosami wołając na wszystkie strony:

— Panie Bartłomiejn! Panie Bartłomiejn!

Bartek wciąż szeptał sobie: „I nie wwóǳ nas na pokuszenie!” A wpatrując się niepostrzeżony w Justysię, zimnym się potem oblewał.

Uziwczynia śpiewając, usiadła na progu, aby po-

prawić pończochy, zajrzała potem do izby, opatrzyła cały domek jakby już swój własny, nie minęła najmniejszego kątką, rzuciła nawet okiem na strych, gdzie marzył biedny Rugpiutis. Wyczekawszy się dobrze, stolarzanka nareszcie położyła w pierwszej izbie na najwidoczniejszém miejscu tombakowy pierścionek ze szkiełkiem, i powoli, bardzo powoli, oglądając się kilkakrotnie, odeszła nazad do miasteczka.

Bartek złazł złamany ze strychu, i to nieprędko: obawiał się długo powrotu natrętnej dziewczyny.

Na tém skończył się romans poczęty, gdyż Justysia, nie mogąc dłużej czekać, we cztery tygodnie potem wydała się za czeladnika przybyłego z daleka i przyjętego przez ojca na naukę. Bartek zjawił się dopiero na weselu, udając, że z dalekiej za interesem starosty powraca podróży; a tak dobrze kłamał wielką rozpacz i żale, że Justynka (poczeiwe serce) uwierzyła mu i pozostała na długo najwierniejszą jego przyjaciółką. Z jej nawet natchnienia, posłuszny mąż, poprawił nieco stolarszczyzny w domku Bartłomieja. Na zimę tedy chalupa była zupełnie skończona, opatrzona, i poświęciwszy ją wprzód (bo Bartek był niezmiernie pobożny), wniósł się do niej dumny dziedzic, nasycając się dziełem swoim.

Wprawdzie ze ścian wiało, komin dymił niepomowanym sposobem, drzwi żadne szczelnie się nie przynikały; ale to były małe niedogodności w miarę wielkiej rozkoszy posiadania domu. Aby go zopatrzyć we wszystko co było potrzeba, począł znowu Bartek uciekać się do przemyślu, jedno sam kłęcząc, drugie dostając psim śwędem. Tak naczynia i spiżarniane zapasy po trochu się zebrały. Justysia teraz

najlepsza przyjaciółka Bartka, odwiedzała go czasem dobrą niosąc radę; on się już od niej na strych nie chował, nie widząc niebezpieczeństwa.

Nadeszła wiosna, Bartek poezął się moeno zadumywać znowu. Zaledwie śniegi zlażyły, pomyślał o opasaniu granic dziedzictwa swego płotami. Główny dziedziniec wedle zwyczajn potrzebą było murem z dziurkich kamieni obrzucić. W tej stronie Litwy o nie nie łatwiej niż o kanię. Leżą ich tysiące wszędzie po polach, błotach, nad drogami, najrozmaitszych barw, dziwnych czasem kształtów, niekiedy drobne, to znów ogromne i na wpół w ziemię wryte, zdają się szczątkami potrzaskanego jakiegoś świata. Pokładów skal nie ma w ziemi nigdzie: gładkie, otarte, przyszły tu widać z wielkimi wody potopu i oschle zarzuciły łożysko bajecznego morza, co łączyć miało Bałtyk z Czarnym. O drobne więc kamienie łatwo było, ale węglowe wielkie i idące na spód bryły, nie bez potu i znoju trzeba było wyważać z ziemi, toczyć na miejsc i ustawiać pod linę. Wierzeźnie zebrały się tuż prawie i bez wielkiego zachodu; trochę nakrajanę na endziej łące darniny posłużyło do spojenia wątlęj, ale mającej z czasem nabyć trwałości budowy. Ogród i łączkę otoczył Bartek żerdziami, o które równie łatwo mu było jak o kanię. Z pomocą przyjaciół zaciągnięto dwa wielkie szare kamienie do wrot i płaską płytę ezerwoną na próg chaty, wykuwszy na niej nieforemny krzyżyk. Dwie mniejsze zastępowały ławki w gancezku. Podrapawszy ogród motyką, posiał na nim trochę konopi, lnu i jarego żyta.

— Tandem, rzekł biorąc za kij i oglądając się z uśmiechem: potrzeba mnie się ożenić, a ożenić boga-

to, bo inaczej sobie rady nie dam. Potem pomyślimy o sposobie do życia.

Zaparlszy starannie drzwi chałupy i poleciwszy strzelcowi starosty, który wtedy około lasu chodził, aby mu jęj pilnował, Rugpiutis puścił się, pomodliwszy i nażegnawszy drogę, siebie i cztery świata strony. Nie wiedział dokąd idzie, ale stałe miał postanowienie powrócić jeśli nie żonatym, to zaręczonym.

Z tą myślą, zakasawszy poly, utwierdziwszy na kiju nowe bóty, podtoczywszy spodni i rozpoczynawszy rozmyślanie o słodyczach stanu małżeńskiego, machinalnie puścił się ku Nowemu Dworowi. Minał jednak nie zastanawiając się Nowy Dwór, i wijącą się pomiędzy wzgórkami drogą zapuścił się dalej, niekiedy tylko spoglądając na słońce. Wiedział, że droga, którą szedł, prowadziła do Zasiszek, ale po co się nią kierował, nie myślał; ze słońca wnosząc, mógł się spodziewać zejść na noc do tej wioski.

Okolica, którą tak wesoło bosami nogami przebiegał Bartek, pięknym była obrazem, ale nań mało zważał podróżny. Na prawo kamieniste litewskie wzgórza, gdzie niegdzie rzadkim gaikiem odziane, wznosiły uprawne swe grzbiety. Dołem płynął strumień popsuty moczem konopi, natkany licznymi kolami, które je wstrzymiwały na dnie,—przecież piękny. Liczne stada gęsi, nadające imię Zasiszkom, rozkoszowały się na wodzie. Brzegi strumienia, gęste zielono-żółte zarastały taraki. Na piaszczystych wybrzeżach czerniały rozsypane ciemne kształty jałowce, drobna rokiecina z popielatą zielenią tuliła się w wilgotnych dolach. Z gęstych drzew wyglądał dwór biały o wysokim dachu. Były to Zasiszki. Od dworu linią stały wysznurowane

czarne chatki wieśniaków, ich odryny, szopy i stodoły. Gdzieś niedzie z pomiędzy dachów jodła, brzoza lub grabina podnosiła szumiące czoło. Dwór Zasiszki, którego właściciel był, jakśmy widzieli, srogim antagonista pana ex-ekonomia, dosyć wspaniale wyglądał z daleka. Na prawo murowana kuchnia, na lewo łamns i sernik wysoki z blaszaną chorągiewką, dalej maleńki skarbiec, patrzyły z drzew gęstych.

Mieszkał tu stary kawaler pan Tomasz z Burdzie Burda z siostrą swą panną Weroniką Burdzianką, starą już, ale jeszcze żywą i nietracącą nadziei wyjścia za mąż panną. Ani wiedział jak do wrot dziedzińca doszedł nasz Bartek, i jak musiał się już na wszystkie strony oganiać kijem i bótami na nim wiszącymi, oskakującym go psoni.

Burda siedział w ganku. Jak wszysey próżniacy, którzy czatują tylko na gawędkę, pan Tomasz lakał jej wielce, bo nie miał co robić, a pracować prócz tego nie lubił. Obaczywszy człowieka w stroju podróżnym, odwołał zażarte psy, i począł kiwać nań, aby się zbliżył do ganku.

Pan Tomasz (gdyż historia nasza obejść się nie może bez jego wizerunku) był typem dawniej może pospolitym, dziś zapewne rzadkim. Małego wzrostu, gruby, szerokich ramion, konopiastego włosa, siwych oczek, wielkich brwi mężczyzna. Ospa oznaczyła go desenikiem wyszukany na polieczkach, teraz czerwoną zachodzącą barwą. Oprócz tego był piegowaty, miał plamę od ostudy na nizkiem czole i cztery piękne brodawki na twarzy. Pomimo tych przypadkowych dodatków, uchodził w owych błogosławionych czasach za wcale przystojnego mężczyznę, z mocy aksjomatu, któ-

ry powiada, że chłopu dość być trochę piękniejszym od dyabła. W istocie p. Tomasz miał *to trochę*, i uważał się za kawalera przystojnego. Nizkie jego czelo napiętnowane ostudą niekiedy siną, a najczęściej koloru brudnego i nieoznaczonego, zdobiła jedna ze czterech brodawek na samą skroni naksztalt przejrzałej poziomki wyrosła. Na tym pagórku puszczały się już coraz bujniej i gęściej długie białe włosy. Druga siostra umieściła się przy nasadzie nosa, trzecia w środku lewego policzka, czwarta na brodzie. Był to rodzaj samorodnej hiszpanki. Usta pana Tomasza koloru brodawek, były obwisłe, a dolna warga przecięta zupełnie na dwoje, co mu szczególnie nadawało wyraz. Ryż, zamaszyste, do góry podczesane bakenbardy, kolczyk w uchu z turkusem, dopełniały fizyognomii. Ubiór pospolity, w lecie nieszkańcom wsi właściwy, składał się z kitla i szarawarów płóciennych z czarnym pasem rzemiennym. Chustki na szyi nikt w domu latem nie nosi, i pan Tomasz cierpieć jej nie mógł, zwał ją nawet pogardliwie chomątem. Naprzeciw p. Tomasza siedziała panna Weronika Burdzianka, osóbką maleńka z zadartym nosem, trochę do brata podobna, ale nieskończenie od niego przystojniejsza, z jedną tylko nieznaczającą brodaweczką na nchu, którą brać było można za znamię przyczyniające piękności. Skutki umywania starannego ogórkową wodą, okazywały się na prawie białej jej twarzy. Tłuszczyła była, okrągła, rumiana, blondynka, lubiąca zaloty, piosenki wieczorne, plotki pokątne, odpusty tłumne, skoki rubaszne, młodzież śmiałą i ochoczą i t. p. Spodziewam się, że z tych kilku słów łatwo już rozumiecie pannę Weronikę, której podobnych kapryśnych, dziś wesolych jak ptaszęta, jutro milezących jak ryby blondynek, mają-

cyeh tzy i śmiech na pogotowi, zawsze tak jest wiele po świecie! Któż z was jednéj przynajmnićj w życiu nie znał panny Weroniki?

Brat panny, Tomasz Burda, lubił także polowanie, hulankę, czasem kieliszek w dobrém towarzystwie, ale słabość miał prawdziwą, nieszczęsną namiętność do plei pięknej. Całe życie kochał się, starał lub pokątnie biegł za wszystkiemi ładniejszymi dziewczętami dworskimi i wiejskimi, jakie mu się tylko na oczy nawinęły. Panna Weronika udawała, że tego nie widzi, i była zupełnie neutralną, nawet gdy pan Tomasz wdzierał się do garderoby, zostając pod jéj bezpośrednim zarządem. Ta powolność panny Weroniki zyskała jéj szacunek i niezłomną przyjaźń brata. Kto wie, azali nie było trochę rachunku w postępowaniu siostry? Tak bajali sąsiedzi, którzy sądzili przebiegle, że zamykając oczy na figle braterskie, siostra zagradzała mu drogę do ożenienia, a tak spodziewała się odziedziczyć kiedyś po nim majątek. Panna Weronika była o dziesięć dobrych lat młodszą od pana Tomasza, pan Burda zaś liczył sobie (gdy go do tego zmuszono, rozumie się), coś około czterdziestu. Ale były to tylko domysły i gadaniny, jakich na wsi pełno, i nie więcej.

Opadnięty od psów warkliwych Bartek i oswobodzony od nich jedném słowem gospodarza, postąpił ku gankowi, ze zwykłym pobożnym powitaniem:—Niech będzie pochwalony!

— Na wicki! A zkądże to kochanku?

— A! to wielmożny pan mnie nie poznaje?

— Dalifur (to było zakłęcie zwykłe pana Tomasza)—dalifur nie, kochanku. Coś mi się ochapia, ale, ale, czy nie ze dworu starosty?

— Tak, tak, dawniej—odparł Bartek—a teraz dzie-

dzie gruntu własnego pod X—ieczami i domu, a do usług pańskich malarz z professyi. Pokostowałem cały dom w Nowym Dworze, prawda, że tylko na czerwono.

— U tego szlachetki! szerepetki! nowój daty szlachcica i dziedzica! U tego...

— Łupiskóry! dodał Bartek.

— Cha! cha! wybornie, masz słuszość, Łupiskóra. Ojciec jego handlował koźmi, syn z ludzi skórę drze. Inaczej już go nie będę nazywał. Siostrunin, każ mu dać kieliszek wódki, a jako dworskieniu starki. No, ale cóż cię tu sprowadza?

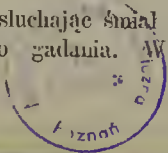
— Szukam roboty, może jaka u wielmożnego pana się znajdzie?

— Zobaczymy. A powiedzże-no mi najprzód jak to tam w Nowym Dworze?

Bartek zrozumiał, że trzeba mu było pomalować Nowy Dwór na czarno, dziedzica także nie szczędząc; a że nie było w istocie nie bardzo dobrego o nim mówić, puścił eugle językowi.

— W Nowym Dworze—rzekł uśmiechając się figlarnie—jak zwyczajnie w Nowym. Wszystko nowe, pan jak z igły, bóty nowe, bo niedawno chodził w postolach, i państwo nowe, bo niedawno przed panami czapkę zdejmował do ziemi. Ludzie skwierczą, pan cały dzień laje; jedno drugiego się nie trzyma. Chee coś z pańska kroić, a niebardzo mu się klei, wszędzie z pod pańskiego kontusza ekonomski kańczug przegłąda. Kupił już Jegomość dryndulkę po nieboszczyku proboszczu z Chorochorowa, żeby po staremu kalamaszką nie jeździć.

Pan Tomasz słuchając śmiał się i coraz pobudzał jeszcze Bartka do gawania. W końcu tak mu się



żmujdzkie koncepta podobały, że zaprosił przybyłego na noc, i wytrzymał go cały wieczór u drzwi swego pokoju, częstując piwem i gorzałeczką, do których wrodzony jakiś pociąg miał Rugpiutis.

Nazajutrz rano znalazła się jakaś robota, pod której pozorem zatrzymał Bartka pan Tomasz. W istocie chodziło mu tylko o łatwą pogadankę, w której nie miał wcale potrzeby ze słowami się rachować, gdzie pytanie każde żadaną wywoływało odpowiedź, żart przychodził na zapotrzebowanie, a szeroki i hujny śmiech rozlegał się swobodnie. To też przy ncierającym farby Rugpiutisie, pan Burda przesiedział cały ranek, i pośpieszył do niego znów po spoczynku podobnym. Ludzie dworsey widząc tak wysoce ceniony talent przez pana, z uszanowaniem poglądali na wielkiego człowieka w osobie Żmujdzina, i pękali od śmiechu ledwie gębę otworzył, a tak byli przekonani, że co tylko powie, warte jest współczucia i sowitych oklasków! Bartek ncierając farby i rozmawiając żywo i ochoczo, rzęcał przecież oczyma po swojemu, tak, że nie nie uszło jego uwagi. Na pozór cały oddany pracy, więcej się zajmował tém, co go otaczało, niżeli robotą, nad którą zdawał się wysilać. Postaci, ruchy, obyczaje ludzi otaczających polapał zaraz na korzyść swoją, i wiedział już drugiego dnia kto ze sług jest ulubieńcem pana Burdy, kto upodobany i protegowany przez pannę, znał na palcach wszystkie intrygi dworskie. I niekoniecznie w widoku jakichś korzyści czynił te spostrzeżenia, po większej części przychodziły mu one starym nałogiem, mimowolnie, jak rodzaj zabawki, co to przecię w danym razie i przydać się na coś może. Wśród roboty, ku wieczorowi, nagle kurant stanął w ręku Bartka, usta mu się szeroko rozwarły, głowa

podniosła, szyja wyciągnęła, osłupiał. Przyczyną tego niezwyčajnego podziwu była postać, którą ujrzał na drożynie od obór ku folwarkowi wiodącej. Było to dziewezę lat może ośmnastu lub dwudziestu (świeżość nie dozwalała sądzić dokładnie o latach, bo świadczyła przeciw innym oznakom wieku), ciemnowłose, czarnookie, maleńkie, zgrabne, krągłe, z pańską miną i chodem jaśnie wielmożnym. Była ona tém, co to dawniej zwano hożą czarnobrewką, ale i czémś więcej jeszcze. Owa młodziečna i śliczna czarnobrewka miała twarz, chód, dumne wejście i ruchy wielkiej pani, coś szlachetnego i samowolnego w sobie, zdradzającego albo szlachetność wrodzoną, albo bardzo tylko przesadzone udawanie charakteru wręcz przeciwnego naturze. Biała jak mleko, zaledwie nieco zarumienione mając policzki (a po staremu jagódki), z twarzyczą podłżną, prześlicznie zaokrągloną, z oczyma dziwnie jasnymi i wielkimi, a czarnymi jak dwa węgle, okrytymi powieką oszytą długą ciemną rzęsą i opasanymi wyżej brwią jak ciemna linia śniało rzucana przez malarza, z usteczkami rumianymi, drobnymi i podrzuconymi w dwóch końcach ku gorze, z bródką dolkiem oznaczoną, świeża, tak, że puszek zda się jak na nietkniętym owocu jeszcze ją okrywał—szła Franka przesuwając się jak zjawisko przed oczyma Bartka. Czarne jej włosy, wyczesane i świejące, spadały w dwóch długich warkoczach na kształtną kibić. Ubrana czysto i starannie a nie jaskrawo (miała na sobie blado-różową sukienkę i czarny fartuszek, biały klinik na niemniej białej szyjce i czarne trzewiki odbijające od świeżej pończoszki), wydawała się Bartkowi czémś wielkiem, najmniej kuzynką jejmości. Wracala wprowadzić z obory od dojenia krów z kluczami w ręku, a za nią niosły

dwie hoże dójki, śmiejąc się i chychocząc, ogromne naczynie z mlekiem, przykryte czystém cedzidłem; ale w Litwie i pańienki dworskie często do krów chodzą. Bartek z uszanowaniem zmierzył oczyma śliczną dziewczynę, która ukradkiem spojrzała także na niego, a tak w nią oczy wlepił cheiwie, że aż uśmiech mimowolny, ale prędko pohamowany, na usta jęj wywołał. Pan Tomasz nadchodzący schwytał Żmujdzina na uczynku.

— A co to waszczé już, dalifur, na dziewczęta mi się zagapiasz? zawołał pan Burda, śmiejąc się.

Zawstydzony Bartek począł zapaleczywie trzeć farbę i szukać konceptu na odpowiedź, aby się wyklamać z zagapienia. Nie chciał być bowiem posądzony o utratę przytomności z jakiegokolwiek bądź powodu, a uczuł, że musi mieć minę dość głupawą. Wyobrażał też sobie, że ta panna nieskończenie być musi wyższą stanem od niego; a kto zna obyczaje litewskie, zwykłą skromność stroju wieśniaczek i chętnę zajmowanie się gospodarstwem, nie zadziwi się omyłce Bartka. Była to omyłka, z której wkrótce wyprowadzony został przez pana Tomasza.

— A któż to waści wpadł w oko? zawołał Burda: czy sroga Naścia upodobana zazdrosnemu ekonomowi? czy Parasia rumiana ulubienica Fedora gumienego? czy może sama Franka?

— Wszystkie trzy! rzekł ochłonawszy Bartek.

— O! dalifur! na raz za wiele! zawołał pan Tomasz, rycząc od śmiechu.

— Dla oczu nie, odparł Żmujdzin, schylając się nad kamieniem.

— A prawda, że Franka ładna? spytał stary kawaler, klaskając językiem.

— Któraż to, wielmożny panie?

— Niby nie wiesz! o! franta kawalek! Różowa sukienka, nieszpętna pauienka! dodał Burda rad wielce z rymu i konceptu, przyniżając jedno oko.

— Królewski kąsek!

Tomasz wesa przymuszał.

— Prawda! rzekł. Ot wiesz co? dodał żywo, jakby myśl chwytając: masz chatę, masz ochotę, jak widzę, — ja ci będę swatami,żeń się i kwita.

Bartek spojrzał wielkiemu oczyma na pana Tomasza, biorąc to za żart gospodarza, i ruszył ramionami, wracając do tarcia.

— Wysokie progi na moje nogi! rzekł wzdychając.

— Dalifur nie! sierota! moja siostra ją z laski na opiekę wzięła. Nie bez tego, żeby też wydając ją za męż, trochę grosiwa i coś na gospodarstwo nie dała. Ot gotowa dla waszeci żona, a cóż?

— Nadto eoś na wielką panią wygląda.

— A! at! to tylko z daleka!

— He? A pan ją zna i z blizka? spytał złośliwie Bartek.

Pan Tomasz pokręcił go za ucho.

— Lotrze! zkąd ci ta domysłność?

— Służyłem we dworze pana starosty, to dosyć powiedzieć.

— Ale u mnie weale eo innego; u mnie tego nie ma.

— Och! och! mruknął Żmujdzin pochyłony obienia rękawu na kurancie. Znamy wielmożnego pana! Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi! Szlachta jadąc na odpust do Chorochorowa z córkami, objeżdża grunta zasiskie.

Pan Tomasz serdecznie śmiać się poczał.

— O Frankę nie masz się co bać: to dla mnie zakazane. Faworyta mojej siostry, od mała przy niej dniem i nocą.

Bartek głęboko dumal.

— Dyable piękna, rzekł po chwili; ale nadto ma minę wielmożnej pani.

— A pracowita, dodał p. Tomasz, a łagodna gdyby gołąbek!

— Cóż to ją pan tak zachwala jak zepsuty towar na sprzedaż?

— Żart żartem, żeni się doprawdy, począł nagle p. Tomasz.

— A gdyby? Mnie bo i potrzeba żony, ale z dodatkami wielu, z pieniędzmi, z krowami, z koniem, trzódka, kuferkami i strasznie hogatěj!

— Franka nie żartem będzie miała wyprawę, rzekł nastając dziedzie.

— Gdyby to nie pan rekomendował! odparł Żmujdzin śmiejąc się.

— A cóż to ja szkodzić? Będziesz miał opiekuna we mnie, nie więcój.

— I przyjaciela przy żonie? he?

Ohaj poczęli się śmiać, i na tém skończyła się rozmowa. Bartek wieczorem wyniósł się na wzwiady i przespługi. Z dość dohrze udaną obojętnością począł wypytwać o Frankę, nim się do niej zbliżył. Ale wszyscy jakby sobie dali słowo, wynosili jednogłośnie jej przymioty, najniżej nie okazując planki.

— Wiesz waćpan co? powinienbyś się z nią ożenić, rzekł Bartek ekonomowi, wysłuchawszy zapaleczywych jego pochwał.

— Albo to ja głupi! odpowiedział tamten machając ręką nad głową.

— No? a toż czemu?

— Waćpan—rzekł intendent z miną głębokiego dyplomaty—waćpan udajesz bardzo przebiegłego, a takićj blahěj rzeczy zainchać i domyślić się nie możesz.

Franka paniczowi się podoba (paniczami zowią się kawalerowie do lat choćby siedmdziesięciu), a nie śnić się do niej nmizgać, bo dziewczyna harda jak królowa, i wie, że wstydemby go tylko nakarmila. Czeką więc zaczaiwszy się, a gdy obdarzywszy ją suto i njąwszy, zaręczy za jakiego mazgaja, wtenczas Franka jego! a męzysko, no! potrzyma się za głowę!

— Takie to interesa! zawołał Bartek. Masz waćpan rację, to bardzo być może.

— Panicz i mnie ją stręczył, i kilku innym, dorzucił ekonom; ale nie w ciemną nas bito. Ładna Franka, piękne dwie krowy, ślicznych para klaczy i inne dodatki, ale, ale... To, „ale” niebardzo smaczne. Ja się dzielić nie lubię.

Bartek twardo się zamyślił, wziął powoli za czapkę, i dawszy w kóło „dobranoc!” wyszedł kiwając głową, szturchając w palec.

— E! rzekł w końcu do siebie: kto nie waży, ten nie ma! A no! spróbujmy! Gdyby co najgorszego wypadło, jużież to ja nie pierwszy podobno; a to takie głupie nieszczęście, że plunąć na nie chyba, a nie gryźć się niemi.

Trafem spotkał Frankę na drodze i pozdrowił ją zdjęciem czapki i słowami: „Dobry wieczór!”

Dziewczyna uśmiechnęła się i nie zdawała być daleką i trudną do zawiązania rozmowy. Bartek przeprowadzając ją powolnie do blizkiego przelazu, z całym jaki tylko miał dowcipem, śmiałością i wesołością się popisał. Dumna i poważna Franka kilka razy białe śmiejąc się pokazała ząbki. Na ten dzień tak się skończyło.

Nazajutrz kilka razy rzucił farby malarz i podchodził pogadać między bzy pod okno garderoby. Franka

też z kluczanii przeszła mimo niego daleko więcej razy niż wczoraj. Przebiegły Żmujdzin wyrachował nawet, że dłuższą drogę wybrała do lochu pod pozorem, że ta była suchsza.

Na zawiązujące się stosunki p. Tomasz patrzył okiem wesołym i żartował z Bartka. Żmujdzin uśmiechał się, ale nie zapierał i nie bronił, gdy mu zarzucano, że się we France pokochał. W istocie nie było się czego wstydić.

— No, ale co z tego będzie? spytał nareszcie Burda w tydzień potem, gdy już cały dwór szeptał o miłostkach ładnej dziewczyny ze żmujdzkim, jak go nazywano, niedźwiedziem.

— Co ma być! odparł Rugpiutis. Niedźwiedź, zwyczajnie niedźwiedź, wydrze barć i pójdzie w las.

— O! tak nie, mój kochanku! szybko i marszcząc się rzekł pan Tomasz. Niedźwiedź mógłby dostać po skórce.

— A jakże?

— Niech niedźwiedź weźmie sobie barć na plecy i rusza.

— Wie pan jak się łapią niedźwiedzie w puszczach około Miednik?

— Nie.

— Ja pannę powiem! Przy barci robią klatkę, meszka lezie do miodu, a wpada w niewolę.

— A na co mu się miodu zachciewa?

— Ba! to prawda! Ale gdyby niedźwiedź zabrał sobie barć, to co będzie miał w dodatku?

— Mówilem ci już nieraz.

Bartek potrząsnął głową.

— Wie wielmożny pan co! Gdybym ja się oze-

nił, a ktoś mi dając posag żonie, chciał kupić moją hańbę...

— To cóż? z przymuszonym śmiechem zapytał pan Tomasz — to cóż?

— Nie dałbym się.

— Któż ci to napłótl banialnk?

— Tak to, samo przyleciało.

— Zkąd? Nie zkąd, tylko z głupich ludzkich języków?

— O! z wiatrem, wielmożny panie!

— Nicchże sobie i pójdzie z wiatrem. Waść licha wie co i dla czego wymyślasz. Chcę wyposażyć Frankę, przez wzgląd na Weronikę. Nie mam do niej żadnej pretensyi.

Dość naturalnie mówiąc to, ruszył ramionami; ale ponieszany wzrok nie uszedł baczności Żmijdzina.

— Żadnej pretensyi? spytał glupkowato Bartek, udając łatwowiernego.

— Dajże mi pokój! pogardliwą robiąc minę, rzekł Burda. Taż się to dziecko wychowało u mnie, ani mi się taką piękną wydaje jak wam, bo rosło to ze smar-kacza pod memi oczyma.

— No, kiedy tak, to prosiłbym pana... schylając się do kolan Burdy zawołał Bartek:— prosiłbym pana o Frankę i o poparcie życzenia mojego u wielmożnej panny. Niech ją państwo wydadzą za mnie. Mam grunt własny, dworek (nigdy Bartek chatą nie nazywał tego, co istotnie nią było), mam i sposób do życia.

Radość źle utajona błysnęła w oku pana Tomasza, który natychmiast poszedł do siostry. Bartek porzucił robotę i wymknął się ku garderobie, dając z za bzu znaki France.

Franka na próg wybiegła.

— A co? spytała.

— A cóż! słowo się rzekło.

— A pan?

— Ma mnie z pozwoleniem za dudką, poszedł wesolutki jakby się dopiero na świat narodził. Ale pamiętaj panienko śliczna!

— Wszakżem przyrzekła!.... dumnie przerwała Franka.

— Ja od dziś zaraz ruszę ztąd niby do domu, ale na zawołanie od zmroku zawsze czatować będę. Jeśli by panni przyszła jaka dziwna fantazyja, proszę mi dać znak albo zawołać, a ja się przystawię w mig.

Tych kilka słów tylko powiedziawszy, rozeszli się szybko. Gdy p. Tomasz powrócił przed oficynę, już Bartek zamyślony, z udaną pilnością czyścił starannie zakłapaną pendzlistka.

— Ciesz się, Rugpiutis! rzekł: panna pozwala, ja także, ma się rozumieć. Dajemy Francę pięćset złotych, dwie krowy, dwie szkapy ze źrebiętami, dziesięć owiec i wyprawę przystojną. Dla sieroty trzeba coś, puszczając ją w świat, uczynić. Dzisiaj was zaręczym, a po zapowiedziach ślub. Ale pamiętaj szanować żonę, żebyśmy nie żalowali tego, co dla was czynimy.

Żmujdzin rzucił się do nóg z pozornym wylaniem, i nściiskał je, a podnosząc się, rzekł:

— Wielmożny panie, gdyby nie jedna wada, jestem pewien, że Franka byłaby ze mną szczęśliwa.

— No i cóż to?

— Z rodu wszyscy jesteście niepohamowanie zazdrośni — Boże odpusć! — żli jak szatani i podejrzliwi haniebnie. Już to tak się rodziły wszyscy Rugpiutysy, ze krwią się to przelewa widać. Mój dziad żonę

swoją po pijanemu zabił z powodu jakichś nieforemnych podejrzeń. Ojciec nieraz okrutnie i najniewinniej pierwszą swoją łomotał. Stryj skaleczył srodze komissarza, który się zbyt przysuwał do jego Teklusi.

— Bądź sobie zazdrosny jak chcesz! rzekł markotnie pan Tomasz, odgadłszy do czego to zmierzało. Co mi tam do tego, że wy jesteście zazdrośni!

I odszedł, z ukosa spoglądając na Bartka. Wieczorem odbyły się zaręczyny, suto i luczno obchodzone. Panna Weronika złośliwém wejrzaniem mierzyla Frankę, zawsze dumną i milezącą, Żmujdzina na pozór oddającego się wesolości, i brata, który szeptał coś do ucha raz w raz dziewczęcin. Tomasz zachował się zresztą bardzo przyzwoicie, a postrzegłszy, że Rugpiutis szepty jego uważa, z podelba już potem tylko rzucił niekiedy okiem ku pięknej czarnobrewie, jakby mówił w duchu:

— Co się odwlecze, to nie uciecze!

Stara panna zdawała się być doskonale o wszystkich prawdopodobnych skutkach tego związku oświeconą; znać to było z jej miny szyderskiej i błyszczących oczek. Bartek ciągle udawał największe zaufanie i uszczęśliwienie niezém niezmaconc, śladu niepokoju i podejrzliwości nie pokazał po sobie. Franka czerwona była jak wiśnia, onieśmielona, ale dumna jak zawsze i nieprzystępna. Ludzie dworsey chychotali, wskazując palcami to ją, to pana, to Bartka, widzącego wszystko, nawet szyderstwo, ale grającego ślepotę umyślną. Hulanka i tańce przeciągnęły się długo w noc; narzeczony nie spuszczał oka z Franki; gdy się rozeszli, czekał aż p. Tomasz do siebie pójdzie, i położył się dopiero spoezać w krzaku bżów pod oknami pańieńskiego pokoju.

Rano pożegnawszy wszystkich, zabrał manatki i w oczach ludzi poszedł drogą wiodącą do Nowego Dworu i swojej chaty. Pan Tomasz odprawił go, oplaciwszy suto i uczęstowawszy starą gorzaleczką na drogę, niedosć umiając pokryć, jak był rad, że się go pozbywa.

Po odejściu narzeczonego, zaczął dopiero nadszkakiwać po swojemu France, która uprzedzona, spodziewała się tego. Stara panna zajęła się tymczasem wyprawą, która nie tak rychło mogła być ukończona, a dla niej nawet nastawał pan Tomasz, aby ślub odłożyć. Chciał, jak powiadał, przyzwoicie opatrzyć się rotę. Tymczasem czyhał, nie spuszczając z oka najmniejszej sprzyjać mu mogącej okoliczności.

Smutna i brudna historia! Lecz gdybyśmy wszystko niemile i wstrętliwe wyrzucić chcieli z życia i powieści, cóżby pozostało? Tak mało jest pięknego i czystego! Życie się składa ze światła i cienia, a powieść, zwierciadło życia, musi nieraz zejść w brudne zakręty żywota, aby odtworzyć w pełni to, co się zowie światem i człowiekiem. Ileż to zgubionych istot przez podobnych panów Burdów, co zerwać owoc i uwieść młode stworzenie namową, upojeniem, siłą, za nie sobie mają!

Na ten raz jednak speliły zamiary pana Tomasza. Dziewczyna na jego poszepty odpowiadała zawsze milczeniem ledwie nie pogardliwem, lub śmiechem gorszym jeszcze. Czasem brała miłości za żarty, czasem gniewała się prawic. Burda przywykły do łatwych zwycięstw, zrozumieć tego nie mógł. Czas ubiegał z okrutną szybkością, zapowiedzi zbliżały się, a wyprawa, jakkolwiek do niej coraz coś nowego dodawano dla przeciągnięcia, już była na ukończeniu. Co noc Bartek

niepostrzeżony, niespokojny czuwał pod oknami narzeczonój.

Nareszcie do ostatniej niecierpliwości przywiedziony, jednego dnia pan Tomasz, srogić sobie czyniąc wyrzuty, postanowił wcale nie w porze, po ciemku, wkraść się do pokoju siostry, dokąd od niejakiego czasu przeniosła się była Franka, mimo uwag panny Weroniki. Nie wiadomo dla czego stara panna nigdy na klucz drzwi swoich w nocy zamykać nie dozwalała. Sama sypiała w rodzaju alkowy ciemnej, do której prowadziły drzwi osobne. Brat troskliwy o wygodę siostry, niedawno ję w ten sposób urządzić kazał oddzielną sypialnię. Służąca, którą teraz zastępowała Franka, sypiała w przedpokoju na wielkim kufrze, a raczej gdańskiej skrzyni, na której uścielano sienniczek i ubogą pościółkę przenośną.

Gdy wszyscy we dworze już się byli pokladli, skrzyły drzwi, ale razem dał się słyszeć przeraźliwy krzyk Franki:

— Złodziei! złodziei!

Głos ten przenikliwy, donośny, rozszedł się po całym domu. Panna Weronika zaszyla się w pościel, lękając nadzwyczajnie złodziei i rozbójników. W téjże chwili prawie kilka ludzi ze światłem zjawilo się u okien i we drzwiach. Bartek w ubranin podróżném wpadł z lichtarzem do izby.

— A! to pan! zawołała ze wzgardą Franka.

— A! to wielmożny pan! powtórzył, klaniając się nisko, Żmujdzin. Gdyby panna Franciszka wiedziała o tém, nie krzyczałaby tak głośno.

To mówiąc, uśmiechnął się, ale na żółto.

Pan Tomasz w niepojętym kłopotcie zaszyl się w kątek, i mrugał, kiwał, aby go nie wydawano. Wstyd

mu było siostry i ludzi. Dziwną rachubą, czy nie wiem jakim ostatkiem wstydu, pan Tomasz sam nadużywając, najsrożej ludziom na pozór wszelkiej bronił rozpusty. Najpierwszy do posądzeń, bez najmniejszego powodu najczęściej rzucanych, karał ostro, a sam udawał człowieka najnicowniejszego, najprzykładniejszego, choć wszyscy otaczający go wiedzieli jak się prowadzi i co dokazuje. Powinni byli udawać, że o niczem nie wiedzą. Bartek wchodząc natychmiast w położenie dziedzica, obejrzał się, rozśmiał, i rzekł nihy do stojących za nim u drzwi:

— To nic, to nic. Kot półkę zrzucił i stukotu narohił. Dobry wieczór pannie Franciszce, przechodziłem dziwnym trafem mimo dworu, wracając z Krumli—polsyszałem jój głos...

To mówiąc, dał znak panu Tomaszowi, że wszystko się pokryje. Ludzie odeszli, światło zagasło, pan Tomasz cicho się wysunął z Bartkiem, który rzekł do Franki:

— Niech jednak panienka drzwi zamknie na klucz, bo kot czasem i kłankę otworzy, jak się sera dowącha.

— Wielmożny panie, rzekł do dziedzica, gdy zostali sami: a co będzie?

— A cóż ma być? Dziękuję asanu i...

— Wielmożny pan, jak uważam, słowa nie dotrzymał i wczesnie chciał mnie wystrychnąć na kozierozca. Ja pod tym znakiem nie rodzilem się. Już nie wypada mi się z Franką żenić.

— He! chcesz co wytargować?

— Na co tu targ, kiedy to taka sprawa, której opłacić nie można.

— Ale ja palca jój nie tknąłem!

— Gadaj pan zdrow, a ja wiem co wiem! i po wszystkim!

Tomasz rozśmiał się przez próżność, ale zaklął się zaraz:

— Dalifur, panie Bartłomieju, głowa mnie bolala, chciałem dostać z półki konwaliowej wody, i...

— Gadaj pan zdrow! A ja wiem co wiem! powtórzył Bartek. Tymczasem prosiłbym wielmożnego pana dać temu pokój nadal. Za to, co się stało, nie zawadzi mi gęby zatkać, nie przeczę, bo jak ludzie, nie wyjmując i mnie, zaczęła paplać... Pan się stara o Magdalenę Snopkównę z Suchej Wierzb, wiem. Ja gotowem panu sam popsnąć językiem interesa. A tam drażliwi na to.

To powiedziawszy, Bartek odszedł, ukłoniwszy się, i zniknął. Pan Tomasz gniewny i zrażony, zaprzestał starań, choć w duchu prędzej później poprzysiągł zemścić się na Żmujdzinie. Różne myśli przychodziły mu do głowy: to odmówić posagu, to dać chude szkapy i krowy stare; ale rachował zawsze na przyszłość, nie chciał zrażać Franki, i prędko je zarzucił. Przy weselu okazał się wspaniałym, i państwo młodzi odjechali udarowani, ubłogosławieni przez pannę Weronikę i jak tylko być może najszczęśliwsi.

Pan Tomasz stał w ganku, patrząc na odjazd z dość głupią miną, skrobiąc się w głowę. Siostra się uśmiechała nad pończoszką, on powtarzał po cichu:

— Li, li, li, zakpili! Dalifur, frant ze Żmujdzina... Proszę o kieliszek starki, panno Weroniko... Kat go wiedział, że licho takie przebiegle.

Gdy Burda odśpiewuje tak elegię w ganku na gościńcu, Bartek pieje dytyranb radosny, zaczyna parę tłustych klaczy, za którymi biegają dorodne lo-

szaki, i dwie krowy śliczne wloką się przywiązane do ładownego wozu. Żona siedzi na zielonym knfrze okutym porządnie. Obok niej rozstawione w przyjemnym dla oka właściciela nieladzie pudełka, nasypki, graciki.

Z boku wspaniały, malowany wygląda kolowrotek i prześlnica. Za nimi pastuszek najęty pogania kilkoro owiec i świnek długonogich, ciągle wyrywających się z gościńca dla skosztowania co rośnie w polu. Bartek coraz to się obejrzy na swoją Frankę, piękną jak królowa, ale smutną czegoś, zadumaną. To uśmiech radości, to szyderstwa (gdy spojrzy ku dworowi) błyszczącym mu strzela okiem. Niebardo zważa na kamienie rozsypane po drodze, na których podskakują koła wozu, tak uroczą dla niego twarzyczka żony. Coraz to ją obejdzie oczyma i pokiwa głową, jakby swojemu szczęściu nie wierzył; potem zatnie klacze, śpiesząc do swojej chaty. Późno w wieczór stanęli w Brzozowym Ługu (tak się zwało uroczyisko, gdzie pobudowana została chata Bartka) i zastali tam już kilka wózków gości sproszonych na przenosiny z miasteczka i ze dworu Starosty. Franka pomieszana ledwie spojrzała na wystrojoną chatkę, na zastawione stoły i zebraną ciekawą gawiedź. Noc była piękna, tańczono w dziedzińcu po księżycu i przy lucywach do rana, pijani spoczywali pod cieniem drzew i plotem kamiennym.

Nazajtrrz około południa całkiem już pusto było w chacie, państwo młodzi zostali sami na sami. Bartek się zamyślił, uprzątając w sieni.

— Warto pójść S. Antoniemu podziękować za ożenienie, bo com się ożenił tom się ożenił. Prawda to być musi, że śmierć i żona od Boga przeznaczona! Gdzieby się to kto spodziewał! Z takiego dworu taki

skarby wywieźć! Bo to skarby i klejnoty! A! anioły malowane po kościołach nie tak piękne. Skromna i posażna, wszystko co trzeba w dom się wnosi. Co zaś najlepsze, że łagodna jak baranek, pokorna i słuchać mnie będzie. Będzie pan! będę pan!

To mówiąc, zaśpiewał:

— „I o nie nie dbam! i o nie nie dbam!”

Franka już chodziła po wszystkich kątach i gospodarzyła w spiżarni, w obórze, koło koni nawet; ustawiła kufry swoje (w których posag gotówką wypłacony zamknęła), podpierając na ceglach w głowach swojego łóżka. Rozwiesiła obrazki świętych przywieszone z sobą; zgotowała obiad, nakryła do stołu, i z progu zawołała męża na jedzenie. Bartek z założonemi w tył rękoma przechadzał się po dziedzińcu.

Wszystkiemu był rad i w wyśmienitym humorze. Po obiedzie, otarłszy usta i przeżegnawszy się, rozparł się Bartek na stolku i spytał żony:

— A gdzie duszko kłecze od pieniędzy?

— U mnie! krótko i sucho odpowiedziała żona.

Tę odpowiedź takie towarzyszyło wejrzenie, że Bartek osłupiał.

— A! a! wybąknął: ja myślałem...

— Jak będziemy potrzebowali—mówiła dalej Franka — to się poradźmy i dam.

— Poradźmy się! poradźmy! powtórzył kiwając głową Bartek. Ja bo dotąd tylko siebie samego, a czasem snu się radziłem.

— Naturalnie, bo mnie nie było. Teraz będziesz się mnie radził, przemówiła żona.

— Naturalnie! zagadał głupiejac Żmujdzin.

— A jakże!

W oczach i mowie Franki malowała się taka moc charakteru, pomimo słodyczy i wdzięku jej wzroku w wyrazie całej twarzy rozlana, że Bartek dopiero postrzegł, iż sobie panię kupił.

— Oj! czemu to mnie panna tego wprzód nie powiedziała! mruknął: byłbym się jeszcze namyślił wprzód czy się żenić.

— Teraz już się nie ma co namyślać, odpowiedziała żona. Poszłam za ciebie, bo mi gorąco było wyjść z tego domu, choć wiem, żeś frant, że lubisz się zakrapiać i próżnować, a pracujesz tylko gdy ci przyjdzie ochota, a bardziej fantazyja. Ale to się przerobi z pomocą bożą.

— A na cóż to się przerobi? spytał Bartek coraz bardziej zdziwiony.

— Będziemy oboje pracowali szczerze, ciągle i zbierali...

— A po dyabłaż zbierać?

— Na przyszłość, na złą godzinę.

— A dziś?

— Dziś, choćby przycierpieć przyszło...

— Wiele aspani lat? spytał nagle Żmudzin, powstając.

— Dwudziesty pierwszy.

— Nie może być! Musisz aspani jak koń wrześniak pokazywać tylko na tyle, ale mieć daleko więcej.

Franka się uśmiechnęła.

— Będziesz miał dostatek w domu, gospodynię, pomoc, ale trzeba statkować.

— Całe życie statkuje, bo nie mogę inaczej.

— I zapomnieć o Justysi.

— Aspani o niej lichy szepnęło!

— Nie, ludzie na wczorajszych przenosinach... Zapomnieć o hulance, gorzałeczce i włóczęgach.

— Za pozwoleniem! rzekł Bartek, któremu się w oczach ćmiło, bo swobodę i włóczęgę nadewszystko cenił. Ja sfiksuję z waćpanią. A co to ma znaczyć?

— Ma znaczyć, że waćpan ze mną żartów nie myśli stroić. Sam nie masz rozumu, to będziesz mnie słuchał.

— Ja nie mam już i rozumu! nie mam rozumu! nie mam rozumu! A! a!...

Żmujdziu schwycił się za głowę i wyskoczył z izby.

— Jezu! Jezu! co ja zrobiłem! co ja najlepszego zrobiłem! Otom wlaż! A co to będzie za rok, za dwa, kiedy dziś takie licho?... Oj źle! trzeba radzić.

Chciał zaraz ujść z domu dla szukania rady po świecie, ale świeża, niłoda twarzyczka żony nlatwiła zgodę i uległość do czasu. Choć Bartek skrobał się w głowę często i chłodził dumać pod płoty kamienne, kluczy od kuferka, o które się starał, przypochlebiał, których szpiegował, nacał po kątach, szukał po nocach, żadnym sposobem dostać nie mógł.

— Wyszedłem na dudka! rzekł jednego ranka po miesiącu pożycia, i drapnął rano do OO. Kapucynów do O. gwardyana na poradę.

— Czy znowu po wapno? spytał starzec śmiejąc się: czy po nalczne ogórki?

— Aj! aj! gorzej, ojcze wielbny: po radę, po radę, bom wlażł w biedę po uszy.

— No, cóż się stało? Piec się obalił?

— Żeby! piec się był obalił!... Ale, ojcze dobrodzieju... wilezysko się ożeniło, uszy opnęło.

— Oooo, doprawdy! A cóż to waś się tak zawiódl na żonie?

— Uchowaj Boże! Takem się dobrze ożenił, tak wysmienicie, tak doskonale, że aż nadto.

— Cóż to tam, za nadto? Pan Bóg dał może przychówek przed czasem?

— Uchowaj Boże! To cnota sama!

— Cóż, stara i brzydka, jak się waś rozpatrzył? spytał Kapucyn.

— Lat dwadzieścia, świeża jak jagoda, a śliczna gdyby anioł.

— Nie mieszaj waś aniołów do tego... Więc uboga?

— Oj nie! Dla mnie to nawet i bardzo bogata, i nadto.

— Chyba głupia zbyt, wlos długi a rozum krótki.

— Żebyż to, dobrodzieju, ja był na taką trafił! Ale w tym sęk, że za nadto rozumna!

— Żle się wie dzie?

— A źle, bo mnie chce gwałtem za nos wodzić.

— Cóż to, ona waszeci na zle naprowadza?

— Zapewne nie na dobre; chce, żebym od rana do nocy pracował, i co gorsza, żebym w domu siedział.

— O!...

Gwardyan począł się śmiać tak serdecznie, że się aż za brzuch i boki z kolei podtrzymywał.

— Wielcebnny ojeccie się śmieje, a wiadomo, że gdzie ogon rządzi... Jak to może być, żeby kobieta miała w domu być głową?

— To nie daj jej być głową i rządzić.

— A kiedy nie mogę.

— Widać kochanka, zes słabszy. Zdajże się na

wolę bożą. A kiedy cię żona do niczego złego nie prowadzi, podziękuj jeszcze.

— Ja myślałem, że mi co ojciec poradzi!

— Naprzykład, cożeś mógł myśleć, że ja ci poradzę?

— Myślałem, że ojciec jęj to rządziszewstwo z głowy wybić zechce. Jabyin ją tu przywiódł. Bo to nawet bezbożna rzecz kobiecie chcieć rej prowadzić i prym brać przed mężczyzną. Wszak to wiadomo, ojciec dobrodzieju, że Ewa jak się poczęła rządzić w kraju, tak tēm swojēm gospodarstwem cały ród ludzki zgubiła. Od tēj pory zawsze, gdzie tylko niewiasta króluje, źle się musi dziać... Ztąd, jak mnie proboszcz nauczył, Fe — mina... pfe, mina!

— To prawda, rzekł Kapucyn; ale to złe dawno zostało zmazane, a waść nie do rzeczy Pismo cytujesz i lacinę tłómaczysz.

Bartek poskrobał się w głowę.

— No, cóż mi ojciec dobrodziej radzi?

— Słuchaj póki na dobre, a gdyby uchowaj Boże do złego cię namawiała, oprzěj się; jesteś głową domu, masz prawo.

— Ja jęj to ciągle powtarzam, żem głowa domu, ale cóż! ona się śmieje z tego. I co jeszcze! Ma kilkaset złotych posagu, a jak mi Bóg miły, grosza jeszcze z nich nie widziałem, pieniędzy z kufra nie puszcza, a mnie każe iść pracować, zarabiać. Chciałem być na odpuscie, na mszy świętėj, nie dała mi nie na odwilżenie się i posilek. Opuścilem odpust; ot i grzech. Gotowa duszę moją zgubić. To kryminał!

Ojciec gwardyan odprawił Bartka, naśmiewszy się z niego, i rzekł, zamykając drzwi celi: „Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za leń trzyma.”

Bartek poszedł do Justysi na poradę, i spotkawszy się z nią w rynku, rozpowiedział jej swoją przygodę. Justysia pokiwała głową jakby mówiła:

— Podwójnie żałuję teraz, żeś się ze mną nie ożenił!

A potém:

— Wiesz co, Bartku? Wybierz-no się w drogę, a na długo. Udawaj gniew, powiedz, że ją chcesz porzucić. Zobaczysz, jak ci zmieknie. Oddal-no się tylko na jakiś czas z domu.

— A pan Tomasz? rzekł Bartek zafrasowany.

— Już on do was nie zajrzy.

— Ej! kto to wie! Pewien jestem, że czeka tylko, aby ja z domu.

I jakby co go ukłóło, szarpnął z miasteczka wprost do domu, ale szpiegując żonę, zaszedł od lasu! U plotu stał właśnie koń pana Tomasza i pies leżał przy koniu.

— Ot! niedarmo mnie coś pikuęło! rzekł w duchu. Podslucham co robią.

I podkrał się powoli pod okno.

Franka śpiewała głośno, pan Tomasz mruczał. Jedno było za stołem, drugie na ławie daleko.

— Żle! rzekł Bartek: odsunęli się od siebie. Może mnie się spodziewają... to musi być udanie.

Ale próżno zaczaiwszy się, stał pod oknem: nie nie posłyszał, ani się dowiedział, krom że Franka żadnych otiar przyjąć nie chciała.

— Ale to Herod baba! rzekł w duchu: niczém jęj przelamać nie można! Szalony charakter.

I wszedł do chaty z nienaacka.

— A! pan wielmożny tu!... zawołał niby z podziwieniem.

— Od dwóch godzin czeka na ciebie, odparła Franka; chce ci dać robotę w drugiej wiosce swojej, którą niedawno okupił.

— Tak! tak! a wielmożny pan będzie tymczasem mojej chałupy pilnował! O! nie z tego.

— Ja bez ciebie się obejść, i sama sobie dam radę! pogardliwie odpowiedziała kobieta.

Pan Tomasz zgodził się o jakąś wcale niepotrzebną robotę, i mrużąc odjechał. Bartek tymczasem zaraz po jego odjeździe, nauczony od Justysi, odegrał z żoną scenę przygotowaną. Ona zniosła ją, jakby się do tego przygotowała wcześniej, i powiedziała na końcu:

— A! chcesz iść, to idź sobie z Bogiem! Szczęśliwej drogi, panie Bartłomieju!

Bartek do żywego obrażony, poszedł, włóczył się po odpustach, pil, podglądał wieczorami ukradkiem pod chatę na żonę, ale nic, do czego by się mógł przycepić, nie wypatrzył. Franka wzięła sobie dziewczynkę z miasta i stariego dziada pijaka najęła za stróża, krzątała się około gospodarstwa, szyła, śpiewała.

Widząc, że gniew i oddalenie nic nie pomaga, Bartek powrócił. Żona spytała go, co do domu przyniósł?

Bartek odrzekł dumnie:

— Brzuch próżny! A gdybym co i miał, to do mnie tylko należy — rozumiesz jejność!

— Nie, Bartku! odpowiedziała powolnie Franka: co moje to wspólne, i co twoje to wspólne. Ale nie dla tego, aby stracić, lecz żeby zbierać. Już też i czas o tem pomyśleć, bo wkrótce Pan Bóg da nam dziecko.

Zwyczajem swoim Żmujdzin poskrobał się w głowę, ale nie znalazłszy języka w gębic, zamilkł. Urodzenie

syna rozdojruchało go nieco, zjednoczyło małżeństwo i ustaliło władzę żony. Franka w niczem nieposzlakowana, pracowita, zawsze wesola i spokojna, odważna za dwoje, codziennie piękniejszy objawiała charakter; z głupia fraut Bartek nie uniał się na nim poznać, ani go ocenić. Dla niego żona nakazująca pracować, oszczędzać, była niecznośną. Uciekał więc jak najczęściej z domu i niechętnie do niego powracał. Wkrótce dał Bóg i więcej dzieci, a matka sama prawie wychowywała je jak mogła. Żmijdzin bowiem ze swych wędrówek rzadko jaki grosz przyniósł, tracąc co miał na hulki, na pijatykę, a dalej w lata idąc, często walał się opily po szynkach i gościńcach. Charakter jego z wiekiem nie zmienił się, ale uległ naturalnie prawu powszechnemu wzrostu, rozwinięcia: Ceniony jako dowcipniś, wesoly gamrat, uniał zaczemnie wybornie, zręcznie grosz wyłudzić, pochlebić, poklonić się, słabość ludzką wymacać i z niej skorzystać bezwstydnie. Grosz łatwo nabyty nigdy też go się nie trzymał, bo go przepił lub z równą łatwością, jak sam wyrwał komuś, dawał wydrzeć sobie. Nadzwyczaj nabożny, nie opuszczając żadnego odpustu, uroczystości, nabożeństwa solennego, zawsze się w końcu upijał, a czasem i pobił. Po pijanemu warkrzyły mu się dziwy w mózgu rozpalonym, które wytrzeźwiony opowiadał jako istotne wypadki, widzenia, ekstazy, zjawiska i t. p., najpewniejszy będąc, że miał je przed sobą rzeczywiście.

Opowiadał naprzykład, że raz ukazał mu się Ś. Antoni, grożąc palcem po nosie za to, że dziewięciu wtorków (nowenny) nie odpościł; o tém, że go w drodze szatani całą noc wodzili pod postacią strzelców, zawiedli do jakiejś chałupy, upoiли, dali pieniędzy na

drogę, lecz gdy się przebudził nazajutrz, znalazł się w głębokiej puszczy, z której salwował się modlitwą, a w kieszeni pełno osikowych trzasek i czegoś gorszego jeszcze. Innym razem szatan, osobisty nieprzyjaciół jego, miał go do żony i dzieci na swój dworek, stojący na trzęsawisku, przez grobelkę z kości ludzkich zaprowadzić. Tam szatanica, bardzo piękna kobieta, koniecznie go spokusić chciała, ale on jej w oczy pluł i przeżegnał, wszystko w chwili znikło, a Bartek wyrzucony w powietrze, padł w sadzawkę p. Burdy. Szczęściem rybak tonącego odratował. Ile razy spotkał go kto pijanym, zawsze oszłomienie i nieprzytomność swoją składał na szatańskie figle i prześladowanie doznane. Bredni tych niewyczerpanych lud słuchał z uwagą i wiarą. Miewał Zmujdzin i sny prorocze, umiał zgadywać zguby i kradzieże, leczyć febry i robaki bydło napadające karteczkami jakiemiś, krwiotoki zamawiał skutecznie, ale zawsze z nabożeństwem jakimś lub znakami świętymi.

Malarstwo zwłaszcza, że niewiele miał praktyki, bardzo mu się podobało, i ostatecznie na niem poprzestał. A że pokostować niezawsze było co, począł więc odważnie, choć *invita Minerva*, malować poczwarne chorągwie z trupiami głowy, obrazy wotalne i t. p. do cerkwi i kościołów wiejskich. Skutkiem kilku prób podobnych wziął się za artystę i zdumiał we troje. Nie zniżał się już, chyba rzadko, do pokostowania, krom krzyżów naddrożnych, które przez nabożeństwo, spotkawszy na drodze, nócąc koronkę na wpół pijany często, zapaleczywie obmazywał czarno, zielono lub żółto wedle zapasu podróжного.

Co się tyczy jego obrazów, trzeba by się przenieść w owe wieki pierwiastkowe, po których na całej kuli

ziemskiej pozostały nieforemne postaci, trzebaby owe roboty poprzedzające historię malarstwa zobaczyć, aby z nich wyobrażenie powziąć o pracach Bartka Rugpintis. Przypadek był mn. jedynym mistrzem, ręka jechała po płótnie w nadziei, że z nieforemnych rysów coś się przecię sklei. W ogólności ręce jego figur dla wygody hywały długie po kolana, twarze przeciągłe, nogi laskowate i cienkie, oczy po chińsku ku skroniom zwrócone w kątach, nosy grubawe, usta zaś dwojakie: dla kobiet małe i malinowe, dla mężczyzn szerokie i czerwone. W nosach Bartka nie było wielkiej różnorodności, znał ich tylko podobno trzy gatunki: nos orli długi, nos zadarty (którego używał dla Judasza i lotrów) i nos kształtu kaczego, wygięty i wystający naprzód. Oczy malowały się różnie: wzniesione w niebo, spuszczone w ziemię i patrzące wprost. Oko z profilu widziane, malował Bartek dobrodusznie całkowitem i pełnem, utrzymując, że ono tak dalece odmienić się nie może, żeby aż trójkąt robiło. Suknie i draperye mocno kolorowane w cieniach, a blade w miejscach oświeconych, składały się tak dziwnie, że prawdziwie warte były zastanowienia. W ogólności wypukłości cieniem, a zagłębienia robiły się najpowszechniej jasno. Z czasem nabywszy wprawę, Rugpintis, stworzył na swój użytek więcej typów, które powtarzał nieskończenie. Kolorowane sztychy rozłożone przez Węgrów, wielką mu w studyach jego hywały pomocą. Największym obrazem jego ręki było Ukrzyżowanie, ofiarowane do blizkiego kościoła w Chorochorowie, gdzie je przyjęto wdzięcznie; Kapucyni bowiem zawieszenia go odmówili. Na niebie czarném jak atrament malowały się postaci białe jak płótno, długie, chude i polamane. W oddaleniu piorun frendz-

lowato leciał na Jerozalem. Na wierzchu głównego krzyża był kogutek blaszany, zwyczajem naddrożnych figur, naiwnie posadzony tu przez Rugpiutisa. Jego ofiara Abrahama z podpisem: *Ne utnesz Abrahame Izauka*, znana jest tak powszechnie wszystkim u nas amatorom malarstwa krajowego, że jęj opisywać nie widzimy potrzeby; powiemy tylko dla przypomnienia tego areydziela, że Abraham zabiera się strzelać z pistoletu do syna, a gdyby nie anioł, który wielce dowcipnie wystrzał niepodobnym czyni, trafiłby niechybnie Patriarcha, tak dobrze wycelowaną broń artysta przedstawił. Rugpiutis podniosłszy się do malarstwa obrazów kościelnych, tak spyszniał, zdumiał i poczuł wielkim, że całym już począł pogardzać światem.

Wylysiał też od myśli i pijaństwa, co mu nadawało wyraz poważniejszy, zwiększając małe z natury czoło.

Jejmość rządziła zawsze domem, ale malarz wędrowny, większą część życia spędzający na pielgrzymkach fantastycznych, uchylał się z pod jęj władzy, i unikając jęj mileżkiem przeciwko nadużyciom protestował. W domu mileżący był i guiewny, ale hamując się potrafił przyzwoicie obchodzić. Najsrożej gniewał się na żonę za to, że nie mógł do nięj za nię się przyczepić, że postępowanie jęj było nieposzlakowane i nie dawało powodów nawet do najmniejszego podejrzenia. Rugpiutis cierpiał zawsze obwiniony, nigdy obwinić nie mogąc. To mu życie trulo.

— Żeby też choć jakiegokolwiek głupstwo zrobiła! powiadał. Ale nie. Już to takie moje szczęście!

Tak płynęły lata małżeństwu naszemu. Pan Bóg dał im syna i dwie córki, które wychowywały się pod

okiem Franki, pomimo bówiem czulości jaką okazywał im ojciec, nałóg włóczęgi i pijaństwa nie pozwalał mu nigdy długo na miejscu usiedzieć. Osamotniony w domu zaczynał ziewać, nudzić się, mruczeć, gderać, gniewać się, i rozdąsany chwytal za kij, ruszał do miaszeczek, potem dalej a dalej gdzie oczy poniosły. Od dworu do dworu wszędzie znajomy, wszędzie witany dla swój weselości i rozlicznych talentów kabalisty, wróżbity, artysty i plotkarza, choćby roboty żadnej nie było zatrzymywany, traktowany, częstowany starką, przyjmowany po karczmach piwem i miodem—musiał się rozwłóczyć. Sąsiedztwo przywykło do niego, jak do roznosiciela plotek, wieści, do gaduły wesołego i dowcipnisa. To gubiło Bartka, podsycając jego próżniactwo i dumę. Zinujdzin doskonale wiedział gdzie wstąpić jako malarz, gdzie jako pobożny pielgrzym, studnia widzeń i snów endownych. Żona plakała widząc, jak nie nie przybywa krom dzieci; kilka razy próbowała pytać go o ich przyszłość.

— Przyszłość, moja pani—mówił Bartek na to—przyszłość przed niemi. Pójdą w świat i po wszystkim. Jak sobie pościelą, tak się wyśpią.

A matka plakała.

Na starość Bartek stawał się coraz obojętniejszym dla domu i rzadszym w nim gościem. Widzenia cudowne, sny prorocze, podróże pijaka, w których najłatwiej mógł nałogowi się swemu oddawać, coraz częstszymi się stawały. Wracał kiedy niekiedy, pijany, z nóg się waląc, a nie dostawszy wódki w domu, bo téj nigdy w Brzozowym Lugu nie bywało, ruszał nazajutrz dalej, malując przez nabożeństwo drewniane krzyże po drodze. Stare podnosił, pochylone podpierał, obmyte od deszczu piekarszył, nie zaniedbując

u spodu zapisać: *B. R. restaurował*. Jak wielu ludzi co źle robiąc myśla, że czémś małeńkiem dobrém, wszystkie winy zaplaca, malarz może w duchu tłómaczył sobie, że za te krzyżc Bóg mu jego grzechy odpusci.

Śmierć tego wielce oryginalnego człowieka była też niepospolicie dziwném zdarzeniem.

W sąsiedztwo zjechał był na jakiś czas, dla polowania nihy, z Warszawy kasztelanie Trąbski, człowiek młody jeszcze, wychowany na dworze Augusta III, wielkiego upodobania w sztukach, wykształconego smaku, lecz dziwnie samowolnego charakteru. Kasztelanie nasz, napatrzywszy się na obrazy i dzieła sztuki w zbiorach Augustów i naśladowcy ich Brühla, nie tylko pojmował sztukę w sposób właściwy wiekowi, wedle przepisów *Lairress'a* i *Mengs'a*, ale kochał ją namiętnie. Przybywszy na wieś znalazł kraj swój (pierwszy raz od dawna go oglądał) tak po większej części prozaicznym, tak we wszystkiem, co robi w nim człowiek, niepięknym, iż go to zdziwilo, zasnuć, potem zniecierpliwiło i zniechęciło do niego. Trąbski z wielu względów miał słuszność: gdziekolwiek bowiem człowiek u nas co zbudował, zasadził, przemienił, zdaje się, że myślał tylko jakby kraj swój zeszpecił. Najmniejsze nawet instynktowe uznanie piękna nie przewodziło czynności. Piękne prawdziwie położenia leżały dzikim odlogiem (i dziś jeszcze po większej części tak zostały); inne widocznie zbrzydzone i zepsute były, lub najnieszczęśliwiej wybrane. Kasztelanie spodziewał się szwajcarskich szaletów, domków niemieckich, a zastał chaty podobne do indyjskich wigwamów, płoty wysokie, rowy błotniste, budowy podobniejsze do stosów drew aniżeli do po-

mieszkań ludzi. Nigdzie nie odzywało się to bozkie uczucie piękności, które żyje w człowieku, ale się niełatwo rozwija na północy. Cóż dopiero mówić o ludziach! Kasztelanie, co zachwycił się lazzaronami neapolitańskimi, zawsze zdaje się gotowymi służyć za wzór malarzowi, odwracał oczy z niesmakiem od naszych laelmanami nieszlachetnemi okrytych kobiet i mężczyzn, którzy zwłaszcza zimą, chodzili jak ożywione bezkształtne bryły bielizny i futer, podobni Eskimosom. Czasem tylko na tém tle szarém krajobraz podobny do widoku klasztoru Kapucynów, piękny i tém piękniejszy, że się go już zdesperowany podróżny nie spodziewał, wpadał mu w oko nagle. Ale ten sam pejzaż psuły blizkie sznury chat wieśniaczych swą niekształtnością, brudem, zaniedbaniem, świadczące wymownie o stanie chłopka, niemającego wiary w przyszłości, ani żądzy podniesienia się ku wyższym a przecież dostępnym gdzieindziej dla jemu równych losom. Zmuszony przepędzić czas jakiś na wsi pod pozorem zabawy, a w istocie z powodu wypadku politycznego, do którego wnieszany, musiał na jakiś czas ze stolicy i oczu się usunąć, kasztelanie śniertelnie się nudził. Szukał rozrywki i myślał o niej tylko jak o warunku życia. Dwór, który objął po ojcu, nazywający się Troba (po litewsku izba, budowa), chociaż nie w kraju języka litewskiego dzisiaj położony, pochodzeniem nazwy świadczył jak inne sąsiednie, że i tu się dawniej rozciągała litewszczyzna. Był to stary folwark wzniesiony z pruskiego muru, o wysokim dwupiętrowym dachu i ogromnym ganku. Zrujnowanie i malowniczość (wedle dzisiejszego wyrażenia) téj budowy, ogromne, stare, otaczające ją olehy i blizki staw, przypominające razem pejzaż jakiś Breughla, zjednały łaski kaszte-

lanica. Zamieszkał tu bez wstrętu, ale dla zabawy zajął się upiększaniem okolicy, o której dotąd nikt nie pomyślał, aby była piękną, prócz Boga. W téj porze właśnie ozdoby zwane *rustykami*, z drzewa, nieobranego z kory, wchodziły w modę bardzo. Zastawiano ogrody niezliczoną ilością chatek, świątynek nawet, mostków, skal (właściwiej skalek) i rozlicznych piękno-stek, których myśli zapożyczano u chińskich ogródków. Kasztelanie coś podobnego przedsięwziął zrobić u siebie. Okolo domu zasadzono kwiaty, zrzucono stare otaczające budowle, oczyszczono zarosłe brzegi stawu; a bociany na starych olszach podobno dla tego tylko miały pozwolenie pozostać, że na sławnym jedynym pejzażu Rabensa, gniazdo ich się znajdnie. Na rzeczce rzuceno most rustyk; postawiono chatę rybaczą w tymże smaku dla labędzi, obwieszoną sieciami i klómlami dla ozdoby; dalej wzniosła się świątynka rustyk i t. d. i t. d. Na przeciwnéj stronie stawu nad drogą, stała między dwiema massami olei starych i wyniosłych, odwieczna polamana figura Ś. Jana. Kasztelanie chciał ją bez ceremonii kazać wyrwać, ale mu to jakoś odradzono, bo lud pobożny uważał ją za opiekunę, i byłby nie zniósł świętokradztwa popełnionego dla fantazyi pańskiej. Chcąc się przecież pozbyć nieforemnego posągu i niezgrabniejszej jeszcze okrywającej go kapliczki, wystawił kasztelanie lekką, nową; a pod nią umieścił sprowadzonego z za granicy kamiennego Ś. Jana; wcale niezły, chociaż trochę manierowany posąg.

Ludzie nwieli biali pobożność dziedzica i w imię jéj wiele mu darowali dawniej nieprzebaczonych dziwactw.

Kapliczka była kamiennego koloru, posąg naturalnej barwy kamienia także. Dawniej Ś. Jan tę miał

wyższość w oczach wszystkich, że był polychromem, (*vulgo* pomalowanym kolorowo).

Po za figurą szła droga z Zasiszek na Nowy Dwór de Brzozowego Ługu wiodąca. Wracający tedy raz i trochę podpily Bartek, nad wieczór jakoś trafił na nową figurę.

— Cud! zawolał, nowa! dalibóg nowa! i weale piękna! To tylko bieda, że fundator poskapił kosztu na pomalowanie, bo by była daleko piękniejsza jeszcze. Niechże się wstydzi, bo mu ją muszę pomalować, jakem Rugpiutis. Prawda, że farb wyjdzie na to nie mało; ale na cześć i chwałę bożą, na pamięć Ś. Spowiednika nie żałuję.

To mówiąc złożył manatki na trawie, rozsiadł się, dobył farb z tłómaczka, nauceżywszy się niedawno nosić je z sobą w pęcherzykach, dostał deszczulki gruszkowej, pendzlów, i wdrapawszy się za żelazną kratę otaczającą posąg, wziął się na seryo do Ś. Męczennika prazkiego. Twarz błysła rumieńcem, oczy zaczętniały zezowato, bródka stała się widoczną, birecik okrył czoło, stula, suknia i popielicowy płaszczyk i komża, właściwemu kolorami *oddane* (styl Rugpiutisa) zostały. Rugpiutis uśmiechał się do siebie i mruczał pod nosem:

— Oto się zadziwi! oto się zdumieją pocziwe ludziska! A! a! zaraz powiedzą: „Szedł tedy Rugpiutis.”

Robota zbliżała się do końca, a Żmujdzin już się nią rozkoszował, gdy tętent koni i krzyk dały się słyszeć. Kasztelanie w rozpacz dostrzegłszy z daleka roboty fatalnej, leciał w passyi, w gniewie, zajadły tak, że z początku słowa wyrzec nie mógł.

— Co robisz lotrze! zawolał; co robisz zbójco! rozbójniku! co robisz!

Bartek odwrócił się, nie rozumiejąc o co chodzi.

W głowie mu się pomieścić nie mogło, za co go tak apostrofowano.

— Łotrze? lotrze? powtórzył nareszcie odwracając się swobodnie. Co to jest? Za co ten krzyk? Maluję na chwałę bożą! A pan czego się tak gniewa?

— Kto cię prosił o malowanie, zbójco!

— Zbójco? Co to jest? Jak żyję nie słyszałem podobnej mowy do siebie!

— Kto cię pozwolił?

— Kto pozwolił! Albo się to potrzeba starać o pozwolenie, żeby figurę pomalować? Ja od lat dwunastu wszystkie krzyże i figury po drogach na chwałę bożą i dla odkupienia grzechów maluję.

Bartek przyłożył pędzel znowu do figury, ale kasztelanie zbliżając się zawołał z impetem:

— Porzuć to i uciekaj głupcze, bo cię każę oćwiczyć.

— Oćwiczyć? mnie! mnie!

— Idź! mówię ci, idź! jeśli po uszach oberwać nie chcesz!

Bartek począł się lękać o siebie, ale dotąd nie mógł zrozumieć o co chodzi. Zebrał pędzle i farby, i mileząc przelazł powoli przez kratę, rzucając wzrokiem pogardy na dziedzica.

— Zmywać! ścierać, szorować! zawołał kasztelanie w rozpacz. Ten lotr obrzydził mi posąg wyborniej roboty i takiego efektu. A! sto łóz za taką sprawkę byłoby mało. Na galery! na galery! (kastelanie wychowany za granicą, myślał dobrodusznie, że w Polsce były galery).

— Co to jemu jest? spytał Bartek ludzi po cichu. Czy nie oszalał wasz pan?

— Idź mi z oczu! idź mi z oczu! zakrzyczał w tę

chwili kasztelanie, zamierzając się pejem, który trzymał w ręku.

— Mój panie! odparł prostując się dumnie Żmujdzin: jeśli nie dla chwały bożej, tylko dla swojej fantazyi jakiś stawiasz figury, mniejsza o to, choć się gubisz na duszy; ale co do mnie, ja miałem prawo malować, jak baby mają prawo wieszać fartuszki na krzyżach; to moja ofiara.

Nie dosłuchawszy tych słów, kasztelanie zniecierpliwiony podniósł peję i kropnął nim Żmujdzina. Bartek zchmiał, oburzył się, wzdrygnął, zaczerwienił, chciał coś mówić jeszcze, wyprężył się tylko konwulsyjnie, i padł bez ducha.

Zmieniła się scena, i wszyscy od Ś. Jana pobiegli do leżącego Bartka, ganiać milezeniem wymownym popędliwość i niewyrozumiałość kasztelanica. Puszczono natychmiast krew nderzonemu krwi przystępem do głowy, lecz pomimo największe staranie, pomimo troskliwą pieczę samego winowajcy, sprowadzenie doktorów, śmierć już zapewne przygotowana nadużyciem trunków, w kilka tygodni przyszła zakończyć prace i kłopoty Bartka Rugpiutisa.

Kasztelanie srodze wyrzucając ją sobie i dręcząc się jej wspomnieniem, z największą troskliwością postanowił zająć się losem wdowy i dzieci. Pogrzebał wspaniale kosztem swoim Bartka na kapucyńskim cmentarzu; parę tysięcy złotych przyobiecał wdowie, procent od nich zaliczywszy zaraz; pomyślał nareszcie i o dzieciach.

Franka, która jak większa część prawdziwie pięknych kobiet zatrzymała długo piękność swoją, czarnemi hiszpańskiemu oczyma njęła za serce kasztelanica. Od dawna nie ludzkiego w tym kraju nie wi-

dząc, pornszyl się pan Trąbski wejrzeniem jój, pełném nieodgadnionych tajemnic. Lecz wdowa przyjmowała go poważnie, zimno, surowo, a kto wie czy ta duma smutna nie przyczyniła się jeszcze do rozdrażnienia młodego, znudzonego łatwemi miłostkami człowieka?

Często wieczorami kasztelanie przyjeżdżał do Brzozowego Ługu; ale odjeżdżał smutny, zamyślony i pomieszany. Nie mógł zrozumieć tój biednej ubogić, prostój kobiety, do której przystąpić śmiało nie miał odwagi. Dzieci tylko szczebiotaniem go witaly, bo im przywoził zabawki i podarunki; ona zimném wejrzeniem i wyrachowanemi słowy.

Starszy syn Bartka, Jan, miał już lat około dwunastu. Podobny do matki, piękny jak aniołek Albana, jak dzieciątko Guida, z czarnemi oczyma wielkiemi, podłużną twarzą, ciemnym włosiem, białym i zaledwie rumieńcem lekkim niekiedy ożywiający się, był ulubieńcem kasztelanica. Matka także najlepiej podobno z dzieci go kochała, chociaż to przywiązanie tajone ledwie się czasem mimowolnie objawiało. Kasztelanie długo karmiąc nadzieję podobańia się wdowie, wreszcie zawiedziony, zamiast mścić się i opuścić ją, powziął dla nićj jakiś czynności pełny szacunek. Nie przestał bywać w chacie Rugpiutisa, a Franka widząc, że się zrzekł dawnych myśli, przyjmowała go z wdzięcznością, pełną jednak jakiegoś uczucia własnej godności, nigdy jćj nieopuszczającego.

Piękny był ranek, gdy jadący z chartami kasztelanie mimo dworku nieboszczyka Barłka, zastanowili się u wrot dla powitania gospodyni. Sądząc, że ją gdzie kolo domu zobaczy, wspiał się na strzemionach, ale tylko pusty dziedziniec zmierzył okiem ciekawemi. Jaś jeden za plotem kamiennym siedział nieruchomy, i na płaskim szarym glazie upadłym z ogrodzenia, rysował coś kredą białą. Stare psisko podwórzowe, z miną głęboko zamyśloną, siedziało kolo chłopezyka, i zdawało się wpatrywać w niego, czy w dziecinną jego robotę. Kasztelanie ciekawie się zastanowili po cichu. Przypomnił mu się młody Ambroggiotto Bonone (Giotto) rysujący owieczki swój trzody; uznał w tém oznakę talentu, widząc dziecko tak pilnie zajęte rysunkiem; myśl mu przebiegła po głowie zrobić z niego malarza, jak Chimabne'mu z Giotta.

— Jasiu! zawołał po chwili: dobry dzień waszeci. Co to robisz?

Pies i chłopak razem głowy podnieśli, a uśmiech i rumieniec na pięknej wykwitły twarzyzece. Stary Rozbój ogonem pokiwał i na plot wspiąwszy się, radośnie szczechnął.

— Co robisz? powtórzył pan z uśmiechem.

— Co? maluję! odpowiedziało dziecko, poważnie i powoli wstając.

— Cóż malujesz?

— Obloki! odparł Jaś. Ale tatulo mój ładniej malował, bo farbami. Ja ich nie mam, tylko bialo mażę po kamieniu. Jak nie ma co robić, cale godziny się tu bawię.

— Chciałżebyś—rzekl kasztelanie—lepij od tatula twego malować? Chciałżebyś się uczyć?

— To nie dla mnie, odpowiedziało smutnie dziecko.

Matunia codzień powiada, że czas mi pójść służyć, a na chleb pracować. Kto się uczy, ten nie zarabia.

— Jabyś ci pomógł, gdybyś miał ochotę.

Jaś wyskoczył na płot rzeżko, oczy mu się zaiskrzyły, obejrzał się i rzekł po ciebie, ze strachem prawie:

— A matula?

— Matka się na to zgodzi, bo to chleb piękny, i więcej coś niż chleb jeszcze, sława, imię...

Dziecię nie zrozumiało weale ostatnich słów kasztelanica.

— Jak to? zawołał Jaś żywo: jabyś umiał doprawdy malować i ludzi, i obłoki, i lasy, i niebo cudowne, i wszystko co Bóg tak prześlicznie stworzył! A, panie! nie żartuj! nie żartuj! serce mi bije.

— Nie żartuję mój Jasiu, ale wprzód potrzeba ci się pójść nauczyć czytać, pisać.

— Czytać umiem, pisać piszę, ale bardzo brzydko.

— A maszże ochotę uczyć się?

— O! gdyby tylko można, takbym był szczęśliwy!

Kasztelanie schylił się do dziecka, które uderzył parę razy po zarnuionem twarzy, potem zawrócił konia we wrota dziedzińca. Franka ukazała się właśnie na progu.

Po przywitaniu, usiadłszy na ławie ręką Bartka wystruganej, kazawszy podać sobie mleka, młody protektor począł mówić z matką o Jasiu. Jaś przysłuchiwał się niespokojny z za drzwi.

— A co moja jejność? rzekł: wartoby pomyśleć co o Janie?

— Gdyby można, odparła wzdychając wdowa—gdyby można! Dawno go myślę gdzie oddać, ale boję się, żeby się nie popsuł, i żał mi stracić go z oczu.

— Znalazłem go właśnie teraz rysującego coś na

kamyku. Ma ochotę, mógłby może wyjść na malarza, ja bym mu pomógł.

— A! panie!

Tyle tylko odpowiedziała kobieta, i lzy jej stanęły w oczach.

— Pomyśliły o tém, rzekł kasztelanie schylając głowę,—pomyśliły i postaramy się.

Nie było sposobu umieszczenia chłopca dla nauki malarstwa inaczej niż w Wilnie, gdzie kasztelanie polecił wyszukać malarza, u któregoby początków rysunku Jaś mógł się nauczyć. Ale nielatwo o to naówczas było w Wilnie. Wprawdzie i tam powolnie budziło się już zamilowanie sztuki: znajdowali się ludzie co tworzyli Guciewiczów, co skupowali obrazy i okrywali nimi ściany swych pałacików; ale nie było nauczycieli malarstwa ani kursu przy akademii. Kilku bazgraczy, portrecistów, kopistów, składało cały zasób artystyczny miasta Wilna. Trochę na los wywiedziawszy się o nich, kasztelanie więcej podobno na ucznia niż na mistrzów rachując (bo nadewszystko w talent wrodzony wierzył), pierwszemu z brzegu, niejakiemu Szyrcę, posłał swojego wychowanka.

Jaś splakawszy się przy pożegnaniu, upadłszy do nóg kasztelanica, który mu woreczek wcisnął do ręki, obłany łzami matki, wyściskany od dwóch siostrzyczek, na żydowskiej furze, puścił się w pierwszą podróż życia.

Któż opowie wrażenia tych dni kilku, tak zupełnie nowych dla niego?

Jan, gorących, ale głęboko tajonych uczuć, wyobraźni żywej, pełen szlachetności, którą mu matka wpoili, nabożny, bo go od dzieciństwa otaczało nabożeństwo, należał w tej porze życia do dzieci naiwnych,

czujących więcej niżeli myślących, rozkoszujących się światem więcej niż usiłujących go badać. Dwojakie bowiem bywają zwykłe dzieci: dzieci, co się z siebie samych i ze swego dzieciństwa śmieją, w niem jeszcze żyjąc, co szydzą ze wszystkiego i wszystko przyjmują jak przypomnienie, jak coś dawno znanego; i dzieci naiwne (do nich to Jan należał), dla których wszystko jest zachwyceniem, pięknnością, wielkiem i wspaniałem, które nie wyuczą się ironii i szyderstwa, chyba zgwałcone i przymuszone cierpieniem i zawodami długimi. Dziecię nasze było już ślicznem chłopięciem, jakimś maluchem Ś. Jana Chrzciciela na pustyni, hiale, ale ogorzale, czarnookie, z owem łzawem spojrzeniem, uczuciowym ludziom właściwem, zamyślające się często i na długo, gotowe do łez nawet wśród śmiechu i wesela.

Duma, męczyna spuścizna, już mu się odzywała w piersi; a ta duma czyniła go pokornym. Tak jest: prawdziwie dumni ludzie chowają się z dumą swoją, okrywają płaszczem pokory, aby nie dać się ranić w to, co mają najboleśniejszego. Głupcy tylko dumni, swój skarb, dumę, noszą na głowie, pokazują ustawicznie i dają na cel ciosom wszystkich.

Dla Jasia, który nad miasteczko, kościół Kapucynów, ogród kapucyński, Zasiszki, Nowy-Dwór i Trobę, mało co znał więcej, świat wydał się ogromnym i wspaniałym. Dotąd zdawało mu się może, że niebo zapadające sinemi zasłony za widnokrąg, gdzieś niedaleko nieprzebite stawi zapory; teraz pierwszy raz poczęło mu wszystko uciekać z przed oczu, wyciągnął się świat, przedłużyła ziemia i zarysowała nieskończoność.

Coraz nowe przedmioty ścigały jego uwagę nie-nasyconą, nie mógł spać, żał mu było szybkiej jazdy.

Nieznane kwiaty, nowych postaci drzewa, dziwne wód zakręty, wyrwy nad rzek brzegami, szerokie zlociste drogi, ludzie w takiej liczbie i coraz tak odmienni, kamyczki nawet chrupiące pod kolami,—wszystko go zachwycało. Ptactwo, którego śpiewu dotąd nie słyszał, chaty, jakich nie widział, kościoły białe z przysadzistemi wieżami, gaje przezroczyście z brzóz białych, stojące nad wodami jak płaczliwe narzeczone nad grobem, zda się przygnębione i zardzewiałe od żalu, dziwnych, nieznanych myśli napędzały mu do głowy. Co chwila chciał uprosić Żyda, aby stanął, pozwolił mu patrzeć; ale Izraelita, który chłopea miał za trochę postrzelonego, odwracał się na niewyraźne pytanie milezący, ruszał tylko ramionami i popędzał konie. Był najpewniejszy, że wiezie biednego do szpitala waryatów.

Tak przecie dojechali do Wilna. Tu go już czekał pan Szyrko. Przypatrzył się z bliska nauczycielowi, jakiego los wyswatał dla Jana, nim znowu do ucznia powrócił.

Pan Szyrko, człowiek lat około pięćdziesięciu, był sobie bazgraczem jednym z najpospolitszych—typem malarza, jakich i dziś u nas mnóstwo się znajdzie jeszcze. Trochę nabytą zręczności, trochę szczęścia i trochę szyderskiej protekcyi biskupa Massalskiego wywiodło go na dostojność artysty. Trzymał się na tém stanowisku jak mógł. Spojrzawszy nań, już się po nim wielkich rzeczy spodziewać nie było można. Mały, gruby, otyły, z siwym włosem w hacap ujętym, po niemiecku ubrany, w szaraczkowym, zwykle na przednich kłapkach zataczonym fraku, białej pomarszczonój kamizelce, z żabotem przypiętym szpilką nazywa-

jącą się złotą, w białych niegdyś pończochach i trzewikach z klamrami stalowymi—miał minę wesolą, radą sobie a uroczyście głupią.

Ten wyraz głupstwa w oczach bladych, spłowiałych, ustach uśmiechem wykręconych, w nosie trochę zadartym, a jak u cwejnosy rozbitym w końcu na dwoje, w brodzie przeciętym rowem, i w mince bez powodu czasem dumnej niby lub zamyśloniej głęboko, dobitnie się malował. Cały boży świat żartował sobie z Szyrki, który pomimo tego nigdy się nie opatrzył, iż był szyderstwa celem, że zawsze i wszędzie drwiono sobie z niego. Dla niższych nieco był nielitościwie grubiański, srogi, a tćm sroższy, że głupi, nie wiedział więc gdzie i z kim jak mu być należało.

Kiedy czasem nakazał się na publicznej przechadzce z laską o galce kościanej, z pudłem faworytem miśternie wystrzyżonym na lewka i pełną satysfakcyi miną, wszyscy spotykający odwracali się patrząc na niego, i uśmiechali z zadowolenia, tak wybornie był śmieszny. Znajomsi zatrzymywali go częstując tabaczką i poddrwiali rozmawiając. On wszystko, co go spotykało, brał do brodu szczerze za wyborną monetę, za dowody życzliwości i przyjaźni powszechniej. Utrzymywał nawet czasem, że mało było ludzi równie kochanych i powszechnie lubionych, mało kto mógł się poszczycić taką jak on liczbą przyjaciół. Miał się w duszy za człowieka pełnego przyniotów towarzyskich, za zjadacza sere.

W stosunkach z *plcią* jeszcze naówczas zwaną *piękną*, pan Athanazyusz (takie nosił imię umyślnie na *usz* zakończone) był tćj wyszukanej grzeczności francuzkićj, śmiesznej i przesadzonej, którćj przykłady pozostały nam jeszcze w ni-dobitkach XVIII-go wieku

z siwemi włosy, grających rolę młodzików i prawiających komplementa niezgrabne à propos kataru, upadłej chustki lub rozlanego sosu. Niegdyś Athanazyusz miał się za pięknego, pod starość podejrzewał siebie, że jeszcze mógłby być niebezpiecznym; miał sobie niejako za święty obowiązek smażyć cholewki do wszystkich *dam* (sam zwał się z cudzoziemska kawalerem Athanazyuszem), i jakby się wyneżył historyjki miłości na obrazkach sielankowych XVIII-go wieku, często pasterki i pasterzy arkadyjskich wspominać lubił w rozmowie z plecią *nadobną*. Mowa jego z niższymi grubiańska, z kobietami w lepszym towarzystwie była napuszczoną, pełną słów niepotrzebnych, ponapychanych w niesłychanej ilości, czezą myśli, rozwlekłą i ciągle na szczudłach wzniesioną. Najmniej zrozumiałe a najwięcej dźwięczące wyrazy, były najlubiejsze; kilka ich ukochawszy szczególnie, co chwila je powtarzał potrzebnie czy nie. Uczciwym był zresztą człowiekiem jak ci wszyscy, co otwarcie złego nie nie robią; głupi może być kiedy całkiem uczciwymi, gdy na czem polega uczciwość zrozumieć nie jest w stanie, a uczucia mu braknie?

Jak wyszedł Szyrko na malarza? zabawna historia. Z młodu mazał on wprawdzie dla kawalka chleba poczarne obrazy do wiejskich cerkwi i kościolków, chorągwie i t. p.; potem wziął się do malowania pokojów. Biskup Massalski (a raczej jego plenipotent) polecił mu malowanie domn, mającego czasowo być mieszkaniem księcia. Szyrko dzieła tego wszakże sam dokonać nie czując się w stanie, przybrał do pomocy i pomocy jakiegoś starego Niemca, co na tym chlebie zjadł zęby. Zarozumiałość malarza tak śmieszyła księdza biskupa, że ją począł podsycać, wmawiając weni,

aby się starał *większe dzieła* przedsiębrać. Szyrko posłuszny, rozmarzony, począł zuchwale rysować, malować i biskupicemi pochwałami ludziom oczy mydlić. Biskup pękał od śmiechu, kupował roboty, pokazywał przyjacielom te twory nieuprawnego talentu, a tymczasem Szyrko doprawdy trochę się poduczył. W końcu nabywszy przy innych malarzach mechanizmu, którego głupcy zawsze najlepiej nabyć mogą, kontentując się robotą portretów i kopiami dosyć wiernymi, a często po chińsku nawet plany wzoru odtwarzającemi, Szyrko pomieścił się w rzędzie malarzy. Głośno o tém zawsze mówił, że go ksiądz biskup protegował, i bardzo się tém przechwalał. W istocie krom zupełnie nieznaających się, wszyscy śmiali się z Szyrki; a tłum za to miał go może w dobrą wiarę za wielkiego artystę. Biskup i jego otaczający, gdy Szyrko przyniósł obraz z jakiego sztychu bardzo znanego zrobiony i pokolorowany niezgrabnie, mieli upodobanie unosić się nad kompozycją. On przyjmował wszelkie pochwały dohrodusznie, dumał prawie, z uśmiechem udającym skromność, której wszakże potrzebę wywyższając się rozumiał. Sam sobie nieraz jednak zmuszony był powtarzać:

„Ktoś z nas dwóch musi być głupi, ale to pewna, że nie ja.

Szyrko miał roboty w mieście: portretował stare baby, otyłych panów burmistrzów, knęców i bogatych mieszczan, pragnących potomności podać nos czerwony lub obwisłe policzki. Czasem trafiało mu się, że zamawiano obraz do jakiego wiejskiego kościoła. Należało szukać sztychu w teczce lub obrazu podobnej treści i najbezwstydniej przemalowywał *mutatis mu-*

tendis; ale śmiało, ale z taką pewnością, iż przysięgł-
byś, że był pewien egzystencyi muskułu lub żyły gdzie
je zuchwale oznaczał, chociaż anatomik byłby to przy-
jął z podziwieniem za wcale nowy wynalazek. Tra-
fiały się tak osobliwsze ręce i tak dziwne skureze u pa-
na Szyrki, że ksiądz biskup wielki znawca, cały dzień
śmiał się do łez, stojąc przed obrazem. Gdybyż Mas-
salski umiał się być całe życie kontentować tą niewin-
ną zabawką!

Jaś, jak widzicie, niewiele mógł się od takiego mi-
strza nauczyć. Szyrko, który pierwszy raz w życiu
miał ucznia, trzy dni spodziewając się go, chodził po
mieście i nieznacznie się tym wielkim wypadkiem w ży-
ciu przechwalał.

— Wiesz panie Micleski, muszę się śpieszyć do do-
mu; co chwila spodziewam się ucznia, którego mi przy-
syłają z prowincyi. Chłopiec pełen nadziei, protego-
wany przez kasztelanica Trąbskiego, który słysząc
o mnie...

Dalój kupując tabakę w sklepie:

— Dzień dobry, pani Matyasowa, proszę prędczej
o tabaczkę, ho się śpieszę. Otwieram szkołę malar-
stwa: dziś mi uczeń przybywa, z daleka, z prowincyi,
protegowany etc.

Potém spotkawszy się z kimś znowu:

— Cha! cha! wie pan, nowa praca! nowe trudy...

— Nowy obraz?

— A! gdzie tam! Uczeń mi przybywa z prowincyi.
Co chwila go wyglądam. Protegowany kasztelanica,
który słysząc o mnie etc.

Cale więc miasto wiedziało o wielkim wypadku,
jeszcze przed przybyciem Jasia. Szyrko seryo wiecezo-
rami zamyślał się: czego i jak uczyć będzie? Nie le-

pięć nie maluje człowieka nad te rozmysły pierwszy raz z potrzeby wyległe.

— Czego ja go uczyć będę? Jak? Oczywiście trzeba mu dać coś rysować. Uchowaj tylko Boże przez okno! Tego potrzeba surowo pilnować. Najprzód będzie rysował ze sztychu, potem z natury, potem farby trzeć go nauczę; a nareszcie jak postąpi, i malować. Najważniejsze to mieszanie farb i trzymanie pędzla, rysunek jako tako zawsze się znaleźć musi, tyle ich po świecie! Co się tyczy natury, ta tylko dawnym początkowemu malarzom była potrzebna; teraz weszła już w sztukę ile jęć się może zmieścić, i pod panowaniem jest naszym. Co nie zmieściło się, tćm gorzej dla natury, musi zostać na stronie. Znamy teraz naturę na paleach, i możemy się wybornie obejść bez żywych wzorów. Wzięliśmy dla siebie co było do wzięcia, a z reszty kwita. Tak, najważniejszy cień a farba. Przecież trzeba mu będzie dać co rysować: pożyczę sztychów u Batranięgo, niech się pastelem, kredą i tuszownikiem z niemi mierzy tymczasem. Ja sam nie rysowałem prawie nie, a przecież wyszedłem na malarza. Biskup mówi zawsze: „Przeniuchaleś waszcć, że koloryt to grunt!” a ksiądz biskup zawsze ma rację; któż by ją miał, gdyby nie on? Tak bo jest, tak jest! ostatni nawet mój obraz do łez go rozczulił, powtarzał ciągle: „Co za ekspressya! jaki wyraz!” udawał tylko, że się śmieje (dla *decorum*), ale widziałem łzy w oczach.

Gdy Athanazyusz duma tak, Jaś nareszcie nadjechał.

Szyrko, który nigdy w życiu ani się uczył, ani nauczał, poczuł się nagle mistrzem, dostawszy ucznia, i postanowił zacząć od wielkiej srogości, usilując najprzód natchnąć chłopca zbawiennym strachem. „Strach,

rzekł w duszy kawaler Athanazyusz, uczy, naprawia, zniewala, i wszelkiego dobrego jest początkiem. A zatem pocznijmy od niego." Ukazał się więc Janowi nauczyciel w postaci zatabaczonej karykatury Jowisza Olimpijskiego. Spojrzenia, gesta, rady tak śmieszne były przybrane powagą, że patrząc na nie obcy polegali od śmiechu.

Jasia dziwił wielce ten mistrz, o którym z góry miał najwspanialsze wyobrażenie. Z początku uwierzył w niego zupełnie, ale prędko naturalny rozsądek wskazał mu nieco człowieka, który dla dziecka nawet nie potrafił ukryć potężnej głupoty swojej, na wszystkie strony wylewającej się jak z dziurawego naczynia napróżno drótem umocowanego. W przekonaniu, że się czegoś nauczy, Jas postanowił słuchać i pracować. Niewiele może ufał mistrzowi, ale więcej rachował na wzory i wprawę samą. Zdrowy rozsądek dziecka powiedział mu, że pracą dochodzi się wszystkiego, że żadna nie jest bez korzyści. Szyrko zaś sam niewiele umiejąc, a prócz mechanicznej wprawy i pewnej jednostajnej manieri żadnej myśli i tajemnicy w sztuce nieumiejąc się domagać, psuł raczej niż poprawiał i prowadził ucznia. Dla niego jeszcze sztuka ograniczała się rzemiosłem.

Życie mistrza było jednem z najprozaiczniejszych w świecie. Obral on sobie mieszkanie za Ostrą Bramą w jednym z tych domów świeżych, niezamieszkaných, ledwie przeschłych, i przez to samo, że nowych, nie-litościwie nagich i nudyh. Wszędzie gdzie noga stą-piła, zdawała się pierwsza zdobywać miejsce. W naturze, utworze Boga, pustynia jest zachwycającą i rozkoszną; w dziele ludzkim dziewczęstwo ta przez brak wspomnień staje się nagością zimną i smutną. Dzieło

czlowieka potrzebuje może postarzyć, aby wypięknąć i z otaczającym się światem zlać w jedność. Ogromne izby okrutnie białe, nagie, wilgotne, przerażały swą niczém niesplanioną nowością, niezamieszkaniem. W jednej z nich mmyślnie przyrządzonej na malarnię, pracował Szyrko za trójnogiem. W niej teka jego wiecznie okradanych sztychów i zatabaczona celnstka leżały z paletą na jednym krześle, pod którym stała butelka z piwem i oblepla szklanka. Jakby na przekór nowości pomieszkania, meble przeniesione były do niego z domu starego, polamane i brndue. Tu się jeszcze bardziej znżytemi wydawały. Kilka obrazów lichych a jaskrawych w różnych epokach dojrzałości talent malarza ukazujących, wisiało po ścianach: jedne podmazane, drugie poprawione trochę, inne wylizane do obrzydliwości jak porcelanowe kwiatki. Kilka starych płócien ciemnych, jak wielkie plamy, rozkladało się krzywo i niedbale powieszane na świeżo potynkowanych ścianach. Kurz i pajęczyny przybyły z niemi z dawnego mieszkania. Łóżeczko mizerne, wyduszone, którego pasy obwisłe przybrały formy ciała zawsze na nich jednakowo spoczywającego. poduszka skórzana stłuszczone od głowy, miska do umywania, dzban od wody, trochę odzienia i kufer, dopełniały obrazu tej izby. Pierwsza, w której się farby tarły, zarzucona galgankami i bibulą od wycierania palet wyrzucaną, pełna butelek z pokostem i werniksem, flaszek z olejem, odartych płócien, kamieni nieczystych i słoików, w których ngry czyszczono, była mieszkaniem Jasia i Maćka, chłopaka do posługi, jednego z tych micjskich uliczników odartusów, co w latach piętnastu umieją się zepsnąć jakhy przeżyli pięćdziesiąt.

Szyrko jadł w poblizkiej garkuchni, a sługa Mar-

cyanna, u lokatorów na dole nieszakująca, prala mu bieliznę i gotowała kawę. Thusta, czerwona i wesola ta Maritorua, w wielkich była laskach u malarza, który się z nią nie spotkał, żeby jej nie wyścisnął. Nie zdawała się ona wcale odstręczać tém, ani gniewać za natręctwo z jego strony; odchodziła fartuch trzymając u gęby, śmiejąc się i poprawując włosów, że aż na dole piosukę jej i śmiech często slychać było. Maciek, wisus w całym znaczeniu tego wyrazu, okradał pana, płał figle wszystkim, miał się wyłgać i wylizać z każdój psiej sztuczki swojej, latał po nócach, ale doskonale udawał zaspanego, choć ledwie się na swym barlogu wyciągnął. Był to istny narzeczony szubienicy.

Pan Szyrko, jakeśmy wyżej mówili, malował najczęściej portrety, rzadziej obrazy kościelne i t. p. Ale wcale niewiele w ogólności miał zajęcia, a że platuny był też skromnie, nie wiadomo jak się utrzymywał i czy zbierał co na starość. Miano go przecież za człowieka wcale rządowego i zamożnego, chociaż tajemniczy kuferka i starój szkatułki nikt nie wiedział. Życie jego, prócz wieczorn, widne było jak na dłoni. Wieczorem wychodził, ale Maciek nawet, mający własny w wyszpiegowaniu interes nie wiedział dokąd i po co; powracał czasem o północy, czasem później lub nad rankiem, wesół, śpiewający, albo wściekle gniewny i rozjadły. Niekiedy rzucał laskę w jedną, kapelusza w drugą stronę, i nieruchomy padał na swe łóżysko; czasem znowu otwierał kuferka, coś w nim składał i zamykał. Maciek jeszcze był nie wyszpiegował, ale się wielu rzeczy domyślał; Maritorua kręciła głową, nie wiedząc jak sobie te peryodyczne zaćmienia tłómaczyć.

Wielka ta przecież tajemnica tłómaczyła się namiętnością, która u nas w Polsce w XVIII wieku dopiero weszła w obyczaje i nałóg powszechny. Szyrko był namiętnym graczem. Przed panowaniem Sasów a nadewszystko Stanisława Augusta, gracza może szukać potrzeba było między szują próżniaczą i zepsutą halastrą. Wyjątkiem byli dwarsey, o których ksiądz Skarga w kazaniach wspomina, że grywali z królem w Prymire, i to uważano za grzech i występpek wielki, choć najprawdopodobniej grano na Zdrowaśki, a korzystali z gry tylko dusze czyste. Dopiero gdy ta okropna, chorobliwa obojętność na przyszłość połowę kraju w zinném dusiła objęciu, gdy szła zabaw, rozkoszy, rozpusty, użycia zawrzał w sercach zepsutych, gra zjawiała się w pierwszych salonach Warszawy, jak nicodstępna towarzyszka zepsucia obyczajów powszechnego, częstokroć jako narzędzie, które zręcznie użyte zyskiwało ludzi, lub ogalając ich z picniedzy, przedajnymi czyniło. Pan podskarbi koronny, potem Wal....i, pierwszymi byli namiętnymi graczami z professyi w Polsce. Ta igraszka wyższych klass, zapożyczona od flumm i namiętnie panująca próżniakom a ludziom zeslabłym, wysiłonym, co w niej szukali wrażeń, nie mogąc innych doświadczyć—od panów znowu zeszyła stopniami do niższych, i aż do przedpokojów. Czegoż u nas nie naśladują, gdy tylko możni przykład dadzą? Zdaje się nawet, że gdyby panowie uwzięli się dawać przykłady enoty, bezinteresowności, pokory i pracowitości, i toby może starano się malpować. Rzecz warta próby. Dość, że gra jak kropla polknięta ustami, rozlała się w krew całego człowieka, narodu. Jak zwykle, przyszła ona zabawić na śmiertelném wyciągniętego łożu! W Wilnie także gra

panowała podówczas i po palacach, i po smrodliwych domowstwach, gdzie Indzie sterani ogrywali latwowier-nych a namiętnych głupców. Pan Szyrko był dla tych przemyślnych rycerzy wyborną *kronką*, jeśli się godzi użyć tego wyrażenia. Wydawali z niego co tylko miał, a on z metodycznością maszyny ciągnął się do nich co wieczór ze zwykłym swoim podatkiem. Wstydzil się jednak namiętności, i dla tego grał tylko tam, gdzie myślał, że go nikt nie zna (choć doskonale wiadano, kto i co zacz był). Po solemnej przegraniej brał się do roboty, podsycając wenc butelką piwa stojącą zawsze pod krzesłem.

Jaś pracował w pierwszój izbie.

Ale jakaż to była praca?

Nakazano mu wielkie, dość nizerne sztychy kopio- wać czarną kredą i starannie wycieniowywać, wy- kropkowywać, wylizywać, aby robota była o ile moż- ności jak sztych. Sztych, to najczęściej zdradzieckie tłómaczenie obrazu, tę stenografię myśli (czasem), uwa- żano jeszcze wówczas za najwyższy prawie szczebel doskonałości w sztuce. I nie sztych Rembrandt'a, zło- żony z poplątanych misternie nici pajęczych, nie za- maszyste ryciny Callot'a lub naszego Gdańszczanina Faleka, nie sztych Dürer'a lub Marc-Antonia i t. p. ce- niono, ale niedorzeczne, twarde, bezimienne jakieś blachy bez wartości, w których sensu, myśli i egzekneyi nawet mechanicznój, coby linie pojąć dała, brakło. Szyrko zachwycal się, gdy sztrychy szły regularnie i krzyżowały się dając w pośrodku miejsce posadzo- nym punkcikom. Na to zwracał uwagę, gdy mu uczeń przynosił robotę. Tak się biedny Jaś uczył. Ale ani pan Szyrko, ani niedorzeczne wzorki jego nie potrafi- ły zepsuć, zniszczyć tego uczucia idealnej piękności,

które natura dała Jasiowi. Na widok kalekich ciał, spoczwarzonych postaci na sztychu, wzdrygał się, czując instynktownie ich brzydkość, oswoić się z nimi nie mógł. Przeciwnie, inne, w których myśl błyszczała formami uroczemi, wydana ze śmiałością mistrzom tylko właściwą, całował, zanurzał się nad nimi i płakał. Dwa zapaleczywe sztychy stare z Leonarda da Vinci, dwie przepyszne a pełne prostoty kompozycje Rubensa (co rzadka, bo grzeszy przesadą i zbytkiem, nie umiejąc się w karcach utrzymać), kilka wspaniałych postaci wysokiego stylu Mik. Poussin'a, jakby nowy świat odkryły oczom nieznia. Poczuli, że się tu czego nie nauczy; ale posłuszny przeznaczeniu cierpiał i pracował. Opisać wam to życie?—niepodobna.

Szyrko był w obęjściu się z uczniami ostry, bez przyczyny często srogi, chwalił też bez powodu; nie wiedząc co robi, szedł na oślep zupełnie. Szcześciem miał u siebie dla fanfaronady dwa niezgorsze gipsy całych postaci z posągów dawnych, jedno niezle *ecorché* (muskulatura) i parę głów. Te ukradkiem w chwilach odpoczynku, sam nie wiedząc dla czego, próbował kopiować niezdł. Ale Szyrko gdy te roboty ujrzał, tak gniewem się zapalił, że podarł arkusze i wyrzucił za okno. Wiedział on, że inni uczą się tym sposobem, ale sam nie umiejąc rysunku, może przez zazdrość niewytlumaczoną, nieznia go dać nie chciał. Jaś przecię gipsy owe, choć na tablicy, z różnych stron przerysowywał. Tak upłynął rok jeden; tak dwa prawie jednostajnie przeszły. Wiele chwil sam na sam z nagimi ścianami przepędzał Jaś, ale książek mu nie brakło, bo w izbie w której siadywał, były ich dwa knfry wielkie, razem z innemi gratami w kącie przez Szyrkę rzucone i nigdy nawet niezamykane. Z foliantów drogiej wy-

dzierano niemilosierdzie karty dla ścierania palet, jeśli były potrzebne.

W tych to kufrach, prawdziwój puszcze Pandory, leżała cała przyszłość Jasia. Znalazł w nich pokarm, ale jak zwierzątko nienmiejące rozłamać łpiny, długo się trudził, nim dostał się do ziarna. Umiał wprawdzie czytać, a z pomocą polskiego języka poduczył się łaciny, której pocziwe a łitosne dziecko ubogie, stojące w tejże kamienicy, nabyć mu dopomagało. Student ten, przyjaciel Jana, którego towarzysze i Jan potem, spoufaliwszy się, nazywali Orzeszkim, pokochał Jana. Był sierotą, a sieroty szukają serca jak ubodzy chleba. Przyjaźń ich cicha, kryjoma, zawiązała się silna i na życie całe, jak zwykle związki młodzieńcze najtrwalsze ze wszystkich. Jaś i on pędzili na galeryi pustej otaczającej dom wewnątrz, długie godziny na rozmowie i wzajemnej nauce.

Powiedzieć, wyrachować ile kosztowała Jana każda nabyta wiadomość, trudno. Któż z tych, co się sami uczyli, nie pojmie tego? Ileż to razy zadumać się trzeba było nad wyrazem tajemniczym, nad pojęciem nieznanym, i przeskoczyć je westelnicznem i nadzieją, że się jutro wytłómaczy! Ileż potu, ile znoju, ile cierpliwości anielskiej i dobrej woli! Dwie owe skrzynie pełne były grammatyk, dykeyonarzy, ksiąg historycznych, encyklopedyj naiwnych, jakie pisywano w XV i XVI wieku, pobożnych i ascetycznych dzieł, ksiąg o medycynie popularnej i t. p. Zdaje się, że anioł stróż wybrał je tam i położył dla Jana, dla którego były skarbem, pociechą, rozkoszą. Stary kanonik, jeden z najdziwniejszych skąpców, jakimi się naówczas pochlubić mogło Wilno, w spadku jedynym zostawił je synowcowi malarzowi. Więc nie po nim nie wziął ka-

waler Athanazyusz, bo pieniądze zakopał tak, że ich ani synowiec, ani kapituła w kamienicy zajmowanej przez niego lat dwadzieścia pięć, znaleźć nie mogli. Jedyne więc spadek po kanoniku, który składały dwie stare sutanny, brewiarz tłusty i lichtarz, przyniosły coś prawemu dziedzicowi; księgi poszły na korzyść obcemu zupełnie. Dwa lata grzebał się w nich Jan tajemnie, dwa lata uczył się na nich i czytał.

Wielkie zdolności dopełniały mu czego w książkach brakło, co tylko ludzie, towarzystwo i ustny wykład dać mogą. One wiązały te książę glosy tak często sprzeczne, tak niezgodne z sobą, tak dziwnie się sprzeczące jak dwie karmienne maski u drzwi starego domu.

Wszakże nauka, wiadomości i pojęcia, których nabrał Jan, walecząc z tysiącem zaważ, nosiły cechę książkowego pochodzenia swego. Pojmował on świat, jak pojmują ci, co tylko w książkach widzieli życie—w sposób całkiem idealny. Wszystko tajemne, przechodzące, przypadkowe, znikome, brudne, co się w dawnych księgach nie mieściło, nie rachowało dawniej w bycie (choć tak wielką grą w nim rolę), pozostało obcym Janowi. Świat więc wyobrażał on sobie dalszym ciągiem historii greckiej i rzymskiej, sceną bohaterów, igrzyskiem fatalności heroicznej, łożyskiem olbrzymiów, teatrem wielkich zwyczajów. Komedia życia pozostała mu nieznana, tajna, niepojęta; tragedję tylko, epos i kawałki dramatu wyczytał w księgach.

Dla dziecka, któremu groziła przyszłość bez opieki, takie pojęcie świata było wielką klęską, było zatajeniem wszystkich przepaści i zasadzek. Wiara w *dobro* była w nim główną; o złem wiedział, ale o złem, co

chodzi, jak bywało w literaturze, jawne, widoczne, dające się palcem namacać, z czolem napiętnowaném hańbą i sromotą, z tablicą na plecach wskazującą: oto złe. Dla niego złe nosabialo się w postaciach Anytusa, Melitusa i Likona na Pnyksie Ateńskim, stających w obce Indu tysięcznego z zaskarżeniem bożkiego Sokrata. O złém eo się kryje, farbuję, eo się przysięga, że jest cnotą, i za ręce ścisną, i z rozczerwienia płakać mnie, zapewniając o szczerych uczuciach—ani miał wyobrażenia. Złe piękne i powabne, złe będące szatanem siły pełnym i ukradzionego wdzięku—było mu zakryte. Wielkie dziejowe postaci odmalowane naiwnie, jak je dawniej umiano wystawiać, unosiły go. Klaskał w dłonie olbrzymowi i czasem podnosił głowę, mówiąc w duszy: „Ja im kiedyś może dorównam!”

Księgi ascetyczne, które czytał z dobrą wiarą i nabożnem wiejskiem sercem, dodały mu zapalę, wprowidyły do uniesień, kazały się eo chwila spodziewać cudu, utwierdziły w pocieszającym przekonaniu o związku nienastannym Opatrzności z człowiekiem, który tak silnie wpływa na ulepszenie opuszczonych zkaąd inąd. Żył w świecie z jednój strony olbrzymów, z drugiej świętych męczenników, a w oczach jego stali Sokrates, Temistokles, Arystydy i Epaminondasy przy Ś. Antonim, Ś. Józefie i kolosalnych postaciach dwunastu apostołów, ubogich wielkiego Boga posłańców, których jak dwanaście ziarn piasku wybrał z tłumu dla pokazania potęgi swojej, aby utwierdził nowinę, którą niesli, samém przyjęciem jej z ust nieuków i maluczkieli, otwartych cudem widocznym. I świetna cywilizacya Rzymu padła od dźwięku słów rybaków, wieśniaków, celników, jak niegdyś mury Jerycha od trąb odgłosu.

Jan zachwycal się wspaniałym obrazem historyi chrześcijaństwa. Jestże w istocie co wspanialszego i cudowniejszego?

Takie były dwa lata życia u pana Szyrki. Jaś wyrósł i dojrzewał za wcześnie, szybko, jak dzika a pełna siły latorośl. Przechodził te dwa lata dwa razy tylko miał listy od matki jej ręką pisane, i przesłane za okazyją ze słabym zasilkiem do Wilna. Kasztelanicowi Szyrko posłał owe kopie ze sztychów z nadpisem: *Owoce wdzięczności*. On zapłacił za nie podziękowaniem, zachętą i wyliczeniem w porze należnej pensyjki na utrzymanie i lekeye.

Wszystkie pieniądze szły do rąk pana Szyrki, który je w owym tajemniczym domku na Trockiej (wówczas zwaną Senatorską jeszcze) ulicy przegrywał, nie troszcząc się o potrzeby chłopięcia wcale. Ubóstwo Janka było wielkie, ale dla niego znośne, bo lepszego bytu nie zaznał; widząc go zaś u drugich, umiał w przeciwieństwie sercem nie zazdrościć. Chęci tylko nanki, pożywał ją, żył nią. Wielkie postaci idealne historyi starożytnej śniły mu się na jawie, marzyły we snach. Surowy kawałek chleba, czasem zwilżony zlewkami jadła ową Maritornę z dołu, zgodzoną o stół dla Maćka i dla neznia, powietrze przedmieścia, przechadzka za miasto, wystarczały chłopcu, uniejęcemu już wzgardzić dumnie najsroższą boleścią i nędzą. Uczucie to w dzisiejszych czasach coraz bajeczniejszem się staje. Wytarte odzienie stare, którego mistrz nie latal nawet, choć na nowe grosz miał dany, wystarczało mu—dużę zbierał, a o resztę nie dbał.

Począł się trzeci rok nanki. Było to na wiosnę. Janek i Orzeszek siedzieli na galerji razem i rozprawiali, jak dzieci co dziećmi już być przestają, o naj-

ważniejszych rzeczach w świecie, nierząc się z niemi nie siłami ale żądzą ich poznania. Dzwony kościołów odzywały się w dali; pana Szyrki nie było w domu; Maciek uciekł urwiszować na nlicy; a śpiew chiapliwy Marilorny rozlegał się po wilgotnych dolnych mieszkaniach, fałszywy, cierpki, bez wdzięku. W nlicy skrzypiały koła bryk ładownych, wlokących się do miasta. Nagle głos malarza, czyli jak go tam zwano pospolicie kawalera Athanazynsza, suchy jak dźwięk grzechotki stróża nocnego, odezwał się w dole, rozległ potem dobitnie nawołując:

— Jan! Jan! Janek!

Jaś wybiegł naprzeciw.

— Gdzie byłeś?

— Tu na galeryi.

— Czemu nie w stancyi?

— Cienno już.

— A klucz?

— Oto jest.

— Daj go i bywaj zdrów.

— Jak to? spytał chłopiec, nie mogąc zroznać naglego pożegnania.

— Tak to, żeś powinien w rękę mnie pocałować i ruszać do licha.

— Ja? ale cożem winien?

— Winienesz za kwartał utrzymywania.

— Spodziewam się, że JW. kasztelanie...

— Wieczne mu odpocznienie! rzekł obojętnie malarz. Nie zapłaci, bo umarł.

Jaś schwycony nagle tą wiadomością rozplakał się tak bardzo, że musiał się oprzeć o ścianę, aby nie upaść. W oczach mu się zaćmiło, nie wiedział co począć z sobą. W jednej chwili przemknęło mu się

przed oczyma duszy jego sieroctwo całe. Matka uboga, daleko, tak daleko! więcej już nikogo! Wrócić do matki było to poświęcić przyszłość, w którą dla niej, więcej niż dla samego siebie, miał ufność.

— Odwagi! odwagi! cierpliwości! rzekł sam do siebie, i podniósł głowę z niejaką dumą, czując, że już tylko o swęj sile pozostał. Malarz patrzył na niego, kręcąc kluczem we drzwiach.

— Panie—rzekł Jaś—wypędziszże mnie, nie dając mi nawet przenocować?

Kawaler Athanazyusz nie z razu nie odpowiedział; potem szepnął jakby zawstydzony:

— Przenocuj sobie, ale trzymać darmo w mieście i uczyć darmo nie mogę. To mnie tyle czasu kosztuje! I utrzymanie! nie, nie mogę! Jutro zaraz pomyśl o sobie. Ja nie jestem w stanie biednych wspierać; sam pracuję na kawalek chleba. Znajdź sobie sposób do życia.

Jaś nie nie rzekł więcej; a gdy artysta wchodził do swego mieszkania, chłopiec wysunął się ze łzami w galerię, gdzie się spodziewał znaleźć towarzysza przyjaciela, z którymby się boleścią i myślami o przyszłości podzielił.

— Adamie! Adamie! Adamie! zawołał z daleka.

Student żywo wyścił głowę przez okienko.

— Czego chcesz, Janie?

— A! nieszczęście!

— Nieszczęście! cóż to się stało?

I wybiegł na galerię.

— Mówże, mów! a prędzój!

— Mój opiekun zmarł, nie mam nikogo. Jedną ubogą matkę, opuszczoną jak ja. Co ona poradzi? co

ja? Jutro każe mi się ztąd wybierać malarz; nie wiem co począć z sobą... głowa mi się zawraca.

— Masz choć trochę pieniędzy?

— Trochę, niewiele przysłanych od matki, ale to zaledwie na kilka dni wystarczy może. Gdybym chciał wrócić do swoich, nie będę miał nawet o czém, chyba po jałmużnie. A! radź, mów, co mam począć?

Adam się zamyślił i ręce zalał.

— Nie wiem, nie wiem. Czekaj, jutro, pomyślimy o tém, trzeba ci coś poradzić. Znajdziemy ci może jakie miejsce.

— Miejsce sługi! wolalbym wyrobnika! przerwał Jan. Wyrobnik sprzedaje tylko pracę swoją; sługa całego siebie.

— O! stokroć prawda! ale mamyż do wyboru? Co pocniemy?

— Tyłu jest malarzy w Wilnie! Może mnie który choć do tarcia farb przyjąć zechce.

— O! większa ich część trze'sobie farby sama—rzekł Adam —tak są biedni! Żaden inaczej uczniów nie przyjmuje, tylko za opłatą.

— Ale jabyś pracował dla niego!

— Cóż ty umiesz?

— Prawda! nie! nie! rzekł smutnie spuszczać głowę Jan. To okropnie! Pójdę więc do domu.

To mówiąc usiadł nieprzytomny pod ścianą, podparł się na rękę i zapłakał gorzko. Lepsza przyszłość zamarzyła mu się na chwile; teraz spadał z wysokości nadziei do życia i ubóstwa.

Sny piękne, które roił dla matki, siostr, dla siebie, jedném dotknięciem w popiół się zmieniły. Wszystko się skończyło. Trzeba było powracać, powracać nieu-

kiem, i pracować jak ojciec, i zginąć może jak on, zszargać się jak on. Nędza! nędza! ileż to ona zabija ludzi! ileż geniuszów zjada w zarodku! ileż pożera przyszłości wielkich i jasnych!

— Poczekaj, poczekaj! nie rozpaczaj jeszcze! rzekł wstrząsając nim Adam: będzie na to czas, gdy już żadnego ratunku nie stanie. Próbujmy wprzód wszystko, czego próbować można. Ja trochę, z daleka znam malarza Batrani'ego, byłem parę razy z jednym uczniem u niego. Albo nie! lepiej samego ucznia tego uproszę: on bogaty i łatwiej mu będzie przystąpić, bierze lekcye rysunku. Spróbujemy przez niego.

— Któż taki ten twój uczeń?

— O! złote dziecko, wysnieniony chłopiec! Znasz przecię lub przynajmniej widziałeś Wawrzyńca Szemiakę? On powie Batrani'emu o tobie, on go poprosi, a w najgorszym razie rachuję na niego, że nam musi dać pieniędzy.

— Z wielkiej łaski Szyrko dziś jeszcze pozwolił mi przenocować u siebie. Wyobraź sobie, jam na jego ławce, jak ubogi pod kruchtą! Jutro koniec, jutro nie będę już miał gdzie położyć głowy ani mizernego węzelka...

— A! to od dziś przenoś się zaraz do mnie, zawołał gorąco Adam. Prawda, że nawet chleba podstawkiem nie mam, abym się z tobą podzielił, ale to, co mam, mieszkanie, wszystko—wspólne.

Adam, jak wielu ubogich a pracowitych chłopaków, żył z korrepetycyi; ale ówczesna za nie opłata była bardzo mała. Z niesłychanym trudem ucząc się sam i ucząc drugich, ledwie mógł wystarczyć na stancyjkę lichą, jadło mizerne, odzienie zaś raz narok miał odnawia-

ne i poprawiane oszczędnie. Adam byłby mógł żyć daleko wygodniej, gdyby był chciał mieszkać z uczniami; ale rozrachowawszy korzyści materialne ze stratami, jakieby poniósł przez to, wybrał stancję, jadło, utrzymanie osobne, choć najbiedniejsze. Tu był już panem siebie, panem domu, sam jeden i swobodny. Tu mógł płakać niespytany: czego? niewyszydzany, uczyć się kiedy chciał i rozrządzać kilku przynajmniej chwilami wedle myśli i żądania, nie podlegając nikomu. Izdebka Adama najęta na piętrze, była prawdziwie studenci-kiem mieszkaniem: nikt inny w czterech tych ścianachby nie wytrzymał. Drzwiami jednemi wychodziła na galeryę; oknem małym na mur sąsiedniego domu nagi i bez okien, który nigdy słońca do mieszkania nie dopuszczał. Jedna mała izdebina, ciasna, ale stanowiła mieszkanie. Piec kaflowy część jej zajmował; łóżko, stolicek, dwa stoliki drewniane wyslizgane i knfercek, gdzie książki razem z odzieniem w pokoju przebywały, ubierały ją. Ale pomimo ciasnoty, ubóstwa, czysto tu było i z ładem; umieciono, uporządkowano, każda rzecz na wyznaczoném sobie miejscu, nigdzie pyłu, tego szkaradnego *memento*, które posyła co chwila zniszczenie, przypominając nam, że nas goni, wciskającego się wszędzie, zjadającego wszystko.

Adam otworzył drzwi, a Jan ścisnął go czule za rękę.

— Nic nadużyję twego serea, rzekł mu; ale dzięki ci, że mnie ocalasz od laski tego pana! O! dziękuję ci. Zabieram co mam i powracam tu. Nie zabawię długo. Pomieszczę się w kątku u proga, na podłodze, abym ci nie był ciężarem. Mnie mało potrzeba, bom nigdy wielkiego nie próbował.

I Jan zarumieniony, pobiegł chyżo do drzwi pana Szyrki, który przechadzał się szerokimi krokami po pokój, dumając może: z czém grać pójdzie na Senatorską ulicę?

— Przyszedłem podziękować panu i pożegnać go, zawolał zdyszany, chwytając swoje manatki.

— Co? już! dziś? w nocy? a prosiłeś o nocleg? rzekł zdziwiony Szyrko, który chciał się dowiedzieć, gdzie tak rychło barłóg mógł sobie znaleźć jego ucznia?

— Nie chcę wam być ciężarem, więc żegnam i idę.

Pan Szyrko nie miał wcale złego serca: wadą jego główną było głupstwo szerokich rozmiarów. Ta ucieczka nocna poruszała go trochę i lechtala zgryzotą. Wreszcie miał już nałóg widzenia tego ucznia u siebie; coś go niepokoiło widząc, że odchodzić zamyśla.

— Ale dokądże? spytał.

— Daje mi tu przyjaciel, znajomy, schronienie.

— Ale któż taki?

— Ubogi, lihościwy student.

— Hm! hm! wykrzyknął Szyrko. A po cóż się śpięczyć? Maciek wisnuś i łajdak, o czém się codzień przekonywam; dam mu kolaniem odprawę. Z ciebie chłopak stateczny, niezłego; gdybyś chciał trzeć farby i czyścić trzewiki i bóty, i izbę umiatać, dalbym ci miejsce Maćka.

— Dziękuję, dziękuję, rzekł Jan. Nie mogę być sługą, bo nie o siebie tylko myśleć muszę, ale o losie matki biednej, i o siostr przyszłości. Będę szukał sposobu uczenia się i wyjścia na coś lepszego.

— A! z panem Bogiem! urażony trochę i tknięty rzekł pan Szyrko. Z panem Bogiem i krzyżyk na drogę. Ruszajże sobie! próbuj, a pamiętaj, że także za początki mnie winieneś wdzięczność i za kwartal utrzy-

mania nie opłacono. Początki! wszystko jest w dobrych początkach! powtórzył. Bądźże zdrów! rzekł do całającego go w rękę Jana: bądź zdrów, a jeśli zostaniesz w Wilnie, odwiedź mnie czasem i daj wiedzieć o sobie.

Jan wyszedł ocierając łzę, a Szyrko otworzył powoli knerek, dobył kilka dukatów w pęcherz zawniętych, obejrzał się, zamknął i wyszedł na swoje wieczorne stanowisko. Adam czekał na towarzysza, noc już była, usiedli razem i w ciemności gadali długo; potem ze łzami w oczach Jan ukląkł się pomodlić, i nie spodziewając się snu, po cichu legł na sienniczku. Ale sen młodości, tém silniejszy im większe było dnia wzruszenie, objął go i przeniósł w mgnieniu oka do poranku wrot.

— Idę do Szemiaki, czekaj na nas, rzekł Adam. Bądź zdrów, do zobaczenia, i nie trać nadziei.

W myślach sam z sobą spędził cały czas do południa przyszły nasz artysta. Bily już dzwony, zwiastując dwunastą, gdy szybkie kroki dały się słyszeć na wschodach, i głos, po którym poznał Jan, że Adam nie sam powraca. Otworzyły się drzwiczki. Młody chłopiec wszedł z jasną twarzą i ciekawości czarnemi oczyma.

— Dzień dobry! dzień dobry!

Adam szedł za nim, wpół wesół także, ale na jego bladę i spracowaną twarz wesołość przesuwała się jak zachodzącego słońca blaski po chmurkach, co mignęła i gasnęła, a po nich siny tylko, zimny obłok znów zostaje.

— Dobra nowina! dobra nowina! rzekł Adam. Ot kochany Wawrzyniec był już u Batrani'ego. Batrani poczciwy nie odmawia, ale kładzie dwa warunki: na-

przód, żeby miał czas żonę uprzedzić i wymódl na niej zgodzenie się na twoje przyjęcie; powtóre, żąda, abyś mu za chleb i za naukę czasem trochę w domu posłużył.

— Muszę i będę, rzekł smutnie Jan.

— Chodź więc ze mną, Janie! zawołał Wawrzyniec. Zostaw węzelek u Adama, ubierz się w co masz najlepszego i ruszajmy.

— Lepsze! to jedyne co mam, odpowiedział Jan: nie mogę go odnienić.

— Idźmy więc i tak, poczekasz na mnie w ulicy, a ja pójde wprzód oznajmić cię malarzowi.

W milezeniu zeszedli ze wschodów, wysunęli się w ulicę, a Jan skłonił się i pokłąkł na chwilę w Ostrój Bramie, téj świętej relikwii wiszącej na piersi miasta. Powoli postępowali dalej, mijając stary opalony ratusz, opiewany przez Jachimowicza, mury jezuickie, aż do Zamkowej ulicy. Tu w jednym z kanoniczych domów stał na tyłach Batrani, zajmując dosyć obszerne mieszkanie. Był to jeden z ówczesnych lepszych malarzy, lecz skromny i okolicznościami domowemi spętany, wspomnień po sobie niewiele zostawił.

Rodem Włoch z Florencyi, młodo wyszedł z kraju, z tém przekonaniem często cudzoziemcom właściwém, że na wschodo-północy znajdują chleb, bogactwo, sławę, wszystko, czego im w ojczyźnie braknie. Ale jak bardzo wielu, zawiódł się Girolamo Batrani. Szedł pelen nadziei, i wpadł w tę samą kałużę, którą mu los gotował w ojczyźnie, od której uciekał z Florencyi. Batrani był jednym z najlepszych uczniów ostatnich malarzy, co tradycye szkoły dawnéj florenkiéj zachowali. Studya jego młodości tradycjonalnym szły porządkiem. Przechodził z malarni do malarni, z początku chłop-

cem, dalej uczniem; rysował z antyków, z natury, podmalowywał mniej ważne części obrazów mistrzowskich, niekiedy dawano mu wykończyć akcesorya. Teorya sztuki naówczas przelewała się w rozmowach, ułamkowo się udzielając, częściami; każdy ją dla siebie rozwijał i dorabiał w duchu. Ale w dodatku do niedostatecznych może mistrzowskich nauk, dawała Florencya to, czego dziś jeszcze nie zastąpi gdzieindziej: wspaniałe dzieła Michała Anioła, Rafaela, Dominiquina, Guidona otaczały tu ucznia, codziennie na każdym kroku rzucając mu w oczy idealnej piękności wzory. Campanilla, Baptister, posagi, arcydzieła malarzkie po kościołach i placach, cudownie natchnione obrazy Fra Angelica z Fiesole, prawdziwego anioła sztuki, freski naiwne a pełne wielkiej myśli mistrzów starych spotykał wszędzie. I lud włoski, lud, co umie zawsze ukazywać się jakby siadał do malowania, co instynktowo piękność czuje i stara się ją wyrazić sobą, otaczał artystę. Wszystko, co widział, było piękne; same wzory wyborne karmiły go od dzieciństwa. Od wielkich a prześlicznych proporcjami gmachów aż do dziecięcia w łachmanach, wszystko jak do obrazu stworzonem się zdawało. Batrani więc wyssał uczucie piękna, nauczył się rysować łatwo, nabył styl, nie wiedząc jeszcze prawie co styl, i dzieckiem miał już mechaniczną wprawę, owo narzędzie niezbędne dla wydania myśli.

Przenosząc się z malarni do malarni choć już skarłałych Florentczyków, pozbierał różne indywidualne ich przymioty, pojmując z kolei koloryt jednego, wyraz drugiego, trzeciego uczucie linii i światła, co słowem nauczyć się nie da. Ale skromny, nienfający sobie, a z zapalem wielbiący mistrzów, co wsławił czasy

medyceuszowskie, tak się czuł małym, tak nieudolnym, że i drugich o nizekzemności swój przekonał, i sam wołał szukać losu za granicą, niż w kraju swoim, gdzie nie spodziewał się zrównać nigdy z wielkimi nieśmiertelnymi XVI wieku, a ciągle musiał być z nimi porównywany. Wyszedł więc; ale to, co mu szkodziło w ojczyźnie, szkodziło wszędzie: mała cena, którą do prac swych przywiązywał, lekceważenie siebie i wiecznie nierada sobie telórzliwość, nie dawała drugim poznać się na jego wartości. Ludzie najczęściej są łatwowierni do śmieszności, a gdy im kto powie: „Jam wart niewiele,” biorą go za słowo. Mierność szumnie się przechwalająca i wskazująca każdy swój krok jako arcydzieło, zyskuje poklaski i wzięcie powszechne.

Rzadki niepodległy i silny umysł inaczej potrafi ocenić człowieka, niżeli on sam siebie ceni. Ale o to jak trudno! Batrani był zapалу pelen jak dziecię nieodrodne Południa, jak dziecię Florencyi; lzy mu w oczach stawały, gdy przypominał sobie owe *Bramy Raju*, owe arcydzieła, gdy zagorzały mu żywemi blaski w duszy wspomnienia dzieł Sanzia, Bartholomea, Michała Anioła, Caraccich. Czuł on głęboko ich piękność, a tak ślepo ich wielbił, iż sądził się prawie niegodnym trzymać pendzel, że ze strachem, niedowierzaniem, boleścią i nieufnością, jakby zmuszony tylko brał się do roboty, porównywając ją potem w myśli do swoich ideałów. W każdej robocie własnej tyle znajdował wad, tyle słabości i błędów, iż wreszcie odpychał ją prawie ze wzgardą lub usuwał z bolesnym westchnieniem!

Była to jedna z rzadkich dusz wzniosłych, co poj-

mują uwielbienie i cześć jako skrzydła zbliżające nas ku *wielkiemu*, co widzą wszędy ślady rozthuczonego *piękna*, nie rozumiejąc krytyki, nanki braków i niedostatków, lub zostawując ją tylko na użytek dla dzieł własnych; jedna z tych dusz, które są męczennicami uczucia swojego, przechodzą przez świat wzgardzone, pocieszając się słodkimi wrażeniami, jakie daje kontemplacya *wielkości* i *piękna*. Pobożny, łagodny, litościwy, umiejący bawić się jak dziecko, a myślący głęboko, jak myśli ów sławny posąg na grobie Wawrzyńca Medyceusza, Batrani ze łzami w oku szedł życiem w ciągłym zachwycie, siebie niewiele ceniąc i najpierw jej poświęcić gotów.

Średniego wzrostu, posiwiały, w czarnych oczach zdawał się mieć wiecznie gotowe do wylania wezbrane łzy; głęboko wpadłe źrenice pływały w nich ciągle. Wyras ust wązkich był pełen słodczy i uśmiechu miłego; czoło wzniosłe, ale zmarszczone troskami, posiwiałą resztką miękkich włosów okryte, mogłoby za wzór było służyć snycerzowi. Nieco zgarbiony, w ruchach nieśmiały jak dziecko, bojaźliwy, milezący, mało znany wzbudzał politowanie, lepiej poznany szczere uczucie przyjaźni i przywiązania. Nikt też lepiej nie zasługiwał na nie; gotów się był poświęcić sto razy dla niewdzięcznych i słowa nie rzec zdradzone. Batrani ożenił się na Litwie, z kobietą najniższej prawie klasy, ale niezwyklej piękności. Młodszy jeszcze przybywszy do Wilna, postrzegł w tłumie dziewczę, które mu Włochy przypominało oczyma, nstą i budową ciała kształtną a dziwnie czystych idealnych linii. Marya ukochana, Maryetta Batrani'ego, była córką ubogich piekarzy z Zarzecza, zepsutą jak jedynaczka, samowolną, a w pączku już zatrutą od-

dechem miasta, które starości ani dzieciństwu czystemi przetrwać nie daje.

Daleko młodsza od Włocha, który rozkochał się, poczynając już siwieć, Maryetta śmiała się z niego, gardziła nim, popychała, odtrącała go, aż w końcu musiała przyjąć za męża. Marya bowiem miała kochanka, który się z nią ożenić nie chciał, choć był powinien; rozpacz ogarnęła dziewczynę wystawioną na sromotę: Włoch skorzystał z tej chwili rozpaczey i poświęcił się, przyjmując matkę i dziecię, ani słowni, ani wejrzeniem, ani smutkiem nawet nie dając jej poznać, co go kosztuje hańba jej, hańba własna i położenie ich obojga. Ludzie po prostu plwali wzdurliwie na Włocha, nie pojmując takiego poświęcenia i biorąc je za podłość. Marya stawszy się żoną jego, żelazną ręką wzięła rządy domu; poczęła rzucać mężem jak dziecię piłką. Próżna, gadatliwa jak srocza, samowolna jak zepsute dziecię, pięknoscią swoją dmuna, zdawała się mieć przyjemność w dręczeniu męża: spokojność jego, posłuszeństwo, wytrwały charakter, jeszcze ją rozdrażniały. On wszystko znosił od ulubioniej, ubóztwianiej Maryetty. Niewolnik we własnym domu, zabijał się pracą, podlił, podejmując się robot najlichszych, tracił sławę, aby jej zapracować co mieć chciała. Kaprysy dziwaczne tej kobiety nie miały granic; mściła się na mężu za kochanka, za wszystkich znieprawionych mężczyzn. Batrani w ciągu kilkoletniego pożycia ani razu nie pisał i nie poskarżył się: patrzył w oczy Maryetty i tego mu dość było.

Pożycie ich było podziwem sąsiadów politowaniem dla wielu; bo Batrani przez niepojęte przywiązanie dla złej, próżnej i głupiej kobiety, poświęcał się, uniżał,

upokarzał niewypowiedzianie, nieczém niewynagradzany. Ona miała w ręku wszystko, ona była panią samowładną. Nie kochając męża i ojca swych dzieci (mieli bowiem dwoje oprócz pierwszego, naturalnie ulubionego od Maryi nad inne), pomiatła nim jak cichym a niezuśnym sługą, którego powolności jesteśmy pewni. Najmniejszy brak w domu wyrzucała mu gniewliwie jak zbrodnię. Dwoje tych aniołków, które się później urodziły, bila, popychała, znęcała się nad nimi jak nad nieswojami dziećmi; a biedny Batrani musiał w kątku tylko ze łzami je ścisnąć, bo mu wyrzucała za każdym otwartém okazaniem dla nich czułości, że jój ulubieńca nie cierpi, a tém ją w oczach całego świata obwinia. Kiedy splakane młodsze dzieci szły do kolan ojca, musiał je gdzieś w kąt uprowadzać, aby otrzeć ich łzy, pocieszyć je i nacieszyć się nimi. Starszy, żywy obraz matki, piękny jak aniołek Albana, zły jak żmijka, pędzał młodsze biczem, pędzał ojca mniemanego, znęcał się nad sługami i uczył się wcześniej nie mieć serca. Rodzice Maryi pomarli wkrótce, zostawując jój w spuściźnie lichy i odłużony domek tylko na Zarzeczu, który, jako wspomnienie lat młodości i kochanka, kazala okupić malarzowi żona. On posłuszny zabijał się, pracując na to. Tymczasem stroje Maryetty, życie jój wrzawliwe, pożerało powoli co on zapracowywał.

Sechl biedny i szalał w nieustannój pracy, ale się nie skarżył — patrzył w oczy Maryetty. Jeśli cudem, litością, rachubą Maryetta mu się uśmiechnęła, Batrani gotów był w ogień skoczyć, duszę dla niej zaprzedać. Ten uśmiech długie lata oczekiwań, lajań, gniewów, nagradzał chwilą jedną.

Takim był malarz, do którego Wawrzyniec Sze-

miaka miał wprowadzić Jana. Dom Włocha składał się z niego, z żony, trojga dzieci niedorosłych, trzech sług kobiet, jednego służącego i chłopaka wyrostka. Uczniowie nieliczni naówczas, byli eksterni. A gdy żona, dzieci, sługi bez litości trwonili pracę Włocha i rozsypywali ją marnotrawnie, on jeden w sukni latanej, nie miał często grosza na własną potrzebę, ani sposobu zarobić go sobie, bo żona zabierała weześnie wszystko do siebie i godziny mu rachowała.

— To biedne dziecko opuszczone — mówił cicho Wawrzyniec malarzowi — ma ochotę, wyszedłby może na artystę, ale opiekun, który mu pomagał, oddawał go na naukę, umarł. Nie ma się gdzie podziać. Gdybyście go przyjaść chcieli...

— Gdybym mógł! westchnął malarz. Ale sami widziecie: moja dobra żona, moja kochana Maryetta, tak zawsze biedna, chora i chorobą znękana, zużyciwiona, tak nie lubi obcych, tak...

— Możeby się przecie zgodziła. Jan mógłby wam trochę posługiwać, a poduczywszy się czegoś, pomagać.

— O! to nieprędko, rzekł malarz łagodnie. Ale poczekaj Lorenzo, pójdę ja do niej, poradzę się z kochaną Maryettą.

I chwilę się zastanowiwszy, jakby dla zebrania myśli, odważnie potem postąpił ku drzwiom, za którymi wrzał i buchał to piskliwy, to groźny głos *ukochanej Maryetty*.

— Czego to? zawołała kobieta zaledwie okryta narzuconą suknią kosztowną, ale poszarpaną, z włosami rozpuszczonemi, z twarzą zaperzoną. Zawsze te twoje niezdolne dzieciśka naprzykrzają się mojemu Michałowi; patrz, musiałam je obić.

Włochowi na widok zaplakanych dwojga tułących się do siebie dzieci, lzy zakręciły się w oczach.

— Moja droga Maryetto! rzekł z westchnieniem.

— *Moja droga Maryetto!* powtórzyła podrzeźniając go żona. Tak! tak! droga Maryetta, a ona się musi zabijać z twemi dziaciskami nieżnośnemi jak ty. Cemu ich gdzie nie pooddajesz?

— Moje dzieci!

— Ja nie wytrwam w tém piekle!

— Cierpliwości trochę Maryetto! cierpliwości!

— Ja nie mam cierpliwości, wiesz o tém, i nie chcę jęj mieć. Głupcy tylko są cierpliwi jak ty.

Włoch zamilkł, a po chwili:

— Chciałem cię spytać się Maryetto... miałem do ciebie prośbę...

— Wszakże zwykłeś robić wszystko bezemnie lub na przekór mnie!

— Ja?

— A tak! ty! ty! O cóż to przecię raczysz się mnie pytać? dodała szydersko i złośliwie.

— Potrzebuję kogoś, co by mi mógł później w robotach pomagać. Chcę wziąć ucznia. Tym sposobem zarobekby się mógł powiększyć może. Ty wiesz, ile potrzebujemy, jak trudno mi wystarczyć. Trafia mi się właśnie...

— A! jakiś niecznik jak ów może, coś go przez liś a raczej przez głupstwo wprowadził, co to nas okradł potem i niecił. Jesteś i umrzesz cielećciem.

— Ale kochana Maryetto...

— Ale, *kochana Maryetto! kochana Maryetto!* Cheesz znowu dać się na pośmiech ludziom, gnibisz zresztą siebie, ale i mnie. Zkądżeś znowu wygrzebał tego chłopca?

— Lorenzo przyprowadził mi go; był jakiś czas u Szyrki.

Te słowa: „Był u Szyrki” uderzyły Maryettę: spojrzała na męża.

— Dla czegoż się ztamtąd oddalił? spytała.

— Szyrko dwa czy coś lata brał za nankę jego opłatę od protektora chłopięcia kasztelanica Trąbskiego, który właśnie umarł niedawno.

— Tak! a gdy goły, to ty go chcesz wziąć darmo. Marnotrawniku! o! jak to do ciebie podobne! Żona i dzieci nic nie mają, a ty cudzemi się myślisz opiekować. Ale cóż to za lotr z tego Szyrki! dodała.

Trzeba wiedzieć, że Maryetta nienawidziła kawalera Athanazyusza.

— Dobrze, dobrze! zawołała namyśliwszy się. Upokorzymy tego lajdaka, tego bazgralcę, co się ma za malarza dla tego, że się z niego ksiądz biskup naśmiewa, i śmie mierzyć się a nawet prym brać przed tobą. Dobrze, pokażemy całemu miastu, że nie ma serca, tak jak nie ma głowy. Weźmiemy tego chłopca.

— O! ty masz złote serce, Maryetto! zawołał uradowany Włoch, całując zabrukane jej ręce. Tyś taka dobra! Tak! tak! weźmiemy sierotę, przyjmiemy, przytulimy.

— Daj mi pokój z tém dobrém sercem! Ja ze złości go biorę. Ale pokażże mi go wprzód—chcę go widzieć, bo tyś gotów kalekę jakiego, obrzydliwca wziąć na niewidziane; ty wszystko robisz bez najmniejszej uwagi.

— Zaraz go zobaczysz! zaraz!

I Batrani wybiegł do Lorenza z uradowaną twarzą.

— Wołaj tego chłopca! wołaj! Moja złota Maryetta

chce go widzieć wprzód: ona ma zawsze słuszość, ona taka rozumna, tak przenikliwa!

Wawrzyniec zbiegl ze wschodów, i z bramy domu dał znak biedakowi, który oparty o ścianę czekał, patrząc osłupiałem okiem na dym wijący się z komina i latające nad dachem wróble. Patrzył a nie widział nic.

— Janie! Janie! zawołał żywo Wawrzyniec: chodź chodź!

I Jan wyrwany z zadumania długiego, sennego prawie, poskoczył zarumieniony, przerażony, żegnając się bojaźliwie, nim na wschody wstąpił.

Na górnym stopniu, u wnijscia, czekał już na niego Batrani z ciekawością; a gdy Jan pocałować go chciał w rękę, uściśkał go i pocałował w głowę z rozczuleniem (bo pomyślał o własnych dzieciach w tej chwili) i dodał:

— Nie dziękuj, nie dziękuj mi jeszcze, poczekaj; rzecz dotąd niepewna, nie wiadomego dotąd; wstrzymaj się, chodź za mną.

I wpatrując się w twarz Jasia drżącego, pomieszanego, prowadził go do żony. Jan piękny zawsze, teraz okryty tym królewskim purpurowym płaszczem, rumieńcem niewinności, który tak uwodzi twarze młode, piękniejszy był jeszcze. Spuszczone oczy jego, postawa zaleknioma, były najlepszą zaletą w oczach kobiety, która właśnie chciała, żeby wszystko drżało przed nią, i przywykła do tego.

Niecierpliwa Maryetta już otworzyła drzwi swego pokoju i czarnemi oczyma ściagała nową ofiarę. Lecz, o cud! błyszczące oczy jej czarne zaszyły nagle łzami, głos w piersi zwinął się i sflumił, zmieszana się, za-

jękła, i zakrywszy twarz dłonią, zatrzaskała drzwi tak silnie, tak impetycznie, że Batrani przerażony, wyłękły, nie wątpiąc, iż Jan wypędzony być musi, począł się mieszać, niepokoić, nie wiedząc jak to nowo-przybyłemu objawić. Nigdy on odmawiać nie umiał, tyle go kosztowało, ilekroć był do tego zmuszony!

Wawrzyniec widział także zatrzasknięcie drzwi, ale nie zrozumiał go weale. Wtém z za nachylonój połowy twarz Maryetty ukazała się znown, wołając męża niecierpliwie:

— Girolamo! Girolamo! chodźże!

Mówiąc to, mierzyła jeszcze ukradkiem oczyma chłopea, który stał jak winowajca.

— Odprawię go, odprawię! rzekł uprzedzając chęci pokorny Włoch, i westchnął.

— Tak! tak! biednego sierotę wypędzić na ulicę, gdy przytulku nie ma! Któż ci mówi o tém?

— Więc pozwalasz go przyjąć, Maryetto?

— Albożeś się mnie o to pytał? Już jest, niech więc zostanie.

— Lecz jeśli ci to może robić przykrość, jeśli ci się zdaje, że i tak jest nas w domu za wiele?

— Któż to mówi! zapalczywie przerwała Marya: od kogożeś to słyszał? Niech zostanie, powiadam; niech zostanie! Ja chcę, ażeby został.

Mówiąc to, jeszcze raz spojrzała na Jana, i zamyknęła drzwi z gniewem, złośliwie, popędliwie jak zawsze.

Włoch posłyszawszy to: „Ja chcę!” — wprowadził natychmiast Jana do swojego domu, bo wszelki rozkaz żony był dla niego nieodwołalny.

Tegoż wieczoru Jan zniósł rzeczy swoje, pożegnaw-

szy poczeiwego Adama, i już w kącie wielkiej Batrani'ego malarzni dumał nad przyszłością. Poczeiwy malarz ukradkiem przyniósł mu trochę jedzenia, poglaskal go po głowie, i nie śpieszył z daniem roboty, sam woląc się krzątać i siebie posylać, niż w tej chwili uroczystego smutku oderwać od rozmyślań biedne dziecko, które już serce jego za swoje było przyjęło.

Nadzwyczajne zmiany zaszły wkrótce potem w domu malarza Batrani'ego. Jan, który zdawał się wziętym prawie przeciwko woli wszechwładnej Maryetty, stał się jej ulubieńcem widocznie. Malarz przypisywał to najlepszemu, złotemu, jak je nazywał, sercu Maryetty; inni ruszali ramionami. To pewna, że po najdroższym Michasiu, a daleko przed biednymi dziećmi malarza, stał uczeń w łaskach pań. Często ukradkiem rozwarłszy drzwi, Maryetta patrzyła na pracującego ze łzą w oku. A łza, łza inna nad wylaną w gniewie, tak u niej była rzadką! Ilekroć przemówiła do Jasia, to tak łagodnym głosem, tak drżącym, jakby się ona jego, nie on jej lękać miał. Czasem zamyślona godzinę stała, wpatrując się w niego. O cokolwiek poprosił, uprzedzając życzenie, podsuwała mu. Michaś nawet nie miał prawa nad nią się znęcać, i nieraz burę oberwał, gdy wzorem braciszka i siostrzyczki chciał wywieźć ucznia. Malarz przewidujący, jak źle Jasiewi musi być u niego, dziwnie się zawiódł, jak zwykle w domysłach i przeczuciach zawodzimy się wszyscy. Coś niepojętego przywiązywało Maryę do tego dziecka. Często gdy Jan sam jeden w malarzni siedział skulony, rysując na kolanie z gipsów, wkradła się za niego, i cicho, łagodnie poczynala rozmowę z takim wzruszeniem, jakby głos biednego chłopca znała

już dawniej, jakby on jej przypominał coś drogiego, utraconego. Nietylko postawą i ciałem, ale sercem i duszą Włoszką była ta kobieta.

Batrani cieszył się i błogosławił dzień, w którym wziął Jana do siebie, bo teraz częściej miał chwilę spokojną. Lecz Maryetta, jakby zapierając drogę pytaniom i wszelkiemu tłumaczenin, udawała przed mężem obojętną dla chłopca, czasem nawet niechętną. Batrani przywiązywał się do niego codzień mocniej. Prędko bardzo objawił się prawdziwy wrodzony talent w chłopięciu, a Włoch zapalił się myślą uczynienia z niego wielkiego artysty. Każdemu postępowi ucznia poklaskiwał, ciesząc się nim jak dziecią. Uczyl on nie jak drudzy, co zazdrośni najdroższe tajemnice zostawiają sobie, ale z duszy i z głębi serca dobywając co miał najszacowniejszego. Myśli swoje, doświadczenie długie, smak wykształcony, drogie sztychy które zbierał i nad którymi nieraz płakał, przypominając oryginały w pałacu Pitti i Trybunie—wszystko otworzył Janowi, zachęcając do czerpania. Sam nauczony wedle odwiecznej i najlepszej metody u najslawniejszych mistrzów, wlał w ucznia swego co miał tylko od nich, natchnął go tym zapalem, co mu z oczu nieraz lzy wyciskał, świętym ogniem, bez którego nie ma artysty wielkiego, choć tylu pospolitych bez niego się obchodzi!

Cóż bowiem jest sztuka? co artysta? Sztuka nie jest głupim malowaniem natury i prozaicznym tłumaczeniem myśli, ale tworzeniem idealów, ale spotęgowaniem życia ziemi i wszystkiego, co ono wyraża. Natura widoma jest tylko objawem myśli niewidomej, a malarz winien wiedzieć znaczenie wszystkiego, co

widzi, aby użył go jako znaków, jako środków ku wydaniu swojej myśli. Co natura myśli i objawia wyrywkowo, niekompletnie, to składa artysta na rysy obrazu swój myśli, myśli znającej siebie, pełnej i wielkiej. Nie ma malarstwa, nie ma sztuki bez prawdy idealnej, jak nie ma ich też bez prawdy realnej, będącej wyrazem pierwszej. Artysta nie jest, nie powinien być rzemieślnikiem malującym twarze, drzewa i przedmioty pewne, mniej więcej prawdziwie i dokładnie; ale poetą, co myśl wielką, uczutą, pojętą i wyrrywającą się na świat puszcza nań strojną we wszystko, co jej dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykającą uczynił. Bez tego twórczego ognia, co unosi mistrzów, co nświęca i oczyszcza sztukę, co ją dzieli od rzemiosła, nie ma obojga. Bez niego zostaje robota bezduszna i bezduszny robotnik.

Są niestety, i jakże wielu podobnych artystów! co siadają do pracy zadaną jak szewc do skrojenia bota, zimno, mechanicznie, bezmyślnie, na traf się zdając, przypomnienia za tworzenie biorąc; ale sąż to godni nazwania tego artyści? O! nie! Zpatrzmy się na ekstazę Ś. Łukasza, który w niebie okiem szuka wzoru do twarzy Matki Bożej — jest to cudnie piękny symbol. Choćby Ś. Łukasz nie był malarzem (jak chcą niektórzy krytycy), legenda ta będzie zawsze wielką i piękną nanką. Tak! w niebie są wzory pierwotne, w duchu i myśli ideały nasze być powinny, a bez ekstazy i zapalu nie ma tworzenia. Ideały linii, ideały kolorytu, ideał wyrazu, ideał całości: wszystko powinno wystrzelić jak kwiat aloesu razem, razem jednym — z głębi myśli, z łona artysty ogrzanego zapalem.

Tak właśnie z wysoka, tak wielką pojmował sztu-

kę Batrani, pojmował ją jak wówczas rzadkie tylko, niepospolite i wiek wyprzedzające umysły rozumiały. Czytajmy dzieła XVIII wieku o teoryi sztuki, a przekonamy się, że sztuka naówczas mniej zrozumiana była, gorzej pojęta, niż gdy Leonardo pisał swój traktat, Rafael listy swoje, Benvenuto Cellini pamiętniki, Michał-Anioł sonety. Tam to, w tych urywkach szukać należy rozpiechłych rysów odwiecznej prawdy o sztuce, którą umysły wyborowe, wielkie, zawsze jaśniej i lepiej od współczesnych pojmowały. Plato stary, bożki Plato, nazwał *piękno blaskiem prawdy*, i kazał tworzącemu dzieło zapatrywać się we wzór idealny, nieśmiertelny. Po Platonie wieki czekać było potrzeba, aby toż samo powtórzono.*)

Batrani, wierny uczeń téj potężnej szkoły włoskiej, która razem w jedno wzięta jest może największą w świecie, najlepiej pojmował ideał w sztuce i najłatwiej pojęcie o nim wlać umiał.

Jan przez rok tutaj więcej skorzystał niż przez dwa u Szyrki. Rysunek jego począł dążyć do owéj cudnej czystości linii, która zachwyca w sztuce starożytnych; do owego wdzięku, który ani energii, ani prawdy nie wyłącza.

Włoch, jak wszyscy ludzie kompletniejsi, nie był zwolennikiem ani jednego stylu, ani jednej manieri,

*) *ὅπου μὲν οὖν ἂν ὁ δημιουργὸς πρὸς το κατὰ ταῦτα ἔχον βλέπον ἄει, τοιοῦτω τινὶ προσχρώμενος παραδείγματι, τὴν ἰδέαν καὶ δύναμιν ἀπεργάζηται, καλὸν ἔξ ἀνάγκης οὕτως ἀποτελεῖσθαι, πᾶν οὗ δ' ἂν εἰς τὸ γεγονός, γεννητῷ παραδείγματι προσχρώμενος, οὐ καλόν.*

Plato. Τίμαιος.

ani jednego mistrza. Widział on w zachwycającej całości sztuki myśl z tysiąca stron objętą i wystawioną, umiał ocenić stronę właściwą każdemu, choć wyłączością grzeszącą. Szukał siły w Michale-Aniele, idealnej piękności linii i wyrazu w Rafaelu, wdzięku naiwnego u Fra Bartholomea, kolorytu u Tycyana, Palmę i Bellinich, wykwintnej roboty u Hollendrów, idealizujących kapustę, marchew i zmiarszczki stariej baby, przywiązanych tak do kraju, że własne suknie i twarze dają Rodzinie Świętej, czystych i przezroczystych w robocie jak skrupulatnie czyści i umyć się w domu.

Lecz z mnóstwa dziwacznych utworów germańskiej sztuki, stary Łukasz Kranach, nieporównany Martin Schoen, naówczas tak mało jeszcze cenieni, byli dla Batrani'ego przedmiotem czei i podziwu. Płodność i siła Dürer'a wynawiała w oczach jego niepojętą czasem karykaturalność, a raczej przesadę wyrazu, zbyt realnej prawdy.

W takiej szkole Jan odetchnąć nie miał czasu: każda chwila była tu drogą, wszystkie leciały piorunem, dni migaly błyskawicą, zapominał o wszystkim, znikala mu z oczu ziemia, jak Eliaszowi porwanemu na wozie ognistym. A! jakże rzadko, jak rzadko ten wóz ognisty zapalu porywa z ziemi wybranych i miosi ich w obłoki! Jak daleko częściej miasto świętego wozu, przypina sobie biedne czlecze, lepione i klejone skrzydła lłara, aby spaść potem z wyżyny na ziemię, w otehłanie morza!

Wkrótce Jan stał się nawet pomocą malarzowi, wziął pendzel do rąk i nieśmiało pierwszemi barwy wyrazić się starał myśl go przenikającą, jeszcze niepochwyconą, której ustalić nie umiał. Łagodnie kiero-

wany, uczył rozwijanie się własne, a radość dodawała mu sił nowych.

Batrani był jednym z tych nauczycieli, co rozumieją najlepiej, że kierując uczniem, samodzielności odbierać mu się nie godzi, że należy oszczędzać mu szukania i niepewności, ale zostawić wybór drogi, i nie żądać od talentu, aby siebie się zaparł dla mistrza.

Gdy się te wielkie niepostrzeżone zmiany w głębi niego odbywają, Maryetta gorącym okiem, w którym każdy inny, prócz pocziwego Batrani'ego, byłby namiętność ogniastą wyczytał, obejmuje, rozgrzewa chłopca darennie.

Oprócz strachu, żadnego uczucia nie wzbudza w nim to wejście dziwne, którego zapalu, ognia, czułości, nadziei, chwilami błyszczących, on nie rozumie nawet. Napróżno rozpoczyna rozmowy Marya, on jęj tylko urwanemi odpowiada słowy, pyta o rozkazy, nie śmiejąc nawet podnieść na nią oczu.

— To on! to drugi on! cicho szepcze rozdzierając na sobie suknię z niecierpliwością kobieta. Jak on zimny! jak on obojętny! O! jakże dziwnie, jak cudownie go przypomina! Ale przynajmniej patrzę na niego, widzę go codzień jeszcze. Łudzę się, i zdaje mi się, marzę, że on mnie kocha znowu, choć na chwilę. Dla czegoż niczem do życia go pobudzić nie można? Jestże tak dziccinny jeszcze, czy tak zimny już? O! nie, oczy świadczą, że już myśli, ale nie o mnie, ale nie dla mnie!

Trzeci rok bytności u Batrani'ego upływał. Jan gorliwie pracował, rozumiał mistrza i wiedział, ile mu samemu brakuje. Kto wie, że nie jest doskonałym, ten najpewniej jest na drodze do udoskonalenia. Tylko dla ludzi, którzy się mienią skończonymi, w istocie

wszystko się skończyło, nie z nich już nie będzie. Dopóki te wielkie, sine przestrzenie nieskończoności widzi przed sobą człowiek, dopóty idzie; gdy ściana ciasna świat mu zamknie, cofa się, maleje i kona. Jan widział niezmierzone drogi przed sobą; pojmował ile pracy, poświęcenia, ile nauki potrzeba, aby być mistrzem i twórcą. Rzecz można, że cały świat podbić wprzód sobie musi, kto świat ten ma odtwarzać. Nie mu tajnego, nie mu obcego być nie powinno. I rzeczy łupina-forma, i ten duch wewnętrzny, co formie *wyraz* nadaje, i blaski powierzchowne jasności wewnętrznej, i życie we wszystkich swych objawach, począwszy od znikomych światel do ogromnych potworów, człowiek fizyczny i duchowny, dzieje jego, twarz, jaką mu nadaje klimat, ród, obyczaje, cywilizacya, indywidualność, charakter, — wszystko zbadać i poznać musi malarz. Dla niego wielką całego żywota zagadką: — związek ciała i ducha, przyczyny objawu formy i myśli; — uczy się czytać hieroglify odwieczne i pisać nimi tak, aby zrozumiany został. Musi myśleć jak filozof a tworzyć jak natura; każdy twór jego długo dumany, a szybko wcielony być powinien. Dwie prawdy: prawda prozy dla oczu gminu stworzona i prawda idealna, muszą w nim walczyć i równoważyć się z sobą.

Dla tego pewnie wielcy mistrze dawni nie tylko malarzami byli, ale jak nieśmiertelny Leonardo, twórca *Wieczerzy*, uczonymi w całym znaczeniu wyrazu. Czegoż bowiem nie potrzebuje umieć artysta?

Zstąpmyż do serca: ile znajomości jego, ile poznania natury ludzkiej potrzeba dla nadania wyrazu jednej twarzy, dla nadania odpowiedniego ruchu ciału! A gdy już wszystko pojęte, zbadane i pomyślane, ile

praey, aby rękę własną podbić jeszcze pod panowanie myśli, aby ona posłuszna, szybko i silnie wyrażała w całości, co pomyśli, co stworzy głowa!

Ten ogrom nauki, nauki ducha i materyi, widział przed sobą Jan i nie wzdrygnął się; ona go ogromem swym pociągała ku sobie, jak światy pociąga słońce. Pyły tylko rozpadają się bezwładne w niebieskie przestrzenie; ale co żyje, krąży i zbliża się do celu, i wiąże się z czemś tak żywem jak ono samo.

Nie będziemy dłużej wystawiali wam Jana w tych walkach pierwiastkowych, bo któżby na obrazek nasz chciał patrzeć? Tysiące szczegółów wyraziłby tu potrzeba, gdy sam ogół nawet tak mało kogo obchodzi. Ta historia duszy tak mizerną jest w oczach ludzi, co wolą zabawną historję złodzieja, niż dla nich obojętne a tak naucezające życie artysty!

Dla Batrani'ego ten niespodziewany uczeń był darem Niebios. Pojmie to każdy, kto długo tajone a drogie myśli znalazł nareszcie gdzie wylać—w serce i duszę, otwarte ku ich przyjęciu, sympatyczne. Czasem wieczory całe upływały na kreśleniu gorących obrazów pięknej Florencyi, którą młodemi łzawemi oczyma, oczyma tęsknoty widział zawsze przed sobą Batrani, z jej kościoły, pałacami, ogrodami, z kampanillą i chrzcielnicą, z posagami i z temi nieczmiernemi bogactwy, które zostawili Medyceusze po sobie, jakby na zatarcie pamięci swych zbrodni. Jan zapalał się obrazami, które ciepłe uczuciem padały nań niestannie, a w duszy wołał ciągle jak Izraelici na puszczy poglądający w stronę obiecanj ziemi: *Italia i Roma!* Wołał i odpowiadał sam sobie: Może kiedyś... może tam nigdy nie dojdiesz! — Na cóż się przyda ubogiemu ten wykrzyknik próżny, ten krzyk Tantala, woła-

nie, co się rozchodzi i ginie nieposłyszane nigdzie, nawet w Niebie!

Wielkie imiona artystów sławy pełne, laurami uwiecznione, wyryły się w pamięci chłopca. Z rozmów Batrani'ego, z jego tek i dawnych rysunków, które wystawiały wszystkie sławniejsze freski, w rzadkich tylko i kosztownych widzieć się mogące zbiorach, znaczniesze zaś figury i głowy osobno studyowane dla wyrazu, anatomii, linii, światła, sknrczeń umięjętnych lub rznatów draperyi,—z mnóstwa prac tego niezmordowanego człowieka, co jak prawdziwy artysta całe Włochy wyniósł w swój tece: i palace Palladiów, i obrazy Sanziów, i ruiny teatrów, i starożytne obłamki pogańskiej sztuki,—szczęśliwy Jan uczył się Włoch wcześniej i gotował do ich widzenia. A mistrz, jakże się unosił młodą jego radością na widok tych arcydzieł! On, odmłodniał z nim, i gdy pierwsze postaci myśl własną wyrażające narysował Jan drżącą ręką, z policzki płomieniącemi natchnieniem jeszcze dziewiczym, jakże go serdecznie uściskał pocziwy nauczyciel! jak ze łzą w oku błogosławił mu wyciągnionemi rękoma, ojcowską duszą!

— O! możesz i ty wykrzyknąć, rzekł poruszony: *Anch' io son' pittore*. Ty będziesz wielkim malarzem! Byleby ci życie nie stanęło w poprzek geniuszowi, byleby nędza nie przykula do ziemi, a robak namiętności nie wkradł się w zawiązki owocu, a poziome chęci nie ściągnęły z polotu na ziemię.

Mówił i spuścił głowę zasmucony.

A Marya? Maryetta ubóztwiana, zawsze prawie jednako przykra dla Włocha, dla Jana codzien wyrażniejszą okazywała czulość. Darnjmy jój: nie była to bowiem pospolita zalotność, nie była to prosta zwierzę-

ca żądza młodości; było to silne wspomnienie niedokończonego szczęścia, co się dopominało praw swoich.

Jan tak był podobny do pierwszego jój kochanka, do uwielbionego i nieodżalowanego młodych lat towarzysza, że Marya pokochała w nim nie nowego człowieka, ale swą dawną miłość.

Obojętność Jana, który wół nie rozumiał czego od niego chciano, w pół nie chciał rozumieć, gdyż byłby w swém przekonaniu winien zdrady i podłości, gdyby choć jedném wejrzeniem stal się uczestnikiem uczucia niewywolywanego, natrętnego,—obojętność ta zwiększała jeszcze zapal i niecierpliwość kobiety. Niezrażona zimnóm uszanowaniem Jana, podwajała oznaki przywiązania, ale na próżno, zawsze i ciągle na próżno.

Jan tylko nieustannie palony jój oczyma, których wreszcie uniknąć nie mógł, uczuł budzące się w sobie uczucie, któreby może jeszcze długo w nim spalo. Niepokój ulodzieńczy, pragnienie nieopisane, tęsknota, zamyslenie, opanowywały go. Dokola siebie szukał czegoś, jakby przeczuwał zbliżenie, jakby czuł oddech nadchodzącej.

Naprzeciw malój izdebki, którą rzadko we dnie, ale zawsze wieczorami i rankami zajmował Jan, wprost okna jój wychodzącego na dziedzińce, był stary dom, nowemi budowlami tak objęty dokola, że okna jego wychodziły w podwórzec rozciągającej się kanonii, oddzielony murem tylko od podobnegoż podwórza domu, zajmowanego przez Batrani'ego.

Stara ta kamienica nieforemna, szara, mnóstwem

kominów różnokształtnych najeżona, ścieśniona przybudówkami różnego przeznaczenia i wysokości różnych, nigdy w początku nie zwracała oka pracowitego Jana. Nie miał on téj próżniaczéj ciekawości lat młodych, tego chciwego późniejszych pragnienia wniknięcia w życie otaczających go ludzi; żył jeszcze w sobie, i co się działo obok nie widział. Ale gdy wejrzenia, słodkie słówka Maryetty wprawiały go w zadumanie długie, mimowolnie oczy poczęły też błądzić dokola, jakby czegoś do zdobycia szukały. *Tęskność*, to pragnienie pomieszane z nadzieją, tak różne od *tesknoty* będącej tylko słodkim smutkiem, uderzyła na serce Jana. Szukał a nie wiedział czego? spodziewał się, nie pytając nawet siebie, kogo? Dziwnym a częstym jednak w życiu trafem, jedno spojrzenie wytlómaczyło mu ten niepokój wewnętrzny.

Naprzeciw okien Jana, w przeciwnym domu, ukazywał się zwykle z za wypłowiałej firanki kolorowej, suchy i dziwaczny profil staruszek, jakby z obrazu Gerarda Dowa wycięty. Nieraz Jan, chociaż starości zmarszczonéj na sposób flamandzki, w czepku z wielkimi białymi falbanami muślinowemi nie miał za przedmiot malarski, mimowolnie chwytal ten profil stale przez część dnia ukazujący mu się za murem.

Staruszka zgięta, skurczona we dwoje, z popadłowatą twarzą, ze śpiczasto zakończonym nosem, z wystającą brodą, ponimo tych pospolitych rysów wiekowi właściwych, wiele miała szlachetności, wiele *stylu* w fizyognomii. Jan przemyslał nawet nieraz, czy lepiej było schwytać ją do teki na starą sługę Judyty, czy na matkę Dariusza? Rysy twarzy czyniły ją prawie godną być Dariusza matką.

Na sługę Judyty musiałby ją był chyba skaryka-

turować. Starszy, a nadewszystko ciekawszy, dawno-by był dopatrzył, że głowa starszki często się ukazywała nie sama, ale jakby opleciona dwicma anielskimi twarzyczkami prześlicznych dziewczątek. Jan, jak cudo i zjawisko, dnia jednego gdy słońce bilo w otwarte okno przeciwna, ujrzał nagle dwie nmlodzieńcze twarzyczki aniołów, uśmiechające się ptaszkowi białemu, gołąbkowi, którego jedna z nich trzymała w ręku, dziobek różowy do rumianych swych przytykając ustek. Wnuczki dwie starój kobiety, były prawdziwie piękne!

Złote włoski dzieci północy błyszczaly na białych ich skroniach; niebieskie oczy jednéj, ciemne drugieję, opasane były rzęsami długimi, co taką dają wejrzeniu łagodność. Świeże jak dwa tylko co rozwite kwiatki, uśmiechaly się do gołąbka, ukazując i usteczka różowe, i ząbki bieluchne a drobne. Był to gotowy obrazek, i malarza najprzód jako obrazek uderzył. Potém zadumał się dłużej, popatrzawszy na profil niebieskookieję, i poczał ją ściagać wzrokiem, i przesiadzał w oknie trochę dłużej niż zwykle.

Dziewczęta bawiąc się swoim gołębiem, swawoląc wracaly ciągle ku oknu,—aż jedna z nich, jakby poczuła wejrzenie (któż nie wie, że wejrzenie uczuć można, nie widząc go?), zwróciła oczy na Jana. Szepnęła coś siostrze, obie ukradkiem spojrzaly na niego, ale nie uciekly od okna. Owszem, choć nmlode a już zalotnice, poczęły bawiąc się umyślnie może nastrozczać się oku patrzącego. Gołąb zerwał się, wyleciał oknem i jakby namówiony (ile trafów w życiu!) splątawszy się kilka razy w powietrzu, zawrócił ku otwartemu oknu Jana, zatrzepotał, i przywabiony usiadł na niém. Dziewczęta wychyliły się śmiejąc za okno, potém zakryly oczka,

ustąpiły wstydlive i zaglądały tylko ciekawie z za-franki, wsparłszy się główkami na ramieniu staruszki. Jan wyciągnął rękę ku ptakowi, a gołąb oswojony usiadł na niej. Serce mu biło, twarz płonęła, i pocałował gołębia.

Ptaszek jakby poczuł dopiero obcego po oddechu, zerwał się szybko, okrążył podwórze dzielące domy i odleciał do dziewcząt, które go przyjęły śmiejąc się, zamknęły okno swoje żywo, i pobiegły z nim do drugiej izdebki.

Ta dziwnie sielankowa scena, choć zresztą naturalna bardzo, była pierwszym wstępem do wielu późniejszych. Odtąd dziewczątka z przeciwka stały się znajomemi Jana, Jan ich przyjacielem z daleka. Szukano się wzrokiem, witano ukradkiem, a gołąbek zawsze przypominał poznanie. Młodsza niebieskooka, często rozsuwała franki, otwierała okno; czasem wsparta na ramieniu babki, długie wejrzenie rzuciła w przeciwną stronę dziedzińca. Jan też często śpieszył do izdebki, zamyslał się w niej, stał, czekał.

Po kilku tygodniach znajomość zupełna zawarta została, miłość obudziła się, ale z obu stron nie umiano, nie chciano, czy obawiano się zbliżyć więcej. Jan był nieśmiały z natury, nieśmiały biedne swe znając położenie; lękał się wreszcie, sam spełnia nie wiedząc czego.

Łatwo mu było dowiedzieć się o dziewczętach; wszyscy je znali, niewiele jednak więcej od niego. Kto one były? kto babka? różnie różni opowiadali; ubóstwo tylko, pracowitość i śliczne twarzyczki powszechnie uznawano. Zajmowały ze staruszką parę pokojów w domu, którego okna nie wychodząc z tej strony na ulicę, skazywały na mieszkanie wydzielni-

czonym od losu, tym, co do ruchu życia świetniejszego mieszać się, ani nawet na ten ruch patrzeć nie mieli prawa. Im ciche schronienie i praca. Goląbek jedyną był zabawką.

Mało miała staruszka znajomych i przyjaciół, bo nie widać było odwiedzających. Jeden tylko czasem stary, złamany, w polskim ubiorze z siwą głową dziaduszek, może daleki krewny, może młodych lat przyjaciel, czasem się tam ukazywał wsparty na lasce z galiką kościanną. Spędzał on wieczory śmiejąc się, jak to dawniej śmiać się dobrodusznie umiano, ze staruszką i dziewczętami. One chodziły tylko do kościoła razem, rzadko po południu na przechadzkę. Znano je w okolicy mieszkania pod nazwiskiem *siostrzyczek*, bo jednakowo ubrano, bardzo do siebie podobne, nderzały i zajmowały każdego. Miały wielu jak Jan nieznajomych przyjaciół.

Staruszka regularnie opłacała za mieszkanie, żyła bardzo skromnie; jedna sługa najęta z miasta, kuchnią i całą zajmowała się posługą. Służąca, wypytywana nieraz przez ciekawych, na wszystkie zapytania odpowiadała: „Albo ja co wiem!“ I tu ruszała ramionami, dając do zrozumienia, że wypytywać niebardzo było warto.

Raz stary Batrani zastał Jana siedzącego w oknie i tak zapaniętą wpatrującego się w niebieskooką sąsiadkę, że wchodzącego malarza nie posłyszał, nie postrzegł, nie przeczuł. Zbliżył się Włoch, spojrzał, postął chwilę z wyrazem litości na twarzy, i położywszy z wolną ręką na ramieniu chłopca, uśmiechnął się gorzko.

— Janie, rzekł powolnie do zarumienionego, schwytanego nauczynku chłopca: tyś już nie dziecko; po-

wiem ci jak mężczyźnie: Unikaj kobiet, twoją jedyną kołanką sztuka. *Ars longa, vita brevis*; życie jęj poświęcić maio. A kobieta daż ci większe i pewniejsze rozkosze? O! nigdy! Starożytny Egipt, którego niepojęta mądrość dziś się nam ęniami pokryła, w pięknym symbolu całą zamknął historię kobiety w społeczeństwie. Widziałeś Sfinksa? to kobieta. Wiekuista zagadka, którą najpospolicięj rozwiązuje śmierć ciała albo śmierć duszy. Twarz anioła, piersi matki, ciało zwierzęcia, lwie nogi a ptasie skrzydła. Obiecuję ci wejrzeniem anioła, lecz uściśniesz w nięj potwór, zwierzę, marę, a skrzydła miosą wkrótce daleko od ciebie to dziwne jakby senne widziadło! Odwróć oczy i nie patrzaj. Ciągnie cię kobieta tym urokiem, jakim pociąga przepaść, niebezpieczeństwo, śmierć!... Kochaj sztukę, kochaj piękność idealną, niecielesną, ale nie kobietę. Słowo tęg zagadki—kobiety, opieczętowne w księdze siedmin pieczęci na drugim świecie. Nigdy, nigdy jęj nie zrozumiesz. W oczach Sfinksa wieczne pytanie tylko, pytanie i pytanie bez odpowiedzi... Może on sam niewinien temu—dodał po chwili smutnie:—jest stworzony zagadką dla siebie i dla drugich, sam więc tęskni i pragnie, zawodzi się, zniechęca, spodziewa jeszcze i pyta znowu świata, po co mu dano na ramiona, na serce życie takięj pełne tęsknicy, tak niepewne jutra, takięm spalone pragnieniem?... Biedni my i on biedny!

To powiedziawszy głosem stłumionym, wyszedł Batrani, a Jan Izawo się zamyślił. Niebieskooka dawno była uciekla zawstydzona, postrzegłszy wchodzącego starego Włocha.

Skarżymy się wszyscy na zawody, lecz któż z nas przestrzegany nie był? Głos wewnętrzny, głos ludzi,

głos umarłych, co swe doświadczenie nam przekazali, wszystko mówiło młodemu: „Zawiedziesz się!”

A jednak poszedł, aby się zawiódł, i zawiódł umyślnie. Mówią, że na wielkich wyżynach, gdy wzrok zwrócisz na dół, czujesz potrzebę upadku, ziemia cię pociąga gwałtownie, wlepiasz w nią oczy fatalnie, tracisz przytomność, myśl niebezpieczeństwa i śmierci, wyciągasz ręce, upadasz. Tak właśnie młodość ciągnie nas koniecznie ku zawodom. Uwiadomienie o następstwach niczem jest. *Homo vult decipi*, wola jest tu konieczności objawem. Jan też zrozumiał wyrazy Batranięgo: błyskiem ukazała się przyszłość przed nim, a jednak nie zamknął okna, ani go na później unikał. Niebieskooka ciągnęła go zawsze ku sobie. Nie widział w tém przyszłości, nie mógł się spodziewać jutra ze wschodem słońca wesela, brnął jednak sercem i kochał. Bo kochanie samo jest taką koniecznością w młodości, jaką spadanie kamienia podniesionego w górę, upuszczonego z ręki. Mniejsza o rozbicie się w druzgi, upaść potrzeba.

Wkrótce Jan dowiedział się, wyszpiegował, kiedy *siostrzyczki* wychodziły do kościoła, znalazł sposób wymykać się z domu, spotkać z niemi na drodze, i zerwać uśmiech z usteczek, spojrzenie, potem słówko obojętne, potem słówko pożądane, drogie, potem był już szukany, nareszcie dawano mu znak z okienka, gdy siostry wychodzić miały w ulicę, ale tak zręcznie! tak zręcznie. że nikt go zrozumieć nie mógł, prócz Jana. A Jan coraz dłużej zamyslał się i przesiadywał w izdebce.

Stary Batrani powtarzał często:

— Janie! Sfinks cię zgubi! Nie odgadniesz zagad-

ki, a zginiesz dla niej. Wielki symbol świadczy, że kto nie odgadł zagadki Sfinksa, ginąć od niego musiał. Tak jest po dziś dzień: wszyscy ginie my, bo nikt jęj nie zgadnie. Janie mój, zbyt często wpatrujesz się w Sfinksa.

Jan zaczerwieniony, zawstydzony, nie nie odpowiadał.

Maryetta, która nie pojmowała obojętności młodego chłopca dla siebie, bo od chwili przybycia Jana starała się być i była dla niego miłą, łagodną a piękną,— poczuła nareszcie rodzący się gniew w sercu, oczy jęj zachodziły krwią i łzami, serce było wściekle. Naturalnie, myśl wreszcie, że Jan gdzieindziej kocha, obległa ją niepokojem. Poczęła go śledzić i podejrzewać. Zamyślanie się, częste wycieczki z domu, częstsze do izdebki wychodzenie i przesiadywanie w niej, coraz pewniejszą czyniły ją, że Jan kocha kogoś. Ale kogo? kogo?

Jednego poranku Jan wstał ranićj od wszystkich i zasiadł w oknie. Piękna Jagusia otwarła przeciwległe, i oparta na łokciu odpowiadała oczyma na ciche wyrazy kochanka. Maryetta, jakby przeczuwała coś, schwyciła się z łóżka i poczęła po całym domu szukać Jana. Słyszała (znała chód jego) przed chwilą stąpienie w pokoju: cicho się skradając, przysunęła się pod drzwi izdebki, rozwarła je i ujrzała go w oknie. Z bijącym sercem na palcach postąpiła zobaczyć, w co się tak pilnie wpatrywał. Wzrok jęj spotkał Jagusię. Wszystko było wytłómaczone. W chwili zatrzęsa się gniewem dawniejszym, nieokazywanym od przybycia Jana, i wybiegła głośnie drzwi zatrzasknąwszy.

Jan osłupiał.

Obrażona kobieta leciała do męża.

— Precz z nim! zawolała, tupiąc nogą: niech ztąd idzie! niech idzie sobie! niech żebrze! Precz z nim, to niecnota!

— Kto? co? spytał pokornie Włoch.

— Kto? Ty mnie pytasz, jakbyś nie rozumiał? Dawno musiałeś o tém wiedzieć. Ten próżniak, zamiast pracować, balamuci się z dziewczętami jakimiś z prze-ciwka. Twój Jan, twój ulubieniec! Nie chcę go wię-ciej w domu, precz z nim jedną godzinę!

— Ale Maryetto droga, samaś...

— Tak! „samaś go chciała”, — sama chcę teraz, abyś go sromotnie wypędził. Zaraz, zaraz, natychmiast!

— Moja Maryettto droga! ja go kocham, ja się do niego przywiązałem. Jeżeli winien, można go na-ganić, postraszyć. Ale cóż zawinił? To szal młodości. Daj się przebłagać, ja sam cię za niego przepraszam.

— Nie chcę nic slyszeć! nie chcę wiedzieć o ni-czém więcej! Niech sobie idzie, niech idzie precz! Od dawna już znieść go nie mogę, nie cierpię.

Malarz się uśmiechnął.

— Jesteś nienblagana? spytał raz jeszcze, biorąc za kłamkę.

— Wypędzić go, i to zaraz! mówię ci: zaraz!

Batrani spuścił głowę, ruszył ramiony, chciał mó-wić coś jeszcze, ale kobieta, której gniew mieszał się ze łzami, wypchnęła go za drzwi i zamknęła się na rygiel, aby płakać niewidziana.

Włoch długo się namyślał; potem wziął ukryty w kąciку woreczek, odliczył kilka dukatów, łza mu się zakręciła w oku, westchnął, i poszedł ku izdebce Jana tak smutny, jakby sam został wypędzony.

Jan przeczuwał coś i lękał się; powitał jednak wesoło

mistrza, którego chmurne czoło, zaczerwienione oczy, skłopotana mina wiele mówiły.

— Janie, rzekł Batrani cicho, dobywając głos—kochany Jasiu—poprawił się—musimy się rozstać.

— My! rozstać! jak to?

— Tak, powtórzył Włoch ocierając łzę rękawem: nie ja, nie ja, ale ona, Maryetta cię wypędza. Nie wiem coś zrobił. Musiałeś ją oburzyć temi nieszczęsnymi miłostkami przez okno: ona taka święta i czysta!

Jan spuścił oczy jak winowajca.

— Nie chce cię widzieć więcej w domu; kazala mi cię ztąd wysłać. Lecz dokądże ty pójdziesz biedne dziecko?

I Włoch oparł się o mur zamyślony.

— Ja nie wiem, Bóg poprowadzi, rzekł Jan smutnie, patrząc w okno, w którym mignęła twarzyczka Jagusi.

— Jak ty bezemnie, jak ja się obejść bez ciebie? Nie wiem... Tyle rzeczy mogłeś się tu jeszcze nauczyć, na tak dobrą byleś drodze! A! mój drogi! bądź co bądź, nie rzecaj malarstwa. Ono jest także kapłaństwem. Poświęć mu kobiety, nadzieje znikomego szczęścia, świat, życie. Nie dla sławy, bo coż sława? ale dla nagród, które znajdziesz w sobie samym. Sztuka jak wiara (na mniejszy rozmiar) sama płaci sobą. Nie porzucaj jej, zaklinam cię. Ludzie cię może nie poznają, świat cię sponiewiera, nie ocenią cię pewnie: będziesz dla jednych za wysoko, dla drugich pozornie za nisko; napoją cię octem i żółcią, przebiją ci bok i serce. Ty wszystko to poświęć sztuce: ona wielka, ona ci nagrodzi męczarnie chwilami niezrównanej rozkoszy. A jeśli jeszcze wiara dawna, gorąca, w sercu twym ze sztuką za ręce się weźmie, będziesz szczęśliwszy o kawałku razowego chleba, niż inui oplywa-

jący w rozkoszach ciała, które się przebiorą, gdy rozkosze sztuki—nigdy. Sztuka jedna nieskończona i bezdenna. Sytości nie ma na dnie czary, bo dna nie ujrzysz tam nigdy... Janie mój, ale gdzież się podziewasz, co myślisz począć z sobą?

— Radź mi, ja nie wiem.

— Radzić, jabym ci radził... Jedno jest tylko na świecie miejsce dla poety, dla prawdziwego artysty, ale ty dziś przynajmniej jeszcze nie zechcesz go, nie odważysz się w nim zamknąć. To jedno miejsce: klasztor. Wielka samotność, modlitwa, pogarda świata, cześć Boga podnosząca duszę, oddanie się sztuce bezwyjątkowe. Gdybym miał drugie życie, nie inaczej bym nim rozporządził pewnie! Ale ty...

— Ja mam matkę, siostry w ubóstwie, którym winienem być pomocą.

— Tak; świat cię ściga, wszystko odrywać będzie! Obowiązki, moje dziecko, przedewszystkiem. Jesteś synem, bratem. Ale cóż poczniesz z sobą?

— Powrócę do matki.

— Dzielić się z nią nędzą i zwątpieniem. O nie! nie! jeszcze ci nie pora wracać; z czémże przyjdiesz?

— Gdzież pójdę?

— Pozostań w mieście, spróbuj sam zarabiać na życie, a ucz się.

— Zarabiać! lecz jak? Chcesz, żebym na zawołanie, dla pieniędzy, dla potrzeb brudnych, zniżał się do robot... do robot?

Batrani się uśmiechnął.

— Każdy tak czynić musiał, rzekl. Jest to jednym z warunków życia artysty, być niepoznanym i umęczonym przez głupstwo ludzi. Trzeba umieć być wyższym na

to. Nie dośćże ci, że czujesz piękno i czcisz je w duszy?

— A plodzić będę musiał rzeczy nieforemne, poczarne?

— Dla chleba! Wszak Bóg stworzył żaby i węże, aby nimi zapelnąć wody i kałuże; możesz i ty zlepknąć rąk Jego, tworzyć co ci każą na zapelnienie żądań, które są jak kałuże i bagniska. Posłuchaj—dodał—praca żadna a żadna nie kala człowieka, nie poniża artysty. W najmniejszą możesz wlać ducha, podnieść i uszlachetnić. Nie każdy może tylko to tworzyć, co pragnie, i wtedy, gdy pożąda; ale każdy może sumiennie wykonać co mu los nadarza, i pracując na chleb nawet, nieżyć siebie i drugich. Przekłeta duma, którą wpojono w artystów, czyni ich dziećmi kapryśnemi; wielki genjusz umie z ciężkiej konieczności nawet wyjść zwyciężko...

Była chwila milczenia, długa, ciężka. Batrani wsunął woreczek w rękę Jana.

— Dalbym ci więcej, rzekł,—ale Bóg świadkiem, nie mam.

Jan rzucił mu się do nóg, i oddał nazad ten dar, prawie płacząc.

— Weź proszę! Na cóż mi to dajesz? Daleś mi więcej niż skarby, bo daleś mi duszę nową, uczucia, myśli, uczyniłeś mnie człowiekiem. Kiedyż ci się i tak wyplacić potrafię?

— Pamiętaj o mnie, o starym Batrani'm, który wkrótce może... (pokiwał głową i uniłkl).—A jeśli kiedy jaki los szczęśliwy zagna cię do pięknej, czarownej mojej Florencyi, jeśli ujrzysz to miasto Medyceuszów i nealujesz ziemię grodu sztuki, zejdź na małą uliczkę,

Vigna Vecchia, gdzie stoi stary nasz domek. Może tam go już nie ma! tyle to lat ubiegło! Pokłoń się odemnie wspomnieniom starym, pójdz na cmentarz Franciszkaków, i poszukaj kamienia, pod którym leży Giulia Batrani, święta matka moja, pomódl się za nią, i powiedz popiołom...

Głos wrzaskliwy Maryetty przerwał wylanie się Włocha.

— Idź, idź! rzekł żywo do Jana: slysze jej głos. Bierz te pieniądze. Oddasz mi je gdy będziesz mógł. Zobaczymy się dziś jeszcze, za chwilę, w kościele Ś. Jana. Zbieraj rzeczy i idź. Idź! A! czemuż nie mogę cię zatrzymać!

Po cichu stary Włoch otworzył drzwi, powiódł okiem za uczniem, który z lekkim tłomoczkiem i teką swoich rysunków, schodził już ze wschodów pomieszczenia. W ulicy zastanowił się, przypadł do muru, usiadł. Maryetta spojrzała na niego przez okno i zaśmiała się ze łzami.

— Wypędzony! zawołała, tak! nie ma go! wypędzony, nie ma i nie będzie. Dobrze! niech idzie, niech zginie, niech przepada! to był upiór, co mi serce wysysał.

I upadła na łóżko, szlochając.

Jan siedział odurzony pod murem jeszcze, gdy dwie *siostrzyczki* ujrzały go idąc na mszę.

— Patrz Jagusi! rzekła starsza po cichu: twój gołabek! Co to jest?

— Gdzie? A! to on! Cóż tu robi? Z tłomoczkiem! Wypędzili go czy co? Wiem, wiem, rozumiem wszystko.

Jagusia widziała żonę malarza w oknie, domyśliła się sceny całej, postąpiła ku Janowi żywo i dotknęła jego ręki, bo on nie widział.

— Panie Janie! spytała: co to jest?

Jan się dopiero ocucił.

— A! żegnam panienkę! odchodzę, idę.

— Dokąd?

— O! daleko zapewne! do swoich, do matki.

— Ale zkadźce to tak nagle?

— Nie mam już miejsca u Batrani'ch.

— Dla czego?

— Nie potrzebują ucznia.

— Wróciśże tu kiedy?

— Czy wrócę? nie wiem... a! nie wiem, rzekł smutnie. To wiem, że nigdy, do śmierci, nie zapomnę ciebie, dodał kładąc jej rękę na swém sercu. Chodźmy do kościoła, i ja potrzebuję się pomodlić. Dzwonią na mszę.

Ulice były jeszcze prawie puste, ranek prześliczny. Przeszli przez kościół razem, smutni, kilka tylko słów do siebie przemówiwszy. Dziewczynce srebrne lezki w oczach się kręciły. Jan już był mężczyzną i dumiał. Batrani po chwili dopędził ich niespokojny, znalazłszy jakiś pretekst do wyjścia z domu. Wywołał Jana do kruchty.

— Cóż z sobą myślisz? spytał znowu.

— Nie mogę tu pozostać, odparł Jan. Później, kto wie? powrócę może. Matka dawno nie wie o mnie. A potem, cóżbym tu począł? Codzień więcęć przywiązując się do tego anioła (wskazał na modlącą się Jagusię),—muszę nieikać.

Włoch nie już nie rzekł.

— Na drogę, wybąknął po chwili, potrzeba ci więcęć pieniędzy. Pomyślałem o tém; ale ich nie mam. Jeśli masz dla mnie trochę wdzięczności, przywiązania, jeśli kochasz nauczyciela, przyjm jeszcze odemnie ten stary zegarek, on mi nie jest potrzebny. To pamięt-

ka po ojcu; z nim przybyłem z gorącej Florencyi pod wasze zimne niebo. Oddaję ci go chętnie; w potrzebie, pilnej potrzebie, sprzedasz go. (Tu westchnął). Gdybyś się obejść potrafił, zwrócisz mi go później. Jeśli żyć nie będąc, zachowaj go na pamiątkę.

— O! wolalbym pracować jak wyrobnik—zaplakał chłopiec ściskając ręce i rzucając się na piersi starca—niżeli przyjąć taką ofiarę! Nie chcę, nie chcę!

I w długim uścisku pożegnali się.

Jagusia jeszcze raz rzuciła mokry wzrok na niego. Jan nie czekał dłużej, pokłęknał, pomodlił się gorąco, ze łzami, i ruszył sam nie wiedząc dokąd idzie, oszalały, nieprzytomny.

Każda podróż w młodości zajmuje tak silnie! Podróżujemy naówczas myślą po obszarach nieskończoności; a gdy i oko ciała przebiega coraz nowe przedmioty, gdy świat w całej się swojej nieskończonej różnaitości przedstawia, dusza i ciało harmonizują rozkosznie. Gdy jesteś starcem, gdy wszystko w duszy osiadło, gdy skrzydła wypelzły, i ciału już wówczas nie podróżować więcéj. Podróż męczy, nam potrzeba spoczynku, cichego przygotowania do śmierci.

Jan, który lat kilka przesiedział w mieście, nie podróżując dalej nad okolice Wilna, i to zbyt rzadko, bo rzadko wstawał od jednostajnej pracy—pomimo smutku głębokiego uległ uroczym widokom, nowym jeszcze dla niego, widokom zewnętrznego świata.

Było to lato, w całej krasie, jaką ta pora miewa

czasem u nas; wszystko było ubrane zielenią wesolą, niebo w coraz nowych barwach, ziemia w pełni życia swojego. Pieszko, powolnie idąc, zatrzymując się gdzie i jak długo chciał, nasz malarz nieraz dobywał ołówki, i dumal długie godziny, spoglądając z pagórków w doliny daleko usłane. Ranki parne, wieczory dziwnymi blaski zachodu oświecone, zachwycały go. Zdawało mu się, że pierwszy raz natura jest tak urocza, tak nieporównanie piękna.

Znużony pieszą wędrówką, przysiadł się na wóz wieśniaczy, po drodze za małą opłatą przyjmujący go gościnnie na szerokie z siana posłanie; przyłączał się do podróżnych, jak sam ubogich, ale uboższych jeszcze duchem od niego. Nocował czasem sam jeden pod drzewami, czasem u ognisk gospody, wśród pokotem usłanych, znużonych jak on ludzi, którym sen był największym szczęściem, bo dawał zapomnienie. Cheiwie chwytal te naiwne opowiadania ludu, które się słyszeć dają u gościnnego stołu karczemnego, gdy się człowiek rozgrzeje, posili i wypocznie, a myśl w nim zaszumi. Niekiedy tylko wspomnienie przeszłości tak nagle i niespodziewanie zerwanć, niespokój o jutro, o matkę, o rodzinę, zasępiały mu czoło.

— Jak ją znajdę? zapytywał siebie.

I szedł dalej a dalej, a gdy się zbliżył ku rodzinnej stronie, która mu mgliście i niewyraźnie rysowała się w pamięci, podwójnie zabilo serce.

— Co tam się dzieje? co się tam dzieje? powtarzał w duchu, i modlił się cicho.

W kilka dni zmęczony, bo nieprzywykły do pieszej podróży, ledwie już mogąc dźwigać tłumoczek choć lekki, Jan stanął na wzgórzu, z którego obejrzeć można było całą znaną okolicę. Miejsce to zwało się

Grabową Górą, z niego widać było bardzo daleko dokoła. Wiercholki lasów sinych, które przebył, jak ciemna zasłona leżały za nim, ginąc w oddaleniu; przed nim widok znany; w prawo na kraju brzozowego lasu wśród rzadniejących drzew, ujrzał dworek Brzozowego Ługu, który mu teraz wydał się mniejszy, bardziej przytulony do ziemi, pochyły, stary, ze swą zagrodą kamienną, szopką i znanymi kilku pniakami czerniejącymi wśród podwórka. Dalej, poniżej, spalo miasteczko zwinięte jak ślimak w skorupce, z którego jak dwa rogi, dwie białe wysuwały się wieżyczki kapucyńskiego kościoła z klasztorem, przytkniętego do drugiego pasma lasów. W lewo a dalej Nowy Dwór na wzgórzach, poniżej we mgle Zasiszki, Troba i inne folwarki. Drożyny, krzyże na rozdrożach, wązkie grobelki, przecinały obrazek.

Wszystko tak znane i tak nie niezmienione!

Nasyciwszy się widokiem tylu wspomnieniami brzemniennym, zwrócił Jan niespokojne oczy na chatę matki, jakby chciał zbadać co tam zastanie.

Niewyraźnie ztąd tylko dojrzał nieco lekkiego, sinego dymu, wzbijającego się w górę; na dziedzińcu nikogo nie zobaczył.

Cisza ranna panowała na drogach, chmury siwe po burzy wczorajszej, porwane i poszarpane wiatrem, leciały śpiesząc na zachód, gdzie już siny ich wał zapadał. Chwilami słońce błysło na część wielkiego krajobrazu, zostawiając resztę w cieniu. Dwa czy trzy razy ozłocila się facjata z krzyżem kościoła Kapucynów, który we świetle panować się zdawał otaczając okolicy; potem mdły półcień oblewał znów cały widok jednostajnymi tony...

Jan jakby się obawiał iść dalej, pozostał chwilę, potem zawstydzwszy się własnej bojaźni, ruszył żywo. Ale nieraz zastanawiać się musiał. Któż nie zna tego bojaźliwego zbliżania się do domu po długiiej niebytności? Człowieka byt i szezęście tak zależą od chwili, od jednego nie, że się zawsze boimy nie znaleźć czego najwięcej pragniemy, znaleźć czego się lękamy powracając do domu. Jan szedł i stawał, a im był bliżej, tém nierówniej to pośpieszał chwilami, to się włókl powolnie. Patrzący z boku wziąłby go może za szalonego.

Gdy wreszcie odkryła się chata ojeowska, krokiem niespokojnym puścił się ku niej żywo, aż mu zatamowało oddech, aż krew nderzyła do głowy. Pusto było w podwórku. Starego psa, towarzysza zabaw i dumań, stróża, piastuna dzieci, nie zastał; trawa gęsta, niećknięta zębem koni i bydła, porastała dziedziniec.

Szezebiotania siostr, głosu matki, nie; tylko dzieciół kul drzewo niecierpliwie, i wrony krakały, unosząc się nad polami.

Drzwi dworku były na wpół przymknięte; lecz Jan doszedł do sieni, a nikt go nie powitał. Pustynia, cisza. W sieniach, jak zwykle na wsi, wszystkie narzędzia gospodarskie stały, leżały przy ścianach: niecki, beczki, żłukta, garnki, grabie, rydle, widły, drabiny, w kątach zepchnięte spoczywały. Otworzył drzwi izby, eicho jeszcze. Czemuż głosu matki, ani siostr głosu nie słyży?

Przeżegnał się i wszedł powoli.

— Kto tam? ozwały się dwa głosy z głębi, a w jednym z nich poznał Jan głos macierzyński, głos słodki ale zmieniony i drżący. — Kto tam? powtórzono.

— Niech będzie pochwalony!... Podróżny...

Stara nieznajoma kobieta wywlokła się z za pieca, przy którym skulona siedziała, i popatrzała na Jana głupawym wzrokiem. Potém matka, matka wysunęła się także, patrzała, patrzała, zarumieniła się, milczała,—przeżyła pięć lat w téj chwili i poznawać zaczęła swe dziecię...

— Matka! wykrzyknął Jan pierwszy, rzucając się ku niéj.

Mniéj była zmieniona od niego: ona zestarzała, zbladła, zmalala; on wyrósł, wynęczał, wyszedł z dzieciństwa. Łzy zakręciły się w oczach obojgu. To on!—to ona! Tak zbiedniona!—tak hoży i piękny!

Czarne oczy kobiety obwiedzione były piętnami płaczu i cierpienia, zagasłe; twarz żółkła, pomarszczyła się, barki pochyliły. Świeże dawniej i staranne ubranie teraz tłómaczyło nędzę prawie. W chacie biedniéj jeszcze było niż dawniej. Też same ławy, stoły, łózko; ale sprzęt lepszy, kufry, odzienie wiszące przed tém na kolkach, znikły. Łózko okryte było niżerną starą koldrzną; w piecu ledwie iskierka ognia u jednego garuka dymila powolnie. A ta cisza! ta cisza!... Jan rzucił się ku matce i kilka razy powtórzył wzruszony:

— Matko! matko!

— Mój Jan, Jan mój, Jan! zawołała kobieta, chwytając go w objęcia, płacząc, ściskając, modląc się i płacząc znowu.

Jan nie śmiał spytać o siostry.

— A! wrócił! moja dobra Małgorzato! powrócił. Wiesz, że wrócił do mnie. Modliłam się o niego do Świętego Antoniego jak o powrót zguby, bo mnie strachy o mój jedyny skarb opanowały. Modliłam się i wy-modliłam. Jan powrócił!

Aż łzy zatamowały jej mowę i nie dały nie wyrzec więcej.

— Siostr, siostr nie zastaleś, rzekła jakby opamiętywając się po chwili. Widzę, że o nie zapytać nie śmiesz! Nie ma ich, nie ma... i nie wróca.

Poezła płakać, porwała Jana za głowę i odczwała się żywo:

— Siadaj, odpocznij! Tyś głodny? Cóż ci dam jeść! Piwa mu zgrzej, Małgorzato. Moja stara, wyręcz mnie: ty widzisz, że ja nie potrafię, że nie nie mogę. Czemuż was troje do siebie przytulić nie mogę? Z trojga jedno tylko pozostało! Siostry twoje, dzieci moje, u Boga. Bóg pobrał je na aniołki sobie.

Otarła oczy powohnie.

— Pół rok temu odra panowała, w chacie chłodno było, zasłabły obie, i razem prawie na inny świat poszły bez grzechu, czyste duszyczki! Teraz tyś jeden u mnie! A! ja co godzina drżałam o ciebie! Chciałam cię widzieć, a nie śmiałam nawet żądać tego. Powiedzże mi, coś tam robił? co masz? jaki twój stan? co na przyszłość myślisz? Przytuliszże biedną matkę do siebie?

— Uczyłem się droga matulin—odpowiedział Jan smutnie—niezylem się na malarza; ale jeszcze długo i wiele czytać mi się potrzeba, i wiele pracować. Przerwalem naukę, aby ciebie zobaczyć; potem niosę do niej powrócić znown. Wkrótce jednak spodziewam się mieć kawałek chleba; a dla ciebie spokojną starość i kątek własny przy mnie.

— Mój drogi, nagle przerwała matka, ty przyszedłeś pieszo widzieć? Musisz być zmęczony bardzo. Spocznij. Nie chcę cię pytać, ani się skarżyć przed tobą; to

na potém. Teraz cieszymy się, żeśmy razem, ach! tylko nas dwoje! poszły do nieba aniolki.

— Nie jestem zmęczony, nie czuję tego przynajmniej. Powiedz mi matko, jakie było życie twoje? Maszże żyć z czego? Maszże kogo, co by się tobą opiekował? nie zbywa ci na czém?

— O! alboż mi tak wiele potrzeba! odpowiedziała. Schronienia, kęsa a łyżkę stawy i kawałek chleba. Gdy mam przy sobie moje dziecko jedyne, ostatnie, czegoż chcieć więcej? Nie mówmy o niczym. Ale ty znów pójdziesz...

— Jeśli pójdę, to żebym powrócił i zabrał cię z sobą matulin droga.

— Doprawdy? doprawdy? a dożyjęz ja tego szczęścia?

— Bóg łaskaw, Bóg dobry.

— O! dobry, odparła matka ocierając oczy. On mi dał dzisiejsze szczęście. Dla czegoż mi jednak choć jednego z moich dziewczątek nie zostawił? Obie poszły, obie! Gdybyś ty wiedział, jak te dwa aniolki mierały! Biedne dziewczęta, to może i lepiej dla nich. Świat tak ciężki ubogim!

Stara Małgorzata, krzątając się około ognia, zaczęła gderać na swą jejmość (tak ją zwała), za ciągle jej płacze.

— Ot, cieszyłabyś się jejmościennin z syna, dodała; a tamte że Bóg wziął, nie potrzeba mu ich żałować.

— Prawda, prawda, odpowiedziała wdowa. Ale mówże mi Janie o sobie... całując go w głowę dodała zwróciwszy się do syna.

Jan opowiadać jej musiał wszystko. Okno tylko i Jagusię przez wrodzoną wstydlivość zataił, złożyw-

szy na dziwactwo Maryetty co było zazdrością i gniewem zawiedzionej kobiety.

Matka nacieszyć się nim nie mogła.

— Patrz bo moja Malgorzato! wolala: jaki on piękny! Widziałś ty kiedy w życiu tak pięknego eblopcę? O! wrócił mój Jan, powrócił!

Tak cały boży dzień, tak zeszła część nocy.

Nazajutrz biedna matka powiodła syna do kościoła Kapucynów, wzięwszy najlepszą suknię i najweselejszą twarz na tę uroczystość serdeczną. W drodze mówili o zamiarach na przyszłość. Jan chciał powracać do Wilna lub udać się do Warszawy, sam już próbować pracy o swych siłach, a gdyby można matkę utrzymać, wziąć ją do siebie, nie rozdzielać się z nią więcej. Ale do Wilna czy do Warszawy zarówno trudno się było dostać bez opicki, bez pieniędzy. Wdowa nie miała czém bardzo dopomódz synowi, bo lepszy nawet sprzęt w czasie choroby dzieci i na ubogi ich pogrzeb, wszystko aż do koni i owiec, wyprzedać musiała. Mogła wprawdzie sprzedać swój grunt w miarę jego wartości dość korzystnie; lecz gdzieżby podziela się naówczas? Jan pocieszał ją, że może zapracuje na tę podróż, a w najgorszym razie, o niewielkim zapasie, pieszo, powoli, dowlecze się gdzie do miasta. Matka łamała głowę, z kąda dostać pieniędzy? a że pobożna więcej miała ufności w pomocy Świętych niż ludzi, poczęła więc zaraz nowe nabożeństwo do Świętego Mikołaja i do ulubionego Świętego Antoniego patrona okolicy.

Jan postanowił szukać roboty. Westchnął myśląc, jak ona ciężką mu będzie! ale konieczność wielka, żelazna siła, każdy upada pod nią: trzeba było w głębi duszy zachować na później myśl i natelnienie artysty.

Krzyżem pobłogosławiła matka, gdy wychodził z domu po robotę, i usiadła na ławie pod okienkiem, goniąc go okiem. Jan poszedł do klasztoru.

Stary znajomy nam z czasów Rugpiutisa gwardyan dawno był zmarł; inne rozpoczęło się panowanie. Przełożony nowy, troskliwy o kościół swój z dawna trochę opuszczony, odnawiał go, oczyszczał i odzłacał; była to właśnie pora dobra do zarobku dla Jana. Dowiedziawszy się o tém, poszedł do celi gwardyana, i sklonił się całując go w rękę.

— Ojcie dobrodzieju, rzekł: jestem malarz; uczyłem się lat kilka w Wilnie u Szyrki i Batrani'ego. Możebyście raczyli mnie użyć do odczyszczania obrazów, złocenia ram i odświeżania malowań na sklepienin. Nie mam grosza, a matkę ubogą, chorą, i przyszłość, której trzeba mężstwem tylko i pracą wystarczyć. Chleba i pomocy potrzebuje.

Przełożony, któremu Jan jak z nieba spadał, począł go wypytywać; a sam niegdyś znawca i człowiek wielkich zdolności, niepospolitej nauki, poznał łatwo, że talent, zapal, szczerość z młodej mówiły piersi.

— Moje dziecię—odpowiedział rozpytawszy się go wprzód—przyjąłbym twoją ofiarę, ale co Kapneyni dać ei mogą? Dawniej jałmużny bogate były jak serca; dziś ubóstwo i nas uciska. Niczem ono dla nas, bośmy na nie przysięgli, bo ono powołaniem naszym, bośmy dobrowolnie je znosząc, powinni mimowolnym ubogim dać przykład, jak się ma znosić niedostatek w pobożności, pokorze, rezygnacyi i weselu ducha. Zapłacić ci jakby było warto za twoją pracę dziśby mi trudno...

— Mój ojcie, rzekł Jan przejęty: zrobiłbym cobyś mi kazał darmo, za chleba kawalek, przez pobożność, ale matka i przyszłość!

— Ileżby ci potrzeba? spytał Kapucyn, zamyślając się.

— Nie mam doświadczenia mój ojcze, rzekł Jan, — nie wiem. Matka nie ma sposobu do życia, mnie trzeba dostać się znowu do Wilna lub do Warszawy, i starać się być już na swoją rękę malarzem, aby jej starość spokojną zapewnić.

Gwardyan pokiwał głową.

— Słuchaj, rzekł: chodź ze mną do kościoła, obejrzymy wprzód robotę, potem znajdziemy może pobożną duszę, co ją zapłacić zechce.

Brat zakrystyan otworzył milezący kościół, i poszedł od ołtarza do ołtarza, Jan wskazywał co zrobić można i potrzeba było, zwłaszcza dla fresków Danekerts'a, które pył i kopeć brzydko okrywał, gdyż nieoczyszczane nigdy, lat przeszło sto przetrwały. Dla tego potrzeba było rusztowania dość kosztownego i czasu długiego.

— Przyjdź moje dziecię w niedzielę wieczorem. Z rana spodziewam się na nabożeństwo i obiad kapucyński kilku osób z sąsiedztwa, pomówię z nimi, może też kto dla chwały bożej koszta podjąć zechce.

Jan odszedł. Wieczorem zaraz z karteczką od gwardyana przywiózł parobek klasztorny zboża i zapasów spiżarnianych dla wdowy. W karteczce pisał pocziwy ksiądz: „Dzielimy się jałmużną, nbogi z nbogim, nie dziękujcie weale.”

Jan tymczasem, pomimo, że chłata biedna, światła i izby nie miała stosownej, usiadł malować obrazek dla gwardyana, przez wdzięczność, a trochę dla pokazania, że coś umie. Czuł, że nieznamy może i ma prawo o jego umiejętności powątpiewać, może się wahać powierzyć mu robotę. Święty Antoni na pustyni, któ-

rego szybko odmalował, ndał mu się bardzo, choć rzucony pośpiesznie na płótno i do niedzieli nkończony, prawie od razu tylko, gdyż trzeba go było jeszcze z pomocą letniego słońca wysuszyć.

Matka stojąc za synem pół dnia, każdy ruch jego ręki śledziła. Sercem matki potrafiła odgadnąć sztukę, aby ocenić i zrozumieć syna. Radowała się pracy i składała ręce z uniesieniem. Wyraz twarzy Świętego, niebieskie światło skronie jego otaczające, Dzieciątko Boże, które piastował na ręk, zachwycaly ją.

— Mój mily Boże, to żyje! to żyje! wołała.

I dumna, szczęśliwa całowała go w głowę.

Nadeszła niedziela. Jan poszedł na nabożeństwo, ale że to była oktawa festu, a osób mnóstwo, nie udał się zaraz do gwardyana, lecz przechadzał po okolicy i czekał wieczoru. Po nieszpórach dopiero zapukał do jego celi, gdzie jeszcze słychać było głosy przy starym miodku siedzących gości. Jan wszedł, gwardyan pośpieszył ku niemu.

— Wszystko idzie dobrze, dzięki Bogu, rzekł zaraz przełożony. Pan lowczy ofiarnje trzysta złotych na poprawę i oczyszczenie sklepień i obrazów. Są one u mnie, uważaj je za swoje. Rusztowania obiccal swoim kosztem wystawić.

Malarz ucałował rękę zakonnika i drżącym rzekł głosem:

— Ojeze, cheiěj przyjąć tę moją robotę, dla ciebiem ją malował.

A gdy gwardyan rozwijał ciekawy, Jan wysunął się i niekl. Wszyscy z krzeseł powstawali, aby ją zobaczyć.

Zgromadzona szlachta hurmem otoczyła księdza i spoglądała cheiwie na obrazek, któremu przypatrując

się zakonnik, zadumał się głęboko, aż łza zwilżyła mu powieki. On jeden z tego tłumu czuł całą wartość pracy młodzieńczej. Inni to dotykali jej palecami, to usiwnie szukali błędów, to chwaili nie wiedząc dla czego i po co, to spoglądali jakby zrozumieć nie mogli, co tam było do widzenia.

— Ten chłopiec zajdzie daleko, jeśli Bóg dopomoże, rzekł nareszcie gwardyan. Człowiek, co jest w stanie taki obrazek stworzyć, ma i talent, ma i naukę. Tak młody! próbka śliczna!

— Prześliczna! chłosem powtórzyli zapijający miodek,—prześliczna!

— A maluje on portrety? spytał ktoś z boku.

— Dla czegożby nie? odrzekł zakonnik: nie jest to rzecz tak trudna schwycić podobieństwo; większa daleko myśl swoją wyrazić. Daje mu robotę, będzie to dobry uczynek. Ma matkę ubogą, chciałby sobie coś zarobić, aby się dostać do Wilna lub do Warszawy, gdzie mu łatwiej będzie na życie i na sławę zapracować.

— Gdyby się nie drożył—rzekł postarzany ex-ekonom z Nowego Dworu—niechby i mnie i jejmość odmalował.

— Drożyć się nie będzie, ale i wam panie strukczaszyeu (dawano mu ten tytuł w niedostatku innego), wstydby było za mało dać, gdy to dla wiecznej pamiętki czynicie, a malarz wyborny, jakiego i po miastach znaleźć trudno.

— Jak ojciec dobrodziej sędzi: cóżby też to konterfekt mój a jejmości kosztował? Dwa spore, kolorami na płótnie, w ramach, z herbanu na górze...

— Juściż nie mniej niż po sto złotych jeden, jeśli duże, i to bez ram, bo ramy nie jego rzecz.

— A! na rany Pańskie! A toćby lepiej przestać siać hreczkę, a malować tylko i malować! To dalipau pięknym weale mógłby być dochód.

— I wielka to praca, rzekł O. gwardyan. Wielec tylko panowie—dodał z lekkim ledwie dostrzeżonym uśmiechem—mogą mieć portrety swoje.

Powiedział to z intencją, znał ludzi.

— Panowie! panowie! Alboż to my nie panowie? Każdy z nas pan! rzekł kręcąc wąsa strukczaszc. Mnie taki stanie na dwa konterfekta, choćby po sto złotych od sztuki.

Inni zbliżyli się opatrywać obrazek Świętego Antoniego, a gwardyan tak zręcznie choć w niewinnym sposób umiał Jana zalecić, że mu znalazł robotę w kilku domach sąsiedztwa.

Nazajutrz rusztowania w kaplicach stawiać zaczęto, a Jan wziął się gorliwie do pracy. Matka przychodziła niekiedy do niego, modliła się godzinami, rozmawiała z nim po cichu, dodawała mu serec i ochoty. Cieszyła się powodzeniem syna, a pocziwemu zakonnikowi co ich poratował, do nóg ze łzami upadła.

Godziny w tej pracy płynęły szybko i miłe dla ucznia, który wpatrując się w roboty dobrych malarzy, doznawał rozkoszy, jakiej kosztują tylko prawdziwi artyści. W długich godzinach samotności, gwardyan czasem, matka codzien prawie, niekiedy niewinnie wesół braciszek klasztorny, przychodzili go rozrywać i nie dawali mu smutno zadumać się na długo. Odezyszczanie, poprawki male i ostrożne części zniszczonych, obmywanie obrazów poszło dość szybko. U Szyrki i Batranięgo nauczył się był z całą potrzebną ostrożnością obchodzić się ze starymi utworami, które czasem bezczelnie partacze psują, nieodżalowane wyrządzając szkody.

Z Batrani'm odezyszczali oni część pięknych fresków n świętego Kazimierza i kaplicę katedralną Danekert-s'a wystawującą cuda patrona Litwy.

W przerwach wielkiej roboty, Jan zaczął portret dla strukczaszyca z Nowego Dworu. Ale tu ciężej mu szło daleko. Ile wymagań, ile dziwnych znieść było potrzeba sądów! Jejmość utrzymywała, że ją odmalował nie dość młodą i nosa jej naddał, że cień pod nim wyglądał jak zatabaczenie nieprzyzwoite, że była plama na jednym policzku niepotrzebna. Jegomość chciał gwałtem jaskrawej sukni i poważnej miny, której weale nie miał. Kazano poprawiać, przerabiać bez końca. Cały dwór i czeladź zwolywano na sądy: parobcy, dziewczki z praczkarni, arendarz, przypuszczeni byli do wyrokowania o podobieństwie i piękności obrazów. Jan srodze cierpiał, ale milezał; jedyny też to sposób w trudnych razach. Przeciż tak mu się udało, że i jejmość z wielkim nosem, i jegomość z poważną miną, byli z siebie dosyć kontenci, chociaż nigdy dosyć jaskrawo odmalować ich nie było można. Gdy przecię dzieci, parobcy, słudzy poznali gospodarzy i panów swoich, opłacono nie bez stćkania koprowiną i zlemi tynkami malarza, odprawiając ze wzgardliwim: *Bóg zapłać.*

Zbierał się powoli zasób na podróż pożądaną; ale matka widziała go zawsze jeszcze niedostatecznym.

Kilka miesięcy zabrały roboty w kościele i w sąsiedztwie; potem ciężko się było rozstać z matką, nie wiedząc kiedy się z nią znów zobaczy. Wahano się też dokąd się udać? Jan chciał do Warszawy, matka do znajomego i bliższego radziła Wilna. Codzieln kominu jesiennego radzono, naradzano się, i nie nie postanowiono, Jan od dnia do dnia odkładał podróż,

tracąc odwagę, gdy pomyślał, iż znowu przyjdzie mu się puścić w świat nieznajomy, tracąc odwagę starą opuścić matkę, bez sposobu do życia, Bóg wie na jak długo!

— O mnie nie masz się co troskać, mówiła mu co dzień pocziwiała matka: mnie tam niewiele potrzeba. Całą przeszłą zimę żyłam z pracy, z przedzenia i robot kobiecych, choć daleko mniej byłam silna i smutniejsza. Stara Malgorzata, wdowa jak ja bez kąta i dachu gdzieby się przytuliła, pozostanie ze mną. We dwie zapracujemy daleko więcej, niżeli zjeść możemy. Byłoby tobie tylko nie zabrakło. A! czemuż nie możemy być razem! Ale może doczekam tego! Teraz tyś mi jeden, i wszystka macierzyńska miłość zlała się na twoją głowę. Sprzedamy później grunt i wyniesiemy się do miasta.

Miało się już ku późnej jesieni, gdy ciągle odkładana podróż, nareszcie na dzień pewny oznaczona została, fundusze na nią zebrane, nabożeństwo odprawione na tę intencję, gwardyan pobłogosławił, matka weześnie oplakala. Jan zbierał teki swoje, pakował flomoczek, wybierał się do Warszawy. Mówiono wówczas wiele o stolicy, w której król sam lubownik sztuki, protektor artystów, nieraz w pracowni Bacciarellego malujący dla zabawki, rozrywał się czując, że stoi nad przepaścią. Malarz nasz często myślał o królu, rachując na szczęście swoje, że go ku niemu zbliży.

Nie wiedział, że ten, którego na szczycie szczęścia widział, cierpiał może więcej od najbiedniejszego ze swoich poddanych. Słaby Stanisław August szukał po niewczasie pociechy we wszystkiem, co go od smutnej odrywało terażniejszości. Otoczony blaskiem, wrzawą, a nie dość jeszcze ślepy, aby nie widział ciemnego

końca téj uczy, na którój pierwszemu zasiadł miejscu, bawił się jak bawią dzieci, którym lekarz zapowiedział zgon rychły. Wszystko im naówczas wolno, bo jutro umrą. Stanisław August nie też nie odmawiał sobie, co go zabawić i rozerwać mogło. Szukał rozrywki w zabawach szumnych, w sztukach, w literaturze, w zbiorach, w drobnostkach codziennych, któremi żył w niedostatku większego życia.

Był to los człowieka, któremu ebleba braknie a konfitur podostatkim: lechcą one podniebienie, ale nie nasycają.

Sir James Harris (lord Malmesbury) *) doskonale maluje stan duszy tego króla w swoim dzienniku:

Raz polowali razem.

— Nigdy nie waszej królewskiej mości nie widział tak wesolym, rzekł Harris.

— A! odparł August—czasem tak miło samemu się oszukiwać!

Drugi raz wziął go król pod rękę poufale:

— Sir Harris, mówił mi, czuję ja dobrze ciernie mojej korony. Rzuciłbym ją do pięćdziesięciu tysięcy dyabłów, gdyby mi nie wstyd opuścić stanowiska. Wierz mi, nie ubiegaj się o wyniesienie! gorycze tylko zbierają się w końcu. Jeśli przyjdzie ci niespodzianie nieproszona wielkość, przyjm ją. Gdybym i ja tak był zrobił, lepiejby mi z tém było! Duma mnie uniosła. Chciałem korony, dopiąłem jej i jestem nieszczęśliwy.

Ten nieszczęśliwy i słaby król bawił się malarstwem, snycerstwem, stawiał we Włoszech posągi sławnym mężom.

*) Diaries and Correspondence. Lond. 1844.

żoni, obchodził uroczyście stuletnią pamiątkę wiedeńskiego zwycięstwa, malował z Baciarelli'm, kochał piękne panie, a płakał łzami rzewnymi w duszy.

Ale wówczas nikt tych łez nie widział, łez słabości, łez dziecinnych, łez bezsilnej niewiasty; widziano tylko powierzchowne wesele i zwodniczą pomyślność. Wychwalano wspaniałość króla, który dawał Karpińskiemu nagi kawał ziemi, puszcza niewytrzebioną okrytą, a Naruszewiczowi bogate biskupstwa, którego dni uprzyjemniali Trębecki, wychowaniec Francyi, i Węgierski, naśladowca Piron'a.

O. gwardyan sam zachęcił Jana, aby szedł do Warszawy, prorokując mu tam świetne dla jego talentu losy, byleby się dał poznać królowi jakimkolwiek sposobem. Z odwagą w sercu, z ową żądzą gorącą zdobycia świata, która tylko do krańca młodości towarzyszy człowiekowi, Jan postanowił spróbować szczęścia. Niebieskie oczy Jagusi nieraz go wabiły ku Wilnu; lecz los matki, nadzieje lepszej przyszłości rozkazywały iść do Warszawy.

Chłodnym porankiem jesieni pożegnali się w progu chaty. Jan napotkał był furmana powracającego do Warszawy, który podjął się zawieźć go za małą ceną.

— Czemużbym cię nie odprowadziła choć trochę? rzekła matka. Dłużej będziemy z sobą. A zobaczymy się kiedy jeszcze? Bóg wie jeden!

Mileząc (bo kto słowa znajdzie w takim razie?) pocieszał ją Jan.

— Zobaczmy się, zobaczmy prędko, matuniu! przemawiał niewyraźnie. Czuję, mam nadzieję...

Idąc ścieżką ku miastu, ciągle tak rozmawiali o przyszłości, i nie odeszła matka, aż zobaczyła Jana

na bryce. Potém stała jeszcze długo, długo, odwracała się często, dopóki pyl wzbity widziała na gościńcu. Zawróciła się nareszcie ku pustemu już domowi, ale dłuższą drogą, bo zaszła jeszcze do kościoła Kapucynów pomodlić się przed obrazem Świętego Antoniego na intenecę syna. Znowu miała chmurne dni pędzić, myśląc tylko nad kądzielą, myśląc nawet przy modlitwie: „Co on tam robi? jak mu się tam wiedzie?” czekając wiadomości od niego. Stara Małgorzata, jedyna powiernica i towarzyszka, słuchała macierzyńskich skarg, domysłów i nadziei, potakując im skinieniem głowy lub zinném:

— Jakoś to będzie... da on sobie radę.

Jan tymczasem zamyślony, znużony pobylem na wsi, który rozjaśniało jedno serce matki i współczucie zakonnika, a ubarwiał tylko praca i myśli, ale nieczyja nie ożywiła serdeczna zachęta—jechał powolnie do pożądanéj stolicy. Kraj w téj podróży coraz się zmieniał, jak tylko może u nas się zmieniać, przedstawiając sobą najrozmaitsze próbki. W ogólności jest to kraj płaszczyzn i zieleni, ale wyjątkowo znajdziesz tu góry, znajdziesz niespodzianie urozmaicone widoki. Najczęstsze są wielkie lasy i niegłębokie w nich krajobrazy zewsząd obstawione gajami; przecięż i długie doliny ginące w mglistém oddaleniu, i nagie równiny dzikie napotkasz nieraz na drodze. Ziemia czarna i żyzna obok złocistych piasków porosłych czarnym jałowcem, wąskie strumienie, i szerokie rzeki, i ogromne zwierciadła jeziora, i zielone nie-

zmierzone lany, i głuche puszcze, i zaludnione gęsto kęsy,—wszystko tu znajdziesz na przemiany.

Ręka tylko ludzka z zabijającą jednostajnością porozstawiała na téj ziemi budowy, wszystkie sobie podobne i należące do pierwiastkowej epoki, więcej zajętej ubezpieczeniem schronienia, niż myślą o formach jego, o wdzięku linii. Pałace tam i owdzie ukazujące się, miały jeszcze wówczas mury feudalnych gniazd sokolich: poosadzone w widłach rzek, wśród trzęsawisk, wieżycami nasróżone, murami i walami opasane, bramami żelaznymi zamknięte. Ale już mosty zwodzone ledwie gdzieś na swych łańcuchach wisiały, już z wielu wieżyc porobiono gołębniki, jaskółki ślały spokojnie gniazdka na blankach, mech porastał gzymsy, podwórzec zajmowały szeregi ścięzione pokrzywy i chwastów. Wierzchołki krągłych rondeli opadały, zamki mieniały się w pałace, gdzie niegdzie ogród włoski z kondygnacyami szumiał na rozkopanych wpół walech; mostki i kapliczki zajmowały miejsca młynów prochowych i starych skarbców, innej epoki świadków. Szlacheckie dworki, jedne z najcharakterystyczniejszych budowli krajowych, wyglądające jak ptaszki z gniazd z krzaków bzu, wiśni i grusz starych, ze swemi serniczkami, ze śpiechrzami malowniczymi o galeriach drewnianych, z gankami na słupach, bramami, których rozpięty strzegł jastrząb u szczytu, nieraz nderzały Jana. Widocznie tu było życie i uczucie silne, cechy właściwości kraju ukazywały się wszędzie, trzeba je tylko było umieć wyczytać. Samo mnóstwo tych dworków mówiło kto tu panem. A jaka różnorodność przy jednostajnej zda się ich wszystkich powierzchowności! Jedne opuszczone i obite z tynków, inne strojne, jakby im się chciało z pałacami mierzyć; w tych

herby na faćjacie, tam gniazda wróble tylko, lub sebnące na tarcieczce sery.

Jan wśród próżniactwa podróży, patrząc na dwory, usiłował zgadywać kto je zamieszkiwał, wnikał w ich życie z kolei spokojne lub wrzawy pełne, i budował z kilku zdziebel całe losy, całe historye pełne obrazów i obrazków. Potém zwracał myśl na siebie, na matkę, i biegł popatrzeć duchem na ubogą chatę, stojącą w Brzozowym Ługu, tak nagą, tak wcześnie pochyłoną, tak biedną!

Jednego dnia nakazał mu się wieczorem wielki pałac Sapichów na górze panującej miastu, gdzie zapewne dawniej musiało być starsze od niego zamczyśko obronne.

Teraz wymowne świadcząc o potędze czasu, wielki gmach bez wałów, mostów zwodzonych i wieżyc, stał sobie spokojnie i patrzył po okolicy. Zdawał się mówić ziemi opasującej go, dołinom i miasteczkom, wsiom i folwarkom: „Jam pan wasz!” Stał jak na straży, podparwszy się w boki długimi galeryami, które trzypiętrowy korpus łączyły z oficynami.

Piękna brama z zegarem wiodła na owalny podwórzec. Pańskie herby świeciły na frontonach, ale w pałacu było pusto. Nie jak dziś, gdy rmina i Żydzi opanowali opuszczone a pamiątek pełne miejsce; lecz pusto na chwilę, bo panowie odjechali. Lasy, miasteczko, zamek i dalsze widoki, wszystko to razem wzięte, a oświecone na chwilę tak, że pałac w świetle był cały, wywiodły Jana z olówkiem w ręku za miasteczko, dla naznaczenia sobie widoku tego w podróżnej księdze, gdzie zwyczajem artystów wziętym od Batranięgo, twarze dziwne lub piękne, drzewa, budowy, widoki zbierał poczynający malarz. Żyd właśnie

się tu był zastanowił dla szabasu, nie brakło więc Janowi wolnej godziny. Wyszedł szukać punktu dla rysowania. Wieczór choć jesienny, był przecie prześliczny.

Pajęczyny srebrzyste jak symboliczne nici łączące z sobą wszystko co żyje, połyskiwały od zachodzącego słońca; lasy fantastycznie ufarbowane jesienią, krwawe, złociste, pomarańczowe, ciemne, białawe, siwe, plotły się w wieniec prześliczny; trawy miały barwę brązowego kobierca, gdzie nigdzie resztą zieleni przetykanego; a pozółkle słomiste nawet ściernie różnych odcieni, zdały się kwadratami misternie wytkanymi na wielkim tym dywanie. Mleczne chmurki polatywały, nabierając barw zachodnich; księżyc czerwony, gniewny, straszny, ogromny, unosił się w sinych parach na wschodzie.

Cisza panowała w pustym miasteczku, które przechodziły stada bydła i owiec, zastanawiając się po kilka razy u wrot gospodarzy. Jan przeszedł ulicę, i piaskiem po za miastem puścił się ku pałacowi.

Zapylony powóz pański, obwiązany tłomokami, powolnie włókl się ku miasteczku, ale w nim nie było nikogo; minął go obojętnie malarz. O kilka kroków dalej zdziwił się, widząc na nic wielkiej wyniosłości siedzącego mężczyznę, młodego, przystojnego i ślicznie ubranego. Zdawał się on czytać czy rysować. Było to wówczas dziwnym zwłaszcza u nas zjawiskiem. A że miejsce właśnie najlepiej przypadło mu do rysowania, postąpił ku niemu powolnie Jan, wpatrując się uważnie w nieznanego. Był to mężczyzna młody jeszcze, miłych rysów twarzy, prawie piękny, z pudrowanym włosiem, różowymi policzki, siwemi oczyma, uśmiechem w twarzy ledwie nic dobrodusznym. Żywo

poruszał ręką i niecierpliwił się, rzucał papier i chwytął, mówił do siebie, śmiał się i kiwał głową.

Ubrany w ciemny frak i takąż wyszywaną blaszkami kamizelkę długą, z mankietkami koronkowemi u ręki, na głowie miał na ucho włożony kapelusz ówczesny, małeńki, bez żadnych ozdób, na nogach pończochy szare z klinami, oraz trzewiki wytworniej roboty z szerokimi srebrnemi kłanrami kameryzowaną robotą. Wielkie guzy sukni także były srebrne, a na koszuli buchstątej błyszczała szpilka złota z topazem. Para rękawiczek, płaszcz uiedbale rzucony, laska i chustka od nosa delikatna, leżała na boku tuż przy nim. Wszystko zapowiadało w nim jakiegoś wielkiego pana, nawet owo brwi marszczenie, owe ruchy dziwne, samowolne, gwałtowne, ów uśmiech pogardliwy i niecierpliwe rzucanie się.

Jan tak się przybliżył, że cien jego padł na papier rysującego, który podniósł oczy siwe, przenikliwe, pełne życia, zatrzymał je na nim i zagryzł usta, zmierzyszy od stop do głowy lice jego i niepoczesne ubranie. Na ukłon Jana odpowiedział lekkim głowy skinieniem, jakby się chciał co najprędzej od natręta uwolnić.

— Waćpan jesteś tutejszy? spytał, zwracając oczy na album.

— Nie! podróżny, i właśnie szedłem także zamek rysować.

— A! doprawdy! szydersko trochę rzekł panicz, i spojrzał na Jana, ruszając nieznacznie ramionami. Waćpan chciałeś rysować. Zająłem mu dobre miejsce, nie prawdaż? Maie się jednak zdaje, że nie zawadzi, jeśli z niższego odemnie stanowiska na zamek spojrzysz.

— Zapewne, rzekł Jan z uśmiechem także: ale

w takim razie linie zbyt uciekać będą, wyda mi się dziwnie i niekorzystnie. Z dołu patrząc, często się nam zdaje, jakby to, co widzimy, waliło się.

Nieznajomy spojrzał Janowi w oczy, gdy ten rzucił zarazem wejrzenie ciekawe na album, na którego zechwale linie, poprawiane, pokrzyżowane, coś tworzyły naksztalt niepojętej pajęczej sieci.

— Waćpan zapewne będziesz szczęśliwszy, bo ja tego widoku nie mogę nawet oznaczyć, a słońce szybko zachodzi.

— Spróbuję, rzekł Jan ufnie w siebie, bo czuł się silniejszym, a nie go mnićj nie kosztowało nad widok natury.

Batrani z perspektywy starego Hlondynsza wynezczył go tajemnie dających klucz do pojęcia wszystkich linii pejzażu i architektury.

Siadłszy niżej, a tak przecie, aby nieznajomy mógł widzieć jego robotę, oznaczywszy w myśli horyzont, rzucił Jan główne linie, oznaczył plany, i z dziwną poprawnością i szybkością wytlómaczył idealnie cały ten wielki widok, któremu kilka cieniów ołówka rozartych tuszownikiem, kilka silnych uderzeń (*touches de sentiment*) dodało życia i kolorytu.

Nieznajomy w miarę jak się posuwała robota, co raz się jój ciekawiej przypatrywał i mruczał pod nosem. Nareszcie zaintrygowany widocznie, wstał, oparł się na łasce, długo chodził za ręką malarza, i odezwał się w końcu:

— Wybornie! Waćpan jesteś artysta, co się zowie artysta!—I zażył tabaki ze złotój tabakiereczki.— Nie mógłbyś mi pan mojego rysunku poprawić? spytał, biorąc swoje album.

— Na cóż mam panu psuć jego myśl? Wolę, jeśli

mn to zrobi przyjemność, ofiarować ten niewiele warty szkic mój. Niech mn to miejsce, pewnie wspomnieniem jakimś uświęcone, przypomni.

Uklonil się, podając swój rysunek. Młody człowiek, jakby się wstydził, że z początku niebardzo grzecznie przyjął podróżnego, podniósł kapelusze protekcyjonalnie, z wyszukaną grzecznością nieskończenie wyższego niż nieskończenie mniejszemu, i przyjmując dar, rzekł:

— Gdybym mógł czem zawdzięczyć...

— Rzecz to małej wartości, ani wdzięczności, ani podziękowania niewarta. Cóżbym lepszego robił? Jestem więźniem tutaj, bo mój furman zatrzymał się na dzień cały; szukałem zajęcia...

— Pan więc jesteś artystą i krajowcem! To dziwna! mierząc go oczyma rzekł młody pan, zabierając płaszcz, chustkę i powoli naciągając rękawiczki.

— Artystą? nie śmiem brać tego nazwiska: nieczę się i chcę nim być kiedyś, będę może. Ubogi, jadę do Warszawy pracować, o niewielkim groszu, bez opieki nieżyj, ale z wielką ochotą.

Pan spojrział z ukosa.

— Możebym mn mógł być nżytecznym? szepnął. Powiedz mi, nim dojdziemy do miasteczka, kto jesteś? co myślisz z sobą? gdzieś się nieżył?

— Mogę tak pana męczyć?

— O! ja *lubie* artystów.

To *lubie* wyrzeczone było jakby: *lubie piski*. Jan pomimo to, cały w płomieniach, począł swoją historię, którą słuchający pan przerywał dziwnemi żarcikami, nie słuchając jej bardzo uważnie. Czasem naiwność wyznań śmiech mn na usta wywoływała. Dopiero o Batram'm i nauce u niego uważniej słuchać począł.

— To dobry weale malarz, rzekł: znam jego obra-
zy; tanio się płacą, ale znawcy je cenią. Masz pan
zapewne tekę swoją z sobą, stydya, myśli? Może mi
ją zechcesz pokazać, stoję w murowanym domu, cały
wieczór sam będę... proszę do mnie.

Jan szczęśliwy z tego wypadku, który mu dawał
nadzieje niespodziewane, wnosząc, że ów pan do wiel-
kiej jakiej rodziny należy, pośpieszył do murowanej
gospody.

Przygotowana już herbata i angielski podwiczno-
rek podróżny z jaj, wędlin i słodczy złożony na
prędee, okrywał stolik, za którym siedział a raczej
wół leżał na sofie, zasłanej dywanem, nasz panicz.

Nie wstawszy nawet i nie podniósłszy się na przy-
jęcie Jana, prosił go jeść; ale temu odpadł apetyt, choć
był głodny. Nadzieja go paliła.

Dobłą godzinę nie nieznaczając tylko odpowiedzi
jąkając, spędził w oczekiwaniu. Nareszcie słudzy za-
brali jedzenie, panicz się wyciągnął na posłaniu i pro-
sił o pokazanie teki.

Roboty Jana daleko większe teraz i pochwały
i zdziwienie w nim wzbudziły niż pierwsza próbka na
gościńcu, która może nieco miłość własną artysty w nim
ubodła.

— Waćpan jesteś na bardzo dobrej drodze! Bę-
dziesz artystą, powiadam ci! Są tu głowy wyborne; lecz
trzeba, żebyś jechał uczyć się dalej niż do Warszawy,
trzeba, żebyś był we Włoszech. Masz waćpan znajo-
mych w stolicy?

— Nikogo.

— Mogę więc zawdzięczyć mu za rysunek listem
do królewskiego malarza pana Marcellego Bacciarellego
lub do Smuglewicza, który ma z Rzymu powrócić.

Jan poskoczył z takim uniesieniem, że rękę jego nealował.

— O! nie dziękujcie waćpan! Jeśli mi się moja pomoc na co przyda, będę szczęśliwy, żem kraj obdarzył znakomitym artystą. Ale waćpan masz jeszcze znaczną przestrzeń drogi do Warszawy, a pieniądze? Szczerze mi powiedz, ile masz pieniędzy?

Jan wybąknął cicho co wziął z sołą, a panicz rozśmiał się na całe gardło.

— Daruj waćpan, rzekł: nie mogłem wytrzymać; lecz czyż to podobna?

— Tak jest.

— Czuję się w obowiązku ciągnąć dalej rozpoczęte przez mego kuzynka kasztelanica dzieło i dopomódz mu trochę. Oto dwadzieścia dukatów, które mi waćpan oddasz, jeśli kiedy będziesz mógł; jutro gotów będzie list dla niego.

Niepodobna odmalować radości Jana, uniesień i podziękowań, które młody dobroczyńca przyjął z obojętną, zimną grzecznością.

— Zresztą — dodał, żegnając go protekeyonalnie — ja sam wkrótce spodziewam się być w Warszawie. Oto zwykły mój adres, rzekł wsuwając bilet. Kto wie, czy ja wprzód czy waćpan staniemy, chociaż ja wracam, a pan jedziesz; bo z małym zapasem zapewne bardzo powoli wlec się musisz. Listy i pieniądze nigdy zbyt uczynnymi dla niego być nie mogą.

Rozstawszy się z nowym opiekunem swoim, Jan napisał zaraz do matki, oddzielił dla niej część pieniędzy, i doniósł o szczęśliwym trafie, nważając go u wrot nowego życia za przepowiednię dalszego powodzenia, za daną przez Opatrzność zachętę do wytrwania.

Jan jeszcze naówczas wierzył w tę Opatrzność tajemniczą, z wysoka ogarniającą jedném spojrzeniem wszystkich ludzi, czytającą w ich myślach, uścielającą im drogi i zsyłającą mannę dla ciała a pociechy nie spodziane dla duszy.

Smutne to były i świetne zarazem czasy, gdy nasz Jan z bijącym sercem wjeżdżał do stolicy tak wówczas zepsutój, tak splamionój wszelkiego rodzaju spodleniem, przedajnością, rozpustą, że nie wiem czy co bardziej nad ten stan chorobliwy głównego grodu mówiło o blizkim upadku całego kraju. Ta obojętność u brzegu przepaści, ten szatański taniec rozpasanych rozkoszników po jednemu padających w otchłanie, pijanych, szalonych, bez jutra, okropnym był widokiem, lecz straconym dla współczesnych. Mało kto widział rzeczy jak były. Kilku ludzi z sercem, głową, zresztą szlachetnego charakteru, ostatnich przedstawicieli kraju, walczyło z tysiącami bez serca, głowy, bez charakteru, bez żadnego pocziwego uczucia. Jak szlachetne i piękne twarze rzadkie są w tym tłumie, tak rzadka też postać, coby lepiej zepsucie, spodlenie malowała, coby równie była typem zgnilizny moralnej, jak pan podskarbi koronny. To także reprezentant całej tej masy ludzi obojętnych, upijających się na stypie, odzierających katafalk, zwlekających z dogorywającego trupa ostatnie szaty, ostatnie klejnoty, targujących się z sukcesorami o bogatą spuściznę. O! szuniała bo naówczas Warszawa stypą okrutną, ale nie było pra-

wie oka, coby smutną stronę tego wesela mogło zobaczyć. Wszystkim tak było miło, dobrze, tak się bawiono doskonale! Wprawdzie wpośród śmiechu ozwał się czasem głos straszny, rozeszła nowina ponura, ale wprędce taniec i skrzypki gluszyły ten odgłos, podobny hukowi poprzedzającemu trzęsienie ziemi. Dla młodego chłopca, co raz pierwszy widział stolicę, widok to był oszalający, straszny: tyle domów, tyle ludzi, zgiełk taki, tłum tak ogromny a tak rozmaity, przepych i nędza, rozpusta i pokuta, starość bez wstydu i dzieciństwo bez sromu, wszystko pomieszane razem, zbite w jedno, ogromna massa stworzeń sklejonych tysiącem interesów, powiązana wzajemnemi potrzeby i namiętnościami. Zimno się robiło Janowi, gdy pomyślał, wjeżdżając na biednej, odartej furmańskiej bryce do stolicy: „Co ja tu pocznę? jak się tu wyróżnić wśród tylu? jak się dać poznać i jak docisnąć?”

Wszędzie zdawało się pełno do zbytku, wszędzie miejsca brakło. Bez opieki, znajomych, młody, ubogi, nieśmiały, myślał co począć, i już żałował, że za radą matki nie udał się do Wilna. Tymczasem mimowoli pożerał oczyma przepyszne kawalkady pańskie, owe cugi nieskończone, owych błyszczących laurów, paziów, dworskie kozacznice, strzelców, hajduków strojnych, wzgardliwych, dumnych, rozpychających tłumy; złoiste powozy i skrzywione w nich twarze, naszywane i kameryzowane suknie panów, i cudne strojnych kobiet oblicza uśmiechające się, wesole, tętnące zalotnością, rozkoszą, zdające się mówić: „Co mi dasz?”

Zaémilo mu się w oczach, zakręciło w głowie. Tam leciał laufer z pochodnią, wyprzedzając pazia na koniu wysłanego do pani Krakowskiej, do pana Zamojskiego, do księdza ex-podkomorzego, do pani Mniszechowej

i t. d.; dalej smała się powóz skromny na pozór, lecz smakowny i prześliczny pani G., ukazującej przez spuszczone okna sławną pierś ową, którą kupiła króla, kibić, której pieśczoły zepsuć nie potrafiły, i dumne faworyty spojrzenie, która wie co może.

Daléj jeszcze jechała w kabryolecie uśmiecnięta Lullie, niecierpliwa, ciekawa i poehlebnica, wścibska a niła jak zepsute dziecko, znająca wszystkich i niemal wszystkim ulubiona.

Tuż zaraz wieziono trupa na mogilki, a kondukt ze śpiewy przesnwał się nimo oświeconego szyneczku, gdzie tańcowaly pijane kobiety z lokajami niemniej zepsutymi od panów. Prózne powozy wlokły się za konduktem; panowie ich nie mieli czasu, grali n W..., gdzie im jechać na mogilki! Pan podskarbi koronny *incognito* śpieszył do pewnego domku na Krzywe Kolo, gdzie miał napatrzonogo ptaszka, usilując się ułatwić między obiadem n kanclerza a konferencyą w zamku, i z zimną twarzą idąc się tarzać w kałuży. Błada jego maska wyzierała z czarnej karetki jaszczurczemi strzelając oczyma, uśmiecchem zinnym jak lód. Stary kanonik Szulc szedł bokiem, pieszo, z parasolem pod pachą, w starych latanych bótach, w wytartéj sutannie; czemuż postrzeglszy go, tak mu się kłania pan podskarbi? O! o! nie darmo, czyha na sukcesyę i testament.

Za nim pędzi, leci, rozbija L..., brat rodzoninteńki pani G... Pilno mu na grę, której winien ostatnie wrażenia człowieka zrujnowanego i bez przyszłości. Codzień spodziewa się milionów, zgrywa do koszuli, a król jegomość targuje się z szulerami o długie rozpustnika! Ostatki zostawił n W..., spinki nawet, pierścienie, konie, a co gorsza, dwa tysiące czerw-

nych złotych na słowo: nazajutrz smutna pani G.... aż póki nie wyprosi u króla, żeby przegraną zapłacił. Oj! bywało i gorzej.

Za nim tysiące postaci, coraz dziwaczniejszych, coraz poczwarniej w okn Jana malujących się; za nimi w ostatku — powolnie idący bokiem jakiś poważny mężczyzna, pięknej postawy, godności pełnego oblicza. Łzą mu niebieskie zachodzi oko, wąs smutno opadł na wargi, ręce się skrzyżowały na piersiach, patrzy i płacze w duszy. To Rejtan, co wkrótce oszaleje z rozpacz, próżno podnosząc głos Kassandry, do umyślnie głuchych niedochodzący uszu... Dalej młody, wrzający wzgardą chłopiec z orlém spojrzaniem... Bohaterowie nieznani w tłumie jeszcze!

Zapalono nieliczne latarnie, Żydzi snuli się ze światłem, wszyscy zdawali się śpieszyć, pędzić, nganiać, szturchać, wyprzedzać; wszystkim rzekłbyś pilno, nie wiem dokąd i po co. Na zamku, który się przemknął przed oczyma Jana, błyszczalo we wszystkich oknach; miasto całe jak tysiące oczu tysiące szyb otwarło jasnych i patrzalo niemi w ciemność. A wrzawa! któż ją opiszę tę wrzawę stolicy pod wieczór, gdy wszystkie namiętności wychodzą ze skornupy i lecą się napasć?

Żyd poganiał do zuanej gospody, kędyś w pośrodku miasta, do zażyłego czy do krewniaka. Nawykły do fałszu, chciwy na zysk, wielitościwy dla reszty ludzi a zasklepiiony w sobie — częściej jednak niżby myśleć można, Żyd uczuje coś przecię i ncznie zapłaci z sereca. Ów pogardzony Izraelita ma człowieczą fibrę w skostniałym sercu, co zadrga poruszona, zadzwiczy, aż zimny rozum nakaze jój milczenie.

W ciągu dość długiej podróży Jan potrafił łagodnością swoją, cierpliwém wysłuchaniem powieści i przy-

gód, pozyskać nie powiem przyjaźni, ale życzliwość furmana. Stary siwobrody Dawid, choć zdzierał go jak mógł, czasem znówu za to od cudzego zdzierstwa obronił, gadał z nim poufale, a gdy już wjeżdżali do wrzawliwej stolicy, wiedząc o wszystkich projektach Jana, obiecał mu wyszukać tymczasem stancijkę tanią, obiecał nawet (gdyby tego koniecznie potrzebowal) jaki grosz pożyczyć.

— Ja często bywam w Warszawie, mam tu teścia i siostrę, to jak dom dla mnie, choć sam jestem z Piaszków pod Lublinem, mówił. Gdybyś ać mnie potrzebował, nu, nie mówię, mógłbym mu co zrobić.— I pocierał brodę. — Waś dobry człowiek, a dobry człowiek to i Żydowi brat, tylko galgany goje.

Postawiwszy konie w stajni (bo też konie szły przed Janem i im się pierwsze należało staranie), Dawid pomógł wziąć zawiniątko Janowi i poszedł z nim do gospodarza.

— Milcz ać, rzekł, ja sam stancję wam zgodzę, oniby ciebie zdarli; wać mizernie ubrany, niewiele zechcą, a jak ja godzić będę, to odtarguję dla was trochę. Nu! nu! spuść się ać na mnie, choć ja Żyd, nie będziesz żalował.

Jan zgodził się na te pomocnicze usługi Dawida, a ten w zajezduym domu najął mu stancję za dwa złote na tydzień, prawda na strychu, zimną, czarną, biedną, ale mógłże wybierać?

Żydóweczka strojna, zalotna, kręcąca główką małeńką na tłustym karczku białym, zwieszoną od niechęcenia, przyniosła świecę i ofiarowała rybę, kawę, mięso, coby chciał. Zgłodniały Jan przyjął wszystko, pilno mu było najeść się i ruszyć w miasto, gdzieby niechybnie był zbłądził i dostał się może w ręce oszustów,

gdyby Dawid nie przyszedł i nie powiedział mu opiekuńczym tonem:

— Połóż się ać spać i odpocznij sobie, po nocy nie chodź, ludzi się strzeż. Poznają cię, żeś frye, i ogolą łatwo, a nie, to obedrą gdzie w kącie. Drzwi zamykaj, pieniądze noś przy sobie, albo tak schowaj, żeby ich broń Boże! złodziej nie domyślił się gdzie szukać. Często grosz bezpieczniejszy w szkatulce, nu! nu! wać jeszcze nie żył, a mnie trzy razy do koszułi okradli. Wierz wać mnie.

Jan o mało go nie uściskał, a co lepsza, posłuchał, położył się głową na tłomoczku i tece, zaparł drzwi i niedługo czekając zasnął.

Gdy się przebudził, dzień był wielki, ale mało go przez brudne szyby wpadało do izdebki, która teraz dopiero wydała mu się w całej swój brudocie i obrzydliwości. Noc wszystko upiększa i idealizuje, przez nią plam, skaz i brudów nie widać. Szare tynkowane ściany, piec spękany, dwie jakieś ohydne ryciny podpisane przez jednego z tych sztycharzy, co mają sławę bazgraczy na całym świecie; stół kulawy przyparty do ściany, okapany piwem, łojem, pyłem i nie wiem już jakimi ostatkami jadła, okruskami brudów; tapczan a na nim siennik poplamiony; podłoga chwiejąca się i powypalana, a od dziesięciu pewnie lat niemyta; stołek wypoliturowany rękami i czémś jeszcze czego powiedzieć nie umiem: oto była izba i sprzęt jój cały. Powietrze dusiło.

Jan chciał otworzyć okno, ale to było zabite; jedna tylko szyba na jednej zawiasie raczyła się odemknąć i wpuścić zgnily, smrodliwy wyziew jakiegoś śmietniska na zaulku.

— Za dwa złote na tydzień, to wyborne, rzekł Jan:

ale wołałbym dworek matki. Tam jest czém odetchnąć; tu mi przez tysiące ludzi wydychane powietrze, zepsute, skalane do piersi zalatuje. A! cierpliwości!

Począł myśleć o skromnym, ale przyzwoitym ubiorze; gdy weszła posługująca czarnobrewa Żydóweczka, z figlarnym uśmieszkiem, do zepsutych owych czasów i domu, w którym żyła, zastosowanym.

— Dzień dobry panu! Pan spał tak długo! dwa razy pukalam do drzwi. Jegoność potrzebuje czego? Jest kawa, jest śniadanie; a może czego do miasta?

— Chciałbym sobie, moja panno, kupić jakie ludzkie odzienie, albo kazać zrobić; bo mi się w mojem trudno na miasto pokazać.

— Odzienie! a waj! To niechże pan mówi! Zrobić! po co robić? to tylko wielkie panowie każą sobie robić odzienie; pan kupisz nowe, nowiusieńkie, śliczności u mego stryja. Mój stryj ma handel win, kupuje starzyzny...

— Ale ja nie chcę starzyzny.

— Ja się omyliła „starzyzna!” a waj! to lepsze od nowego! wypróbowane! Mój stryj kupuje w wielkich domach, u senatorów. A jak pan chce się ubrać? po francuzku? Teraz wszyscy porzucili niezgrabnego kontusza...

— Ubiorę się jak zechcę...

— Zapewne, tak najlepiej. To będzie zaraz. Mój stryj tanio przeda, a jest w czém wybierać. Proszę pana ze mną.

Jan zamknąwszy na klucz izdebkę, z pieniędzmi w kieszeni wedle przepisu Dawida, zszedł za Sorką ze wschodów, które mu dziś wydały się okropne, tak były polamane, wybite, brudne. W miarę jednak jak schodziły, rozszerzały się i śmiecie się zmniejszało.

Zeszli aż na dół. Po kilku słowach i chwilec poczekania wyszedł średnich lat Żyd w koszuli tylko i spodniach po kolana, w trzewikach, z piórem za uchem i tabakierką w rękę; otworzył ciemny skład i wprowadził Jana do izby sklepionéj, gdzie nie tylko widać, ale czuć było mnóstwo złożonych sukic. Były tam nowe i stare, kosztowne i liche, pasy i lachmany.

— Co jegomość chce? spytał mierząc chłopca oczyma.

— Cały ubiór czarny.

— Doktor? spytał Żyd znowu.

— Nie.

— Nu a cóż? ksiądz?

— Nie... malarz.

Żyd skrzywił się pogardliwie i zaczął szukać; Jan także. Widział on kilka osób na ulicach po drodze, i zrobił sobie wcześniej wyobrażenie o przyszłym stroju; zresztą jako malarz miał trochę smaku: wybrał więc w prawie nowych sukniach cały strój czarny aż do pończoch jedwabnych mało co noszonych, trzewiki nawet z czarno szmelcowanemi stalowemi klanurami znalazły się na podoręczu, kapelusz, wszystko.

Ale gdy przyszło do targu, Żyd ogromne kładł ceny i nie ustępować nie chciał.

— Waćpan zapłacisz drugie tyle na mieście.

Widocznie chciało ulowić i oszukać fryca. Jan pomyślał i rzekł:

— Słuchaj, mości kupcze: jestem ubogi, nie mam grosza do wyrzucenia; zgodzim się o cenę, połowę zapłacę, a drugą połowę gdy znajdę kogo, co lepiej znając się odemnie, poświadczy, że to istotnie tyle ile chcesz warto.

Po długich sporach, wśród których Żyd trzy razy

zamykał i odmykał izbę, chodził i wracał, sprzedawał nareszcie żądane suknie. Jan obejrzał po dniu swoje odzienie, które mu się wydało świeże i do miary, i pobiegł z niem na górę. Wprędce ubrany, gotów do wyjścia, pomyślał: co zrobić z sobą? gdzie się udać?

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani jak nawet trafić. Zszedł na dół zamyślony błdzić po mieście. Jest to jedna z wielkich przyjemności nowo-przybyłego, gdy jeszcze w ogromnej stolicy błdzi jak w pustyni, wśród ludzi a nieznanemu nikomu; wszystko mu nowe, zajmujące a obce: oczy pasie a czuje, że nie w sercu go nie dotyka. Jest to rodzaj moralnej kąpieli, przyjemnej dla bardzo wielu. Artysta sto razy stawał przed gmachami, sklepami, ludźmi, z tą nowego człowieka ciekawością, ciekawością młodości i niedoświadczenia, którą wszystko zajmując, zadziwia, zachwyca, unosi.

Tysiące rzeczy nowych zupełnie, a przez to samo kolosalnych, nowe barwy, linie ledwie marzone, twarze tak pełne rozmaitości, którą namiętne życie miasta nadaje, rozwijając wszelką skłonność, jątrząc ją łatwością zaspokojenia, — wszystko zastanawiało wędrowca. Jan szedł, topił się w tłumie i błdził w nim długo. Teraz nawet, w blaskach wielkiego jasnego dnia, wydało mu się miasto wielkiem, pięknem, lecz wielość ludzi, ścisisk ich, zgłęb, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie:

— Jak dać tu rady? wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potem przychodziły mu na myśl wyrazy Batrani'ego, nieraz słyszane: „Miasto wielkie tysiące dla malarza mastręcza pomocy: wzory żywe, rzeźby, obrazy

w wielkiej ilości; współubieganie się z innymi podsyca i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. Ale pamiętaj naprzód — mówił stary Włoch — wyrzec się świata i pokus jego; stłum w sobie żądze, poświęć się cały sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie.”

Ta rada była mu przytomna, ale nie wiedział czy potrafi jej sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze mszę zastał, długo wymęczywszy się niepokojnym oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarellego. Powiedziano mu, że stoi w zauku, bo król musi go mieć pod ręką, i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartmentami królewskimi. Często do niej schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny, słysząc to:— król sam, król zajmuje się malarstwem, los malarza może pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącej ku niemu z tyłu się powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórzu ogromnym w taki wpadł zgłok ludzi, z których żaden mu odpowiedzieć nie chciał, bo wszyscy czémś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne zleżące ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić. Chodził od jednego do drugiego; kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, w końcu całkiem głowę stracił i nie wiedział co począć. Nie pojmował, że trzeba było talarkiem sobie drogę torować, i nie śmiałby był nikomu z tych wygalowanych panów proponować datku. Smutny, z niezem powrócił wieczorem do stancyi, a resztę dnia spędził na duma-

niu. Stary Dawid i młoda Żydóweczka, która mu jeść przynosiła, pocieszali go zapewnieniem, że nazajutrz, byleby chciał zaofiarować talarka, utworuje sobie drogę choćby do samego króla, byle nie oszczędzał datku.

— Albo wie pan co? dodała Sore: ja panu dam Żydka ubranego po francuzku, który czasem wielkim panom służy (zarumieniła się trochę, bo Dawid spojrzął jęj w oczy), za talarka on się wypyta, dowie i pokaże panu gdzie masz iść.

Nazajutrz o południu Jan pośpieszył ze swoim przewoźnikiem i potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpół otwarte ujrzał ztąd ogromne pracownię, szeregiem idące za sobą, i wiele a wiele pokoiów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wniść mu dalej nie dozwolono. Z dumną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty, poczynając rozpytywać po francuzku. Jan nie miał po francuzku, zamknęto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący, dopytując się czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarellim.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jak to od kogo? Od siebie. Mam prócz tego list do p. Bacciarellego.

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— Pan Baciarelli widzieć się daje tylko na chwilę, i to jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południa.

To rzekłszy, zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było; malował panią G.... Czekał do saméj piątéj, aż nareszcie schwył wracającego do domu z sessyi malarskiéj, znużonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go, zacierając ręce i ukośném mierzając wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby, którą był okryty.

Jan sklonił się i podał list w milezeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zuniżył oczyma nowoprzybyłego, pokiwał głową, i począł z razu mówić coś złą francuzechyzną. Jan odpowiedział mu po polsku. Ruszył ramionami, i zawołał złą polszechyzną:

— No, czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcyj, rzekł: mam uczniów, ale im płacę, nie oni mnie. Wojewodzie S... chce, bym wam pomógł, i nagli mnie o to. Chodź waćpan.

I wprowadził go do wielkiéj malarni, pracowni na ogromną skalę, którój ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większój części portrety różne w całéj postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co rok przez ciąg panowania malowano i sztychowano, były tu w największój liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach: najwięcéj wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze, z piórem za uchem, u stołu, na którym stał kalamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie, pulchniutkie, białe, obie były na widoku; wyraz znużenia i przymuszonéj wesołości może mimowolnie przebijał się z fizyognomii królewskiéj. Kilka innych obrazów wystawiało prawie

nagie kobiety, jakieś Wenery Kallipygi, malowane z zalotnie, z uśmiechającemi się pyszczkami i mdlejącemi oczyma. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety najjaśniejszego pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończyło koronki i t. p.

Jan obejrzał się do kola, ale prócz kilku nóg i rąk nie zobaczywszy żadnego gipsu, żadnych posągów, zdziwił się bardzo. Mannekin w generałskim mundurze siedział, zadarłszy nogi na krzesło.

— Gdzie pan byłeś? spytał Bacciarelli, spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani?? A! a! Włoch, Florentczyk, *povero!* — Skrzywił się. — Co umiesz? robisz z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla wojewodzica, rzekł Bacciarelli: *c'est un charmant garçon...* ale tyln już mam w mojej malarni... Weź waćpan kredę — dodał od niechcienia — i odrysuj mi co chcesz na tém płótnie.

To powiedziawszy, stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan pomimo przełknięcia, rzucił kilku śmiałemi rysami głowę starca (w rodzaju Świętego Hieronima), oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nieźle, rzekł zakąsując usta Bacciarelli. Lecz możesz malować? długo malowałeś?

— Rok.

— A! tylko rok!

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, znów pogardliwą zrobił minę. Jan

zawstydzil się i smutnie rzekł w duszy: „Na nie mu się nie przydam!”

— Jeśli pan pozwoliś — dodał — ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć katek jaki i kawałek chleba...

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoi w mieście. Dam waćpanu na to pieniądze, ale... — derzucil niebale — mało nam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz. Umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającej, kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i postawalo dokola, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak, aby mu przyniesiono paletę i pendzle. W chwili spełniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna, czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrośny, wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza, psuł umyślnie, aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca już rzucona na płótno, w chwilę poczęła się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jój, koloryt, pólceienie, w których cała zatopiona była, prócz części czola i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrisy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nie jój zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli bladł, to czerwieniał.

— *Che diavolo!* przecedził przez zęby: weale nie-źle, weale nieźle! Biorę waćpana na takich warunkach jak innych. Będiesz pracował pod moją dyrekeyą, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? spytał Jan nieśmiało.

— Tak, rzekł malarz. Co zrobisz, będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmiej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dni krótkie. O reszcie kolledzy go nauczają.

To rzekłszy, obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia:

— Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną niełitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego: młodzieżą wesolą, żartobliwą, któraby była niechybnie rzuciła się na niego jak na pastwę, gdyby jej nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorsza wzruszonymi się czuli.

— Jak się nazywasz kollego? i zkąd przybywasz? rzekł jeden.

Jan dopiero po tém pytaniu rzucił okiem na towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zielonemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawie. Ten, który pytanie rzucił, słuszny, czarnooki, piękny i całkiem już mężczyzna, bladłej twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy, postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy duńskiej, ale czystej. Drugi za nim stojący, mały blondynek, z zadartym nosem, niebieskimi a zbladłemi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wpartą.

Trzeci mały także i trochę ulomny, seryo poważny, włos miał ciemny rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, bóleści, strapić; stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafaela, w berecie aksamitnym na nechu, z włossem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko włożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecinno-niewieściego. Był to faworyt Bacciarellego; a różnie sobie ludzie to upodobanie w nim mistrza tłómaczyli. Ostatni, najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, popolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zająęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pendzlem po palecie, którą trzymał w ręku. Myśl jego widocznie była gdzie indziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od wojewodzica S... Chcę się uczyć. Jestem ubogi, a kocham sztukę. Was panowie i przyszli towarzysze proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć.

Tę kilka słów prostych, przerywanych, bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny, i faworyt Bacciarellego w aksamitnym berecie poszli zaraz do sąsiedniej sali, śpiąc zapewne do roboty. Jan pozostał ze trzema, owym figlarnym śnieszkiem, pierwszym co go był zapytał, i smutnej twarzy ulonnym.

— Daj ci Boże szczęście mój Żmujdzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś,—ale czy wiesz co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogań-

ską, i że czei żaby i węże, musimy cię więc najprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ulomny: daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, śpiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już nie ma za co nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan; ale bądźcież ci smakował, kollego, grosz ubiegiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam! zawołał wesół chłopiec. Darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byleś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogosta, a chrzest się nie powtarza. *Diri.*

To mówiąc, porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy co Jana zapytał, i ulomny, zbliżyli się do niego z zajęciem, ścisnęli go za dłoń i prawie razem szepnęli: „Poczekaj, pójdziemy razem.”

Nieopatrzenie sympatyczna jest młodość; nie ma ona tajemnic, którychby się wahała powierzyć: ściśnięcie dłoni, uśmiech przyjazny, słówko serdeczne, całą ją zabiera i płaci. W chwili potem Jan schodził ze wschodów powoli, słysząc goniących już za sobą dwóch towarzyszków, co mu szeptały u wyjścia, aby się nieco zatrzymał.

W podwórzu dogonili go i szli razem.

— Słuchaj, rzekł młody ulomny, którego zwano Feliksem: jaki zły duch zagnał cię do pracowni Bacciariego?

— Zły duch? spytał Jan: ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przezwany Longinem, i wabiący się na to narzucone nazwisko, dorzucił:

— Oj śliczne szczęście! sprzedać się z duszą i ciałem człowiekowi, co ci każe pracować jak maszynie, pracować dla niego ze swęj myśli, niewolniczo, bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Feliks zwany Chmurą: opowiesz nam, jaka cię tu burza zagłać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie: młodość swą, naukę u Batrani'ego, pobyt u matki podróz, spotkanie z wojewodzieem.

— Wojewodzie S..., rzekł Chmura, pomścił się na tobie za upokorzenie, którego doznał: zarekomendował cię Bacciarellemu na twoją zgubę.

— Nicze się tu nie nauczysz? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego co umiesz, rzekł żywo Longin. Bacciarelli bladł i czerwieniał, patrząc na twoją robotę. Rad cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznęj ręki. Może napatrzywszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linij i cieniów, nabędziesz miętkości i mglistości, zlania tonów endownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłómaczy żadnęj czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Za to używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że ztąd po niej jakim czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja każdego z nas! Żaden przecię tego nie dopiał, prócz Smuglewicza, o którego już Bacciarelli jest zazdrosny. On niewiele dba o rysunek, chociaż ma go jeśli się o to stara, niewiele stoi o wy-

raz, trochę więcej o mily, harmonijny koloryt, a na-
dewszystko o podobanie się królowi, i tym, przed któ-
rymi dworuje. Najwięcej robi portretów i nagich bo-
giń. Jeśli kogo wyszle do Włoch, to chyba w przekon-
naniu o niewielkiej jego zdatości i zmuszony. Ciebie
zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan; ale ja czuję jak ma-
ło umiem.

— Pólen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz,
dodał Chmura.

— Bierzcie mnie jak widzicie. Wolę być oszuka-
nym niżeli oszukiwać. Radźcie mi, co mam począć?

— Stało się, wpadłeś w kleszcze Bacciarellego i nie
łatwo z nich wynijdziesz. Wprawdzie nie miałeś może
nie do wyboru, chybabyś...

— Chyba co?

— Chyba cię król postrzeże i wyróżni. W takim
razie Bacciarelli, pod jakimkolwiek pretekstem, usunie
cię z przed jego oczu. Wolno ci naówczas będzie
osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem
swobodnie.

Tak rozmawiając, chodzili długo, a dwa poczciwe
serca wylały swój smutek w duszę Jana, który po-
strzegł, że wielkie szczęście jakiego dostąpił, na oko
tylko było wielkiem szczęściem, a w istocie wielkiem
na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bo-
wiem prawie nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele
zapomnieć.

Gdy się trzej towarzysze rozstawać mieli, Chmura
niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu,
którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu
i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować, żeś nie-

zepsuty i pocziwy, rzekł powolnie: przyjmijże niektóre rady mogące ci bardzo w nowém życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywczo, a gdy komu niemila, zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie narobilbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi, co ma minkę Rafaela, chodzi w berecie jak on, jak on się uśmicha, a serce ma Guida! Strzeż się milczącego słupa, który jest także zansznikiem Bacciarellego. Wesoly chłopiec, co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i pocziwy Longin, wzdychamy tu jak Izraelici na pustyni. Tamtych chce się pieniędzy, chce się świata, i gotowi spodlić się, aby je mieć: my myślimy, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nicoszacowany stary Batrani. Bądź zdrow! Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura: przenoś się zaraz do mnie. Mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku, bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacimy mieszkanie i zaraz gospodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie okaziesz się tak dobrym chłopcem, jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął, i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Feliksa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydało po smrodliwej izdebce w żydowskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać portrety, które on sobie właściwym kolorytem nabranym u Batrani'ego, szerokim pendzlem, szybko i grubo odszkiewował. Nie podobala się ta ma-

nicra mistrzowi, i pierwszy ulubienice Włocha począł ją wyśmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastosować się do manieri miejscowej i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nienauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najłżejsze odstępianie od swego *sposobu* karecił jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość, swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznymi środkami i w różny coraz sposób być wyrażana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włocha, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie: mamy całą niedzielę a czasem i święta; możemy mieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chcesz-li być artystą, unikaj miasta.. To Sodom i Gomora!

W istocie, Warszawa wówczas zasługiwała na to nazwanie, tak była zepsuta, tak przegniła od górnych warstw towarzystwa do najniższych prawie.

Jan ocierał się między ludźmi i poglądał z blizka na jedną z najciekawszych epok krajowej historii, na tę stypę pijanych grabarzy, która się zowie świetnym panowaniem Stanisława Augusta. Codziennie w zamku bywając, pomimowolnie wnikał w to życie dziwne zmianami opinij, fizyognomij, charakterów, gdzie nieledwie wszystko obracało się na najnieszlachetniejszej osi osobistego interesu.

Feliks, towarzysz codzienny jego, jak Kassandra wzdychał, przepowiadając smutne przebudzenie po szale. Dla niego kłamane wesele nie miało tajemnic.

Przybycie do Warszawy na sejm książęcy kurlandzkiej, ze świetnym dworem i przepychem królewskim prawic, nowe jeszcze wlało życie w ten ruch już i tak do szachu podobny. Bale gonily za balami; król jegomość przelatywał jak motyl od piękności do piękności; przysiadł się był nawet razem z księciem Sapiebą do książęcy Bironowój, ale go zazdrosna odwołala G..... i posłuchał.

Jan wpatrzył się przez czas pobytu swego w Warszawie w ten obraz, który podobno nie znajdzie malarza, coby go wystawił w całej fantastycznój okazałości jego i szkaradzie. Jego wspomnienia, ze smutkiem, jako obce przedmiotowi powieści, całkiem tu wyrzucać musimy.

.
 Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swój myśli kierował, Jan poczał nareszcie rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch, nawet wyróżnienia się od drugich i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnionój, i dziwnie spełnił życzenia, gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimier młodości.

W chwilach wolnych malowali oni obaj z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwnie umowie z Bacciarelli'm, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzędanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla, a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem, Jan dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tój stani-

ślawowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi, gdzie damy zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie, lub brechłance łamali nadkruszone.

Przypatrzył się Jan walkom liliputów, i świetnym zwycięstwom, będącym najsroższą krytyką panowania tego, i całej przepysznój uroczystości, takimi naówczas okrytj oklaskami, i cudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz, gdy z dowcipnym dwuwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel, jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył;—

gdy król uśmiechał się przyniesionemu konceptowi, mówiąc na niego:—„A to wcale dowcipnie!“ (ale z gorzkiem ust skrzywieniem);—Jan rysował z pamięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyaacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez gębę, że od niego na całe mu życie szram pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu, naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go wprowadznie wykonał i massy tylko pooznaczał, ale w obraniu punktu widzenia, gruppach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy cięli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król tego dnia opatrujący malarnię Bacciarellego, dla zdecydowania o portrecie

pani N...., która odmalowana została leżąca w łóżku i bawiąca się z pieskiem, prawie naga, z nśmieszkami figlarnym, z ręką na głowę zarzuconą, w pozie dziwnie bezwstydną, na wzór Tycyanowskiej Wenera w Trybunie,—chodząc od trójnoga do trójnoga, a przebiegając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał:

— To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel, rzekł Stanisław August,—i wybornie schwycony. Co za rysy pewne! jaka śmiałość ręki! jakie grupowanie! Któż to rysował?

Jan pobladł, milczał, nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w aksamitnym berecie.

— Wieszuję ci mój chłopcze! odezwał się król, wpajając się coraz uważniej w rysunek; prawdziwie wybornie. Chciałbym, żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Ładny chłopiec, nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzeli nawet nie był,—gdy Bacciarelli zagadał najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzeli, wedle którego kazano mu widok gonitw malować.

— Maluj, rzekł Jan, jeśli chcesz i jeśli ci kazano;

ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja swego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego, kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast. Bacciarelli przyjął go błady i gniewny, mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzeli, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko, co pan robisz, jest moje, za to mu płacę, rzekł w gniewie Włoch, miotając oczyma. Taka była umowa nasza. Podobą mi się kazać Rudolfowi malować, i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jest to pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem, wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemuby na coś posłużyło, jemu sławę nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, którą nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, zawołał Bacciarelli, ściskając ramionami i ostrym wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej?

— Ja! z rozkoszą woli naj. pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Woła jest jego, aby Rudolf malował.

— Nicchże maluje, odrzekł znużony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą, aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał? dodał tryumfujący Bacciarelli.

— Nie.

— Stanowczo?

— Stanowczo, nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan sklonił się i wyszedł.

Ta scena, która w gniew niepojęty wprawila Bacciarellego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku, od uczniów z malarni do paziów j. k. mości i dalej.

Niebardzo lubiony Bacciarelli, powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich.

Turkull, ów sławny paż królewski, figlarz i dowcipniś, którego żarciki lubił Stanisław August, a śmiałość tolerował, bo ta go bawiła—Turkull był narzędziem szczęścia dla Jana.

Turkull wysłany został z prześlicznymi wiśniami, nowalią osobliwszą od króla j. m. do pani Zamojskiej. W drodze, zepsute dziecko, trzpiot i lakomic, tak się wpatrzył w wiśnie, że mu się ich poczęło zachciewać niezmiernie. Ulegając nieszczęsnej pokusie, zjadł śliczne wiśnie posłane, po jednej aż do dna; a na miejsce ich kupił w straganie kwaśnych i małych, odnosząc je od króla pani Zamojskiej. Nazajutrz, gdy Stanisław August odwiedza siostrzenicę, skarży mu się pani Zamojska:

— Cóż to za żart zrobiłeś w. k. mość ze mnie? Przysłałeś mi jakieś wisienki, których w usta wziąć nie mogłam.

— Jak to? *ma toute belle!* prześliczne, łotowe i najpierwsze wiśnie!

— Szkaradne, drobne, kwaśne!

— Kto je przyniósł?

— O! nie wiem doprawdy.

— Czy nie Turkull?

— Bardzo być może, dorzucił przytomny Bacciarelli, który malował portret pani Zamojskiej dla króla. Wczoraj go widziałem na koniu stojącego przed straganem nieopodal ztąd i kupującego wiśnie.

— A lotr! śmiejąc się zawołał król: *il n'est pas degouté!*

Z powrotem do zamku przywołują paza.

— Coś zrobił z wiśniami pani Zamojskiej? spytał król, kręcąc go za ucho.

— Najjaśniejszy panie! a cożem miał zrobić? dopełniłem ich przeznaczenia.

— Tak! ale nie oddałeś ich pani Zamojskiej. Na miejsce ich kwaśne jakieś, brzydkie, maleńkie!

— Prędko jechałem, utrząśły się może, zbily i skwaśniały.

— Bacciarelli powiada, że cię widział kupującego jakieś wiśnie w straganie?

— Mnie?

— Waści.

— No! to wolę wyznać w. kr. mości, że mnie skuśły jak jabłko Adama. Owoce dla mężczyzn są tak niebezpieczne! Daruj królu! Wiśniom i kobietom oprzeć się niepodobna! dodał z głębokim westchnieniem i udanym strapieniem. P. Bacciarelli! (zapłaci mi! szepnął do siebie), on zawsze widzi co chce, a czego nie chce nie widzi.

— No? czegoż tam się nie dopatrzył, panie Turkul?

— O! wielu rzeczy najj. panie! Naprzykład zobaczył, że pan Rudolf rysował karuzel, a nie widział, że rysunek, który w. kr. mość pochwalił, był weale innej ręki.

— Innej ręki? czyjże naprzykład?

— Biedaka Litwina jakiegoś, który z tego powodu wyszedł od Bacciarellego i stracił miejsce, nie chcąc dać malować ze swego konceptu.

— Pleciesz waćpan! rzekł król obojętnie.

Tegoż dnia było posiedzenie w malarni dla portretu nowego j. kr. mości corocznie się malującego. Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte; zbliżył się do Rudolfa i zapytał wpatrując się w niego:

— A co? mój karuzel?

— Najjaśniejszy panie, podchwycił Włoch szybko— jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? dodał z intencją król, mierząc go oczyma.

Ten postrzegł a raczej przeczuł z wyrazu twarzy królewskiej, że się coś święci niedobrego, i chciał wyprzeć się nieswojej roboty, ale Włoch przerwał nie dając mówić:

— Zdaje mi się, rzekł żywo, że się omylił, mówiąc w. kr. mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepij wykonać nie potrafi. *Il a une touche très spirituelle*; pod mojem okiem byłby się dobrze z włożonego na niego polecenia wywiązał.

— Któż przecię rysował? spytał król obojętnie.

— Nie ma go tu, odrzekł Bacciarelli; nie wiem czemu od kilkunastu dni nie przychodzi, musi być chory.

— Niech maluje karuzel ten, co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, proszę cię mości Bacciarelli.

To rzekłszy, król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana, ale Jan z razu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi, i przyszedł

nareszeie. Bacciarelli przyjął go zimno, udał jakby nie wiedział dla czego tyle dni nie pokazywał się w pracowni, i nakazał brać się do karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobienstwem prawie było wybrnąć zwycięzko z tak trudnego zadania. Jan podlegnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył areydzielko: drobnintkie figureczki, wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne choć drobne, a nie twarde; egzekucya zachwycała barwą i światlocieniem. Pod pretekstem poprawek, Bacciarelli popsnął obrazek. Jan zobaczył to, i zebrawszy się na odwagę, potajemnie startł świeże jeszcze poprawki cierpliwie, i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nie o tém nie wiedział, a szpiegi pracowni nie dojrżeli tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o karuzel. Przyniesiono mu go; ale jakież było zdziwienie Bacciarellego, gdy na nim roboty swój nie mógł znaleźć! Oczy mu zaszyły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zmilczał w początku.

— *Che bestia!* mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowém, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go: czegooby życzył?

Ośmielony łagodném i wesolém wejrzeniem króla, Jan rzucił mu się do nóg, w kilkunastu słowach opowiedział biednego swego życia historycę, a z piersi wyrwał mu się ów wyraz żądań — niepohamowanych każdego artysty:

— Włochy!

— Jedź, rzekł król, — a wracaj nam mistrzem! Jest

już tam nasz Smuglewicz, po którym wiele się spodziewano. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się malém. Wyznaczę ci pensyjkę i na podróż pieniądze. Przysyłaj mi roboty swoje. Prócz tego—dodał cicho—nie masz tu podobno przyjaciół.

Jan w uniesieniu radości powtórnie upadł do nóg królowi i rozpłakał się w zbytku niespodziewanego szczęścia. W kilka dni potem opatrzony w pieniądze, pasport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki, Rugpūtīs dażył już do wrot nieśmiertelnego Rzymu.

Wyjazd jego z Warszawy zaćmił się bolesnym wypadkiem. Towarzysz Jana, pocziwy Feliks, znękany, zrozpaczony, i gwałtowną chorobą rzucony o łóżce, podał mu na pożegnanie dłoń zimną, która w ręku jego skrzepla na wieki! Kilka rozpoczętych płócien, teka rysunków pełnych energii i niezwykłego ognia, wspomnienie w jeduém sercu prędko zatrzeć się mające,—oto co po nim zostało.

„Witaj ziemio! Grecyi dziedziczko, ojczyzno odrodzonćj sztuki, matko wielkich artystów, których wykarmiłaś na ruinach starą myślą umarłego świata, których wykolysałaś głosami nadziemskimi przeszłości witaj Italio! witaj Roma!...” wołał Jan ze wzruszeniem, wstępując na odwieczną drogę, na której czuł raczej niż widział ślady rzymskich wozów, ujrzawszy starą naddrożną kolumnę, jedną z tych, co olbrzymie drogi olbrzymiego państwa rozmiarzały.

Z podwójném uczuciem chrześcianina i artysty pokłonił się wielkićj ruinie i zamyślił nad nią głęboko.

Nigdzie tak żywo nie mówi przeszłość, jak na tym grobowcu. A dla Jana grobowiec rzymski był także kolebką. Tu wykolysała się na falach krwi męczeńskiej wiara Chrystusowa, nowa religia, nowe prawo dla świata. Sztuka starożytnych na chwilę zapomniana, ustąpiła w jego umyśle miejsca katakumbom o nieforemnych symbolicznych postaciach, oraz podaniom z pierwszych heroicznych chrześcijaństwa wieków.

Wzruszenie, w którym niepojętym sposobem mieszały się wiara i sztuka, opanowało serce jego. Jan bowiem pomimo zaniedbanego wychowania, przejął od matki, wyssał z mlekiem głębokie, silne uczucie religijne, dotąd niestarte i nieosłabione nieczem. On wierzył sercem; głowa jeszcze u niego serca słuchała.

Wszystko tu przemawiało do niego; a pierwsze dni w Rzymie spędzone, nie pogański świat, nie sztuka jego wspaniała i podziwna godna, ale pamiątek chrześcijańskich i świętych miejsc obejrzenie zajęło. W kościele Świętego Piotra, u Świętego Stanisława *dei Polacchi*, u Jana Świętego na Lateranie, u Maryi Większej, u Maryi Anielskiej, Świętego Piotra *in Vincoli*, modlił się najprzód jako pielgrzym, posyłając w modlitwie westchnienie za matką.

Ochłonawszy dopiero z tego pierwszego uczucia, wyłączonego w początku, Jan poczuł się artystą, pomyślał, że jako artysta nie jako pielgrzym tu przywędrował. A arcydzieła sztuki z kolei silnie go pociągnęły ku sobie. Przygotowany do widzenia ich i ocenienia przez Batrani'ego, nie zaraz jednak potrafił wielkość i piękność ich nezuć, rozeznąć.

Ze sztuką jak ze wszystkiém inném na świecie, potrzeba wyrobić w sobie smak różnostronny, pojęcie szerokie jej całości, aby wszystkie objawy tak rozmai-

te geniuszu ludzkiego zrozumieć, aby przez uwielbienie dla jednych nie stać się niesprawiedliwym dla drugich. Mało jest ludzi, coby razem rysunek, linię bożkiego Rafacza, wyraz naiwny starych mistrzów, potęgę Michała-Aniela, koloryt uroczy szkoły weneckiej, wdzięk Albana pojąć i uczuć umieli, nie wyłączając jednego przez cześć dla drugiego, nie stając się niesprawiedliwymi dla któregoś z tych wielkich, w swoim każdy rodzaju, mistrzów.

Jan też w początku nie uczul całej wielkości, arcydzielności tworów, które spotykał. Błądził od jednych do drugich, i tysiącem sprzeczności rozmarzony, nie pewien co wybrać i kogo słuchać, był jakby wśród wrzawy stu pięknych głosów, z którychby każdy inaczej śpiewał. Każdy w początku tego doznaje, kto nie ma wielostronnego uczucia w sztuce i wyrobionego wyższego o niej pojęcia. Później, najczęściej jeden mistrz najsilniej do organizacyi, temperamentu, wykształcenia przemawiający, staje się wybranym i uwielbionym kosztem innych. Jego stawiamy na czele gmułu, a resztę pod nogami bohatera. Lecz jest-li to sąd sprawiedliwy, sąd, jaki być powinien? Nie, jest to po prostu ślepe zamulowanie siebie w drugim. Ledwie prawdziwie wyżsi nićm się nie zadawałają: pracują nad sobą, aby zmysł potrzebny do pojęcia zakrytych im piękności wyrobili w sobie, i dochodzą do tego pracą, żądzą i wolą niezłomną.

Jan długo błądził od obrazu do obrazu, od posągu do posągu, zapytując siebie: Co jest prawdą dla sztuki? czy linia, czy barwa, czy wyraz, czy wdzięk, czy siła? Każde dzieło inaczej mu na to wielkie pytanie odpowiadało; żadnego nie znalazł, coby wszystkie pojedyncze warunki sztuki skupiło w jednym i równie

dobitnie zadość im czyniło. Tu dopiero pojął on co jest ideałem, tym odwiecznym wzorem bożkiego Platona, na który ma się mistrz tworząc zapatrywać. Ideal jest to właśnie owo dzieło niestworzone, niezrealizowane, które tłumacząc i wcielając niedoskonałe, zawsze zbyt w jedną stronę pochylamy, ze szkodą całości.

Ideal, to dzieło energii Michała-Aniola, linii wdziecznych Rafała, wyrazu Fiesole'go, kolorytu Tycyana, żywotności Rubensa, wdzięki Guidów i Albanów. Ideal, to nadziemski doskonałość, wiążąca w sobie wszystkie ziemskie doskonałości, niekompletne, ułomne.

Oddać sprawiedliwość, pojąć, ocenić każdego z wielkich twórców arecydzieł: oto nad czém Jan silił się naprzód, nim zasiadł do pracy. Błądził po galeriach i muzeach, godziny całe siedział u posągów i obrazów, aby z nich myśl twórcy przeczytać. Im mniej sympatyczne było dla niego arecydzieło, tém usilniej starał się zjednoczyć w niem z myślą artysty. W ten sposób dopełniał braki w swój organizacyi, rozwijał w sobie zamarłe w zarodzie siły. Po długich godzinach wpatrywania się w dzieło, świeciła z niego zakryta wprzódy myśl powolnie, aż pierwój mglisty twór otoczyła, blaski swemi. Jaśniał mu on; czytał jego znaczenie, dzielność jego pojmował; pochylał głowę, czuł w duszy, iż mu nowy zmysł przybył, nowe uczucie w sercu. Słowo jednej zagadki rozwiązywało krocie drugich.

Tak spłynęły pierwsze dni pobytu w Rzymie, pierwsze tygodnie całe, na próżniaczęj powiedziałbyś może wędrowce, która przecież chwilą w życiu Jana ważną i dla rozwoju duszy jego stanowiącą była. Artyści jak Jan, z daleka, z Francyi, Niemiec, Holan-

dyi, Anglii i innych stron świata przybyli do Rzymu dla nauki, poglądali na tego obcego przybysza z podziwieniem i szyderstwem. Była to chwila najfalszywszych pojęć o sztuce. Młodzież biegła malować, nie myśleć i uczyć się do Rzymu; lapala piękne lub tylko uderzające wzory po ulicach, myśli do obrazów, widoki ruin tysiąckroć rysowane; ścisłała piękne Rzymianki, szalala w Cafe Greco, weselila się chwilą swobody, chwilą młodości; ale niegłęboko wtajemniczala się w zamknięte dla niej sztuk tajemniki. Sztuka była piękną lilią, pojmowaną najdziwniej, poziomio i bez zapachu; sceptycyzm może XVIII wieku obnażył ją z uroków, osuszył, i materję, powierzchownie daną do naśladowania, ograniczył.

Myśl uciekla z tego nagiego szkieletu, który na próżno silono się ożywić sztucznie, ubarwić, upstrzyć i uczynić wdzięcznym dla oka.

Jan poważny, zamyślony, często ze łzą w oku, częściej jakby nieprzytomny, tak głęboko zadumany i zwinęty w sobie, stał się pośmiewiskiem młodych artystów towarzyszków, z którymi pracował pod przewodnictwem Landi'ego.

Znalazł i tu przecież kogoś, co sympatycznie uczul się w początku pociągnięty ku niemu. Młody Annibal Cipriani, ubogi przybysz z Wenecyi, który napoiwszy się dziełami kolorytu w ojezyźnie Bellini'ch, Palmów, Tyceyanów i Tintorettów, szedł do Rzymu szukając tu linii i wyrazu, rysunku i myśli,—pierwszy ku niemu dłoń wyciągnął. Spotykali się razem w pracowni Landi'ego, którego byli uczniami. Annibal, choć Włoch, nie miał chytrłości włoskiej, szyderstwa im właściwego, próżności, jaką oni mają. Serdeczny zbyt może czuł,

i wrażliwy, z czezością w sercu, bo pozbawiony był tego uczucia religijnego, które jeden lud jeszcze w tym kraju zachowuje—rzucił się na wszystko, ku wszystkiemu, gdziekolwiek domyślał się pokarmu dla serca. Szukał on napróżno przyjaciela w tłumie, i po innych zwrócił się do Jana. Jan dotąd miał wielkie i szczere uczucie religijne; Annibal, który więcej czytał, zakosztował XVIII wieku owoców, pozbawiony był wiary, świat i życie nie miało dla niego tajemnic. Ze łzą w oku nad nędzą ludzkości, pod pozorem litowania się nad nią, powtarzał zdania pseudo-filozofów, dowodząc, że wiara jest zasłoną nmyślnie przed światem wyciągniętą, aby z ciemności korzystać, by ludzkość ślepą pozostała na wieki i na wieki związana.

Annibal tćm niebezpieczniejszy był dla Jana, że szlachetny w duszy, nie szydził prawie, ale się oburzał, że zdawał się mówić za ludzkością, za postępem, za wszystkićm wielkićm, dobrćm i szlachetnćm. W początku wielkie zdumienie opanowało Jana, gdy pierwsze jego słowa wypowiedziane w zapale posłyszał: zalał się, osłupiał; potćm z ciekawością ucha nadstawił; aż wreszcie, nieznacznie, przyjął zarazć nie wiedząc o tćm. Wyższość umysłowa i wykształcenie naukowe Annibala, który jako artysta był mierny i mały, ale jako człowiek myślący, szybkością pojęcia, obeznaniem z wielością przedmiotów i zagadnień górował nad Janem—ułatwila nawrócenie. Jan czuł się małym w jego przytomności, choć w istocie daleko był potężniejszy. Co serce mu dyktowało na zbiecie słów Annibala, tego nie umiał i nie śmiał wyrazić, bojąc się okazać nieukiem. Słuchał więc, oburzał się, milczał i pił zarazć.

O! tysiąc razy powtórzymy: wszystko jest zaraźliwe

na świecic, cnota i występki, myśli, przekonania, sądy.

Myśl rodzi myśl z siebie, a wszczepiona na drugiej miesza się z nią i pośrednicznie wydaje plody, które dorastając ojcowską lub macierzyńską przybierają fizyognomię. Tak u Jana wszczepił się sceptycyzm na uczuciu religijném, i wyszły z niego myśli płowe, barwy niepewnych, już wiodące do obojętności, do niedowiarstwa. Nie przyjmując z równą jak Annibal gwałtownością wszystkich, jakie przeciw religii wyprowadzał zarzutów, nie powtarzając obelg, zobojętniał przecię i zastygło powoli dawniej tak silne religijne uczucie. Świat w pierwszych chwilach tego przebudzenia zdawał mu się nagi, zimny, pusty i straszny; za nim widział tylko śmierć, zgniliznę, zapomnienie, nicosć.

Na nieszczęście, z innych względów Annibal był dla niego drogiem darem: przewodnikiem, tłumaczem, pomocnikiem, przyjacielem. Prędko poznajomieni, połączeni ściśle, już się nie rozdzielali.

Włoch potrzebował się wylać, i znajdował duszę naiwną, otwartą dla siebie, w którą rzucał coraz gwałtowniej wzbierające myśli i uczucia; Jan miał towarzysza i przyjaciela, a wyrzec się go młodemu, jednemu wśród obcych tak trudno! tak trudno!! Często po dniu roznowy, gdy dziwne nowości sceptycyzmu, tak rozczarowujące, tak ostre, tak zimne wbiły się w nich, Jan spędzał noc w gorączce i niepojętych dla siebie zgryzotach sumienia. Czuli, że źle robi, a rozbierając czynności, złego się w nich dopatrzeć nie mógł.

Prawdy mniemane, prawdy wyższe, których apostołem był Annibal, powoli zasiane, wschodziły w nim i rozgałęziały się w duszy. „Ciemnota! niewola! przesady! powtarzał cicho w sobie, poglądając na duchow-

nych, na religijne obrzędy—kiedyż ludzkość otrząśnie się z tego?”

„Biedna ludzkość! biedni ludzie!” A ani razu nie rzekł nikt w sobie, nie spytał się siebie: kto dał to światło, za pomocą którego waleczono teraz przeciwko wierze? kto zniszczył niewolę poganizmu? kto uznał braćmi świat cały? kto wyrzekł jedno prawo do nieśmiertelności dla całego świata, jedną nagrodę za cnoty, jedną za występki karę? Teraz odrodne dzieci obracają się przeciwko matce. Nie pytają się i nie odpowiadają sobie:—Chrześcijaństwo, wiara nowa. Zdawało się naówczas wszystkim, że naturalny rozum, długo spowity, nagle rozwiązał pieluchę i rozłożył samoistne swe błyszczące promienie; że jemu ludzkość winna była wszelkie światło. Czemuż jednak ani bożki Plato, ani żaden z filozofów starożytności, peluch owego naturalnego rozumu, przed chwilą wielkiej ofiary nie wyrzekli wielkiego słowa „bliźni” ani razu? czemu Miłość, Ofiara, te najwyższe tajemnice chrześcijaństwa, nieznane były przedtém nikomu? czemu: *złąć do! rím za złe, przebaczyć*, nikt nie wyrzekł wprzód? czemu duch nie podniósł się nigdy do wysokości, na której dopiero od 1800 lat stanął? A świat tak stary! tak stary!

Myśli te nie mogły przyjść Janowi. Jego przyjaciel Annibal, wielkimi wyrazy ludzkości, swobód, oświaty, i najlepszych chęci pełnego serca, z gorliwością młodzieńczą i zapalem przekonania szczerego, silnie działał na człowieka dotąd nietkniętego z téj strony, niemającego moey na oparcie się pozornie potężnym rozumowaniem.

W doktrynie XVIII wieku, którą wiek XIX przedłuża, strona wielka i piękna, strona jój szlachetna i prawdziwa, jest niezaprzeczone. Każdy system ludz-

ki, najfalszywszy nawet i najzgubniejszy, na jakiejś myśli wielkiej się opiera, inaczej nikogoby sobie nie zjednal. Nowość niedostateczną jest jeszcze ponęta. Tak też i filozoficzno-socyalne doktryny przeszlego i terażniejszego wieku, niosą przed sobą chorągiew jasną, promienistą; lecz z zasad najpiękniejszych błędzą we wnioskach i szerokich zastosowaniach, w ntopiach prześlicznych zapewne, w marzeniach dusz prawych i szlachetnych, niemniej jednak w ntopiach i marzeniach, w niepraktycznych teoriach. Na dnie 'najfalszywszój nanki jest jakaś prawda, co jój życie nadaje, co ją złoci i podnosi. Falsz rzadko jest w pierwszych zasadach; najczęściej w rozwinięciu i zastosowaniach szukać go potrzeba. Na lep zasad lgną umysły płytkie z sercami pocziwemi, a gdy się opatrzą gdzie zaszyły, powracać już nie czas.

I filozofia dawniejsza, i nowa, szły w imię ludzkości, walczyły o braterstwo, oświatę, o wywrócenie zgubnych przesądów; lecz zaszły od tych pobudek szlachetnych do pomysłów, których skutków nie wyrachowały, których praktycznego zastosowania przewidzieć nie mogły, zaszły do pojęcia człowieka za warunkami jego bytu, za szrankami jego natury. Chciały i chcą przecrobić ludzkość na idealną, nie wiedząc, że śmierć jój może gotują. Po gwałtowném lekarstwie ciężko odchorować mnsi świat cały.

Lecz wrómy do Jana; przebaczcie mimowolny ustęp.

Jan mieszkał już z Annibalem, i nie rozłączał się z nim. Włoch postrzegł ze zdumieniem, że ten obcy, którego tak niższym od siebie sądził, jako artysta daleko lepiej i wzniosłój widział rzeczy od niego. Uczyl się więc z kolei od Jana, nie bez skrytego upokorzenia, nagradzając sobie swoją niższość artysty

wyższością oświeconego człowieka i filozofa, jak naówczas zwano. Ale Jan skutkiem ciągłego towarzystwa Annibala, w dziełach sztuki powoli tracił sposobność czytania ducha i myśli. Annibal widział w nich tylko koloryt, kształty, zręczny układ, efekt ogółu, światło, nagości, draperye; twórczej duszy, niewidomej myśli, co ożywia to wszystko, spaja, porusza, tętnie życie, nie domyślał się. Materyalizm artystyczny Annibala nie mało wpłynął na Jana; począł i on coraz wyżej cenić piękne karnaeye, cudne kształty ciała, mięsistość torsów, utoczenie rąk, *morbidność*, więcej nawet niż lzy w oczach Nioby, niż wyraz boleści żywej w oczach Laokoona. Sztuka dla Annibala całkiem była cielesną. Jan jęj już tak materyalnie widzieć nie mógł, lecz obojętniał dla duchowej jęj części. W widzeniu Ezechiela (Rafaela) naprzykład, Annibal tylko kompozycyę czworga zwierząt Apokalipsy, układ i swobodę lotu przez przestrzenie wynosił; Jan zadumywał się jeszcze nad znaczeniem obrazka, nie śmiejąc już przyznać, że myśl jego leciała za Zbawicielem w nieskończone przestrzenie!

Leez któż opisze kiedy historyę duszy i myśli człowieka, tak, aby wszystkie odcienie zmian w nich zachodzących wystąpiły jasno na jaw? kto potrafi rozedrzeć łono swoje, aby z niego jak pelikan wytoczył krew najtajniejszych ran, najskrytszych boleści?

Jan zmieniał się, obojętniał, i w stolicy chrześcijaństwa stawał się nieznacznie poganinem; leez zawsze pierwsze młodości wrażenia wiosenne, niezgluzowane niczém, żyły w nim jeszcze tajemnie, przechowane na dnie jak zeschłe pierwszjej miłości pamiątki. To, co mu się gwałtownie narzekało pod szatą błyszczącą postępną, pukając do serca w uinę bolejącęj ludzkości, po-

krywało tylko warstwą popiołów głąb duszy, ale nigdy nie wyrugowało ze wszystkiém tego, co na dnie jój rosło.

Rozerwany, w niepewności, jednego dnia po staremn się modląc, drugiego oburzając znowu przeciwko przesądom z Annibalem, Jan był w tym stanie pośrednim, ehwiejnym, który dla wielu słabych ludzi całego życia jest męczarnią. Dwie prawdy błyskały z kolei w jego oczach, a wybrać nie umiał między niemi, a nie wiedział, która jest jedyną prawdą, prawdą matką.

Nanka tymczasem szła powolnie, a na nią także wypiętnowała się historia wewnętrznej walki. Jan uczył się więcej materialnych sztuki warunków, niżeli jój ducha. Annibal wmówił w niego, że się do Rzymu przyjeżdża jedynie, by wkraść się w tajemnice kompozycyi linii i światel mistrzów wielkich, aby studyować naturę, nie żeby szukać sposobu wydania myśli, uczucia i napelnienia tworów swych duszą.

W Sądzie Ostatecznym Michała-Aniola, kolosalnej karcie najpotężniejszego z malarzy, widzieli tylko dziwną potęgę rysunku, osobliwych złamań torsy, muskulatury, skrócenia śmiało; w sławnej Dyspncie, piękne starców oblicza i układ wyborny; w Kommmunii Świętego Hieronima wdzięk i zręczność kompozycyi i t. p. Annibal zniżał Jana do swych poziomych myśli; nie był jednak Jan wolny od jakiegoś niepokoju duszy, zawsze zwiastującego człowiekowi, gdy się cofa lub zniża.

Malowali razem u Landi'ego. Jan nabywał mechanicznej wprawy szybko i zastanawiająco; z ucznia przechodził na mistrza. Kilka jego robot wychwalanych przez nauczyciela, wynoszonych przez Annibala,

ściągnęło nań nareszcie uwagę i innych współbraci artystów, którzy zapoznali się z nim, przyjęli go ścisłaniem dłoni do swojego grona i uznali za brata.

Towarzystwo różnorodne, liczniejsze, oderwało go od wpływu ustawicznego Wenecyanina. W tym czasie Jan odmalował kilka swoich własnych kompozycyj na wielką skalę; między innemi Wenerę i Adonisa, do których mu dwa najpiękniejsze wzory Rzymu służyły. Annibal odeignął go od zamiaru malowania męczeństwa Świętego Pawła, które przedsiębrał, do którego nawet rozpoczął studia; przekonał go, że sceny podobne nie są przedmiotem dla sztuki! Biedny Jan w początku walezył, nareszcie usłuchał. Jak gdyby sztuka prawdziwa miała się ograniczać jednym tylko wdziękiem, jednym tylko dla oka samego powabem!

Dla Włocha ciało, nagość, mroczne linie i koloryt świetny, stanowiły całe malarstwo; ekspresyja wedle niego psuła linie, a nie tworzyła; unikał też jej jak starzy poganie, których endowne kształtami posagi, z jednym pospolitym uśmiecchem lub obojętnym skrzywieniem wszystkie się nam okazują. Inż konający Gładzator jest jakby przeciecznem sztuki chrześcijańskiej, sztuki myśli i wyrazu, sztuki ducha.

Dotąd pomimo towarzystwa, w którym zostawał, Jan był czystych obyczajów i czystych myśli; a chociaż nieraz burzyła się w nim krew młodzieńcza, zapal artystyczny, duchowy ją ochładzał. Wspomnienie też Jagusi wstrzymywało go i strzegło jak anioł opiekńczy. Często takie wspomnienie, w głowach łoża przez anioła stróża trzymane, jest tarczą przeciwko brudnym namiętnościom. Lecz we Włoszech, jak artyście, otoczonemu pokusami, kiedy mu najpiękniejsze

kobiety Rzymu za wzór Wenery godzinami służą, wytrwać niepokalanym, wynijść czystym? Jak w tęsknych wieczorach, gdy tysiąc myśli wiedzie za rękę tyśiące żądz, młodemu, z całą ciekawością młodości ku rozkoszy ciągnionemu nie dać się uwieść szepezącej do ucha Włoszce: „Ja cię Kocham — ja Kocham Ciebie!?”

Rzadki pewnie, ktoby w młodości kochał jedną nie wszystkie kobiety, eoby kochał kobiety, nie zaś miłość samą. A miłość cielesna i duszna tak są z sobą związane, tak często poczyną druga, a kończy podstawując się pierwsza! Dwie te miłości, dwie siostry rodzone: jedna powietrzna, idealna, smętna ze łzawym wejrzeniem i westchnieniem, z piersią wzniesioną; druga gorąca, wesola, uśmiechająca się, drażniąca, niedbala o jutro i na jutro niepamiętna; a zawsze podobne do siebie (choć odmienne) jak dwie siostry rodzone. Annibal, który ealy żył kobietą i rozkoszą, bo wiara żadna nie dawała mu przyszłości, a myśl występku nie była hamuleem, sztydził z prostoty dziewiętej Jana. On już kilka łatwych kochanek przekotyśał na kolanach i porzucił bez żalu; Jan jeszcze żył myślą dawniej czystej miłości dzieciństwa.

Czarnowłose i czarnookie Włoszki spoglądały na Jana ciekawie; obojętność jego, układ dziwny, zdumiewały je i drażniły. Nieraz czarne oko Angioliny, ostatniej z kochanek Annibala, którą porzucił eo miesiąc i eo miesiąc się z nią godził, spoeczyło w źrenicy Jana z pytaniem: „Nie jestem dość piękna?” Nieraz w wesolej igraszee, gorące usta spoeczyły długo, zajądło, lejając truciznę żądz w krew Jana i mówić się zdając: „Ktoż ci da więcej rozkoszy nademnie?” Nieraz objęła go, drażniała Annibala, i przytuliła się do niego

Angiolina, aż biedny młody artysta drżał, bladł i na chwilę czuł się oblakany; wytrwał jednak długo, długo, wierny wspomnieniom swoim.

Leez wewnątrz niego tlał już ogień, a oczy Angioliny rozdmuchiwały go codziennie. Mieszkając z Annibalem, widywał ją codzieli, pędzili wieczory, nocie letnie na rozmowie i śpiewach, był nieraz świadkiem całego dramatu cielesnej żądzy, namiętności, nasyceń, obrzydzenia, obojętności, świadkiem tych odpływów i przypływów passyi zwierzęcej, co jak morze zalewa brzegi i cofa się od nich ze wstrętem.

Miłość duchowa nie zna podobnych, równie gwałtownych zmian i ostateczności; ona jest zawsze jedna, dopóki czysta. Cielesna musi mieć charakter cielesny, znikomy: przychodzi potężna, rozkwita jasno i wędnieje, i znowu wzrasta i znowu pada.

Angiolina, dla której Jan był niepojętą zagadką, może dla tego tak nparcie po każdej kłótni powracała do Annibala, że chciała nareszcie rozwiązać pytanie: „Co to za kamień-człowiek? Dla czego tak młody a tak zimny? Jestżem tak szpetna, tak niepojętna, niepożądana? czy on tak dziwnie zastygły?”

Zwierciadło i ludzie nienastannie powtarzali jej, że jest bardzo piękna. Angiolina bowiem powszechnie za najcenniejszą Wenere całego Rzymu uważana była: nigdy Rubens nie wymarzył takiej wspaniałości ciała w takich kształtach uroczych; takiej karnacyi złoistej nigdy nie odmalował Tycejan; dwoje równie jasnych, czarnych oczu nie świeciło może od wieków nad Tybrem. Oczy Angioliny, mijając inne wdzięki, były może najpotężniejszą jej bronią. Cała ciałem będąc, namiętna, ale bezmyślna, wynechyła się jednak Włoszka nadawać swym oczom wyraz tak dziwny a tak coraz

różny, że mówiły więcej niż tysiące słów, niż najrozkoszniejsza muzyka.

Raz zmrúżone, łzą zwilżone, przygasłe, zdaly się szeptać: „Kocham cię, kocham, umieram z miłości. Luby chodź do mnie! chodź do mnie!”

To znowu jasne, ogniste, otwarte, wołały: „Pragnę, palę się, gorczę!”

Czasem z jakimś błędnym marzeniem błakały się niby nieprzytomne, a pełne wdzięku nieokreślonego, jakby patrzyły w inny świat i nie widziały ziemi.

Czasem zwracały się prosto w niebò, szukając w niém zda się pociechy, ratunku w nieszczęściu, li-tości.

Czasem pływały w łzie srebrnej, miękkie a gorejące, wyrazem boleści chwytając za serce.

Czasem się śmiały bezwstydne, zalotne, płomienne, szyderskie, rzucały wejrzenia ostre jak sztylety, klóły jak owe długie szpilki, któremi Angiolina upinała włosy.

Angiolina mogła mieć lat dwadzieścia, ale wyglądała na podziw świeżo: dziecię ulie mniej się bało czasu, słońca i wzruszeń; na wszystko było już zahartowane od młodu. Biała jój szyja, osobliwszój form doskonałości, nieco ozłocona słońcem południa, nie miała tych mdło zielonawych tonów, barw chleba czerstwego, które wielu Włoszkom są właściwe, zdawała się być zdjętą z obrazu Tyeyana, pokrytego złotą długich lat *patingą*. Piersi trochę wzniosłe i spore jak u Baebantek Rubensa, gładkie były jak marmur i jak marmur chłodne; chlubić się zdawały swemi kształty i mało co ukrywały się pod roztwartą z niechecenia suknią. Ręce i nogi tylko dalekie były od idealnej doskonałości, ale uchodziły wszakże i nie raziły bezkształtem. Angiolina

stroila się jak Włoszka w krańce gdyby Cyganka plachty, ulubione dzieciom Południa i Wschodu, w zło-ciste świecidelka, bursztyny, korale, łańcuchy; nawet z tém ładnie jój było.

Różnemi sposoby Angiolina próbowała Jana, to weselem, to rozpustą, to smutkiem, to rozpaczą udaną, to drażniąc go wzrokiem, to jątrząc pocałunkiem; nie jednak nie pomagało.

Raz wieczorem — a był to wieczór tęskny, cichy, smutny — usiadła mu na kolanach (Annibala nie było). Poczęła szeptać jak dziecko pieszczone, czystą udawać i skromną. Poczęła potém milcząca policzek gorący przykładać do jego twarzy, obejmować go rękami za szyję i... zapłakała. Nie wiem co jój te lzy wycisnęło. W szepciach cichych głos Angioliny był tak uroczy i dźwięczny! Jan usłyszał w nim jakby dalekie echo rozmowy z Jagusią, coś podobnego do głosu dziewczęcia swojego, i ucałował lżą oblane policzki. Poczawszy usta jego na swój twarzy, Włoszka chwyciła go nawzajem, zjadając pocałunkami, przyciskając piersią wzdętą i marmurowemi ranioną. Ale ten wyskok czułości szalonej, zamiast oszalić Jana, rozbil urok, co go otaczał. Wyrwał się i uciekł od niej. Angiolina w gniewie szukała noża, aby go zabić, lecz nie znalazła pod ręką. Nadszedł Annibal. Nazajutrz rozpoczęła znowu obłąkanie.

Czemuż człowiek tak słaby? czemu dla niego tak łatwy niepowrotny upadek, którego płacze bezsilnemi łzami? Wkrótce Annibal śmiał się z upokorzonego Jana i zwyciężki Angioliny, która chodziła w tryumfie, jakby jój kto koronę na głowę włożył. Weneccyanin poznał od razu, co ją tak uszczęśliwilo, rozpromienilo i zrobiło dumną.

Pierwszy krok tylko łzami się oplaca, a rzadko pierwszy bywa ostatnim.

Jednego wieczoru siedzieli na schodkach, używając chłodu, Annibal, Angiolina i Jan. Angiolina brząkała na gitarze, śpiewając starą piosenkę, w której *amor felice* grał wielką rolę, a każda strofa nim się kończyła niezmiennie. Twórca *canzony* zapewne piosenką chciał nagrodzić czego nie dostaje życia.

Księżyc nad grodem Cezarów pływał srebrzysty na głębinach nieba, krociami gwiazd usypanych. Małeńkie dzwonki klasztorne brzęczały jak komary w oddaleniu; świerszcze śpiewały pieśń swoją po skwarnym dniu letnim, ciesząc się nocą chłodniejszą. Angiolina wspartą miała głowę na ramię Annibala, jedną ręką obwinęła go za szyję, drugą ukradkiem podala Janowi, a ten ją trzymał bez myśli i czucia, gdzieś daleko goniąc marzeniami, jak prawdziwe dziecko północy, tęskny ciemnego nieba wychowanek, co zawsze ucieka od świata w mgliste krainy marzeń.

Annibal nucił przez zęby wyuczoną od którejś ze swych kochanek *canzonę* starą:

Perchè amore no se po celere.

Na schodkach dały się słyszeć chód i śmiechy; ale Włoszka nie cofnęła jednej ani drugiej ręki, choć widziała nadechodzących. Byli to dwaj artyści, Niemcy, znajomi Annibala i Jana: Martin Grone i Jeremiasz Süßemann, dwa w swoim rodzaju typy.

Pierwszy z nich, Martin Grone, po swojemu pojmował tylko sztukę jako materiał do historii postępków umysłu ludzkiego i objawów jednej idei, coraz inaczej i pełniej się wyrażającej. Szukał zabytków

starożytnych, śledził ich symbole, allegorye, myśli ukryte, a często nawet czytał hieroglify, gdzie ich nie napisano. Czytał je, powiedziawszy sobie wprzód, że tam być powinny, — tak niemiecka postępuje uczoność. Archeolog więcej jeszcze niż artysta, uganiał się po Rzymie za wszelkiego rodzaju starożytnościami, chcąc niemi, jak mówił, lepiej niż historią pisaną, wytlómaczyć starożytne wieki, ich obyczaje, ich ducha. Miewał on nieraz szczęśliwe pomysły, a jakkolwiek wyłączenie i jednostajnie plastycznym utworom nadawał większą niż należało i jedyną ważność, wiele przecię dla sztuki razem i historii uczynił. Z jego notat później wydane zostały dzieła sławne w Niemczech, które choć imienia jego nie noszą, jemu początek swój winny. Grono był poważny, suchy, sztywny, i cały zajęty myślą, która mu jeść i spać nie dawała: wytlómaczyć Rzym i dawną cywilizacyę ich pomnikami, oto co zamierzał. Dla niego poczynające się naówczas Muzeum Katakumb i Muzeum Neapolitańskie z Herkulanum i Pompei dobytých zabytków, były najrozkoszniejszych dumań przedmiotem. Rozczulał się nad rondelkiem, plakał nad lampą lupanarni, i przysięgał, że trójnog całą w sobie zawierał historię poganizmu. Owe trzy nogi szczególniej były dla niego pełne znaczenia!

Jeremiasz Süssemann, malarz czuły i słodki jak nazwisko, które nosił, robił obrazki z Idylli Gesnerowskich z wielkim wdziękiem. Dla niego ten wdźwięk, przyjemność kolorytu, wyraz słodyczy, zawierał całą sztukę. Po za tém była już egzageracya i obłąkanie. Poddać się oczom, wydrzeć westchnienie z piersi, nie więcej nie zamierzał; nie chciał ani głęboko wzruszyć, ani kazać myśleć. Z długimi włosy, jasnymi niebie-

skiem i oczyma, bez wielkiego wyrazu, Jeremiasz był pocziwy chłopak, a choć protestant, nie sceptyk, nie racjonalista, nie szyderca. Owszem był pobożny i czuły; najlepsze w nim scree kryło się pod pozorem flegmy, oziębłości; a często oko szkliste i zimne pozornie, zwilżało się łzą, której źródło on znał tylko. Jan kochał go i sympatyzował z nim; Annibal śmiał się z niego, ale go oceniał. Zbliżały ich niektóre prawdy, na które filozof i protestant godzili się przeciwko katolizmowi.

Angiolina podniosła trochę głowy z ramienia Weneccyanina, spojrzała i cicho szepnęła:

— Jeremi i Martin!

— A! witajcież! zawołał Annibal, powstając ze wschodów nagle i wyciągając dłoń. Jak się macie? gdzie idziecie? Przerwaliście Janowi Inianą przędzę jego, którą obwija, nie wiem, przeszłość, teraźniejszość czy przyszłość. Dumal jak mól (przepraszam), gdyście przyszli.

Jan uśmiechnął się trochę złośliwie, i podał dłoń Jeremiaszowi.

— Jak się macie? jak się macie?...

— Po co pytać? ktoś chorym może być w Rzymie? odparł poważnie Martin. Myśl daje tu siły, zajęcie, zdrowie, nie ma czasu słabnąć i chorować. Lecz do rzeczy. Słuchajcie! chcecie jutro być z nami?

— Gdzie jutro? spytał Annibal: czy na jakiej willi, czy przejażdżec w okolicy, czy może w jakim starém zwalisku, pod którego ruiną Martin odgrzebie myśl zaspaną od lat tysiąca i kartkę dziejom wydartą?

— W wielkiem zjawisku — kolebce, w Katakumbach, odrzekł Martin. Dość już pogańskiego świata; chcę zbadać tę nić, co łączy dwie sztuki, dwa światy,

dwie oddzielne historie. Pójdźcie z nami do Katakumb! Nie możecie nie być ciekawi! Był tam kto z was? Anglik sir Artur Cromby, jego siostra, ja, Jeremiasz, idziemy jutro zwiedzić podziemia.

— Kolebkę przesądów i niewoli umysłowój, podchwycił Annibal.

— Nie, kolebkę ducha! poważnie odparł Niemiec.

— Groby męczenników! dorzucił Jeremiasz.

— Straszne pieczary! żegnając się szepotała Angiolina. Mówią, że w wielu z nich kryją się bandyci.

Jan jeden milezał.

— Ide, rzekł po chwili namysłu. Dawno tam być pragnąłem, a dotąd nie miałem sposobności; wdzięczny wam jestem, żeście o mnie nie zapomnieli.

— A więc jutro rano zbieramy się u Paola Pansego, w kawiarni na rogu. Paolo nam sprowadza dobrego i umiejętnego Cicerone, Anglicy wiozą swojemi powozami na miejsce. Będzie nas szczęście i weselej.

— A ty nie idź, mój Nibalu! zawolala pieścąc się z nim Angiolina: po co tobie? To cmentarz, pieczara, straszne, ciemne! Zostaniesz ze mną. Można się zabłąkać, można zginać... nie idź!

Mówiąc to, tuliła się do Annibala, a patrzyła w oczy Janowi.

Wenecyanin rozśmiał się z próżnych strachów Carity i obiecał na jutro.

Nazajutrz u Paola Pausego zastali już Anglików i dwóch artystów niemieckich. Anglik sir Artur był oryginal, jak prawie wszyscy jego współziomkowie, których mamy szczęście widzieć na stałym lądzie; lecz oryginalność jego zależała na tém, że chciał niechodźić za człowieka, co się potrafi zastosować do wszystkich krajów i towarzystw, co umie wcielić się wszędzie.

Jednym słowem: Anglik był oryginał tén, że udawał weale nieoryginalnego, a w głębi takiin był przecię.

Z artystami artysta, uczony z uczonymi, z ludem człek prosty i przesądny, z filozofami sceptyk, Anglik z Anglikami, Włoch z Włochami — sir Artur stawil się na oznaczoną godzinę w kawiarni, wierny swemu słowu. Ubrany był za Transtewerana, ale z fizyognomią tak widocznie wywiezioną z West-Endu, że wzbn-dzał tylko śmiech patrzących na niego. Miał minę karnawałową. Błady, bardzo pociągłej twarzy, dość niezręcznych ruchów, białawych włosów, długich rąk i laskowatych nóg, typu zupełnie normandzkiego, sir Cromby przebrany za Włocha, wyglądał potwornie, pocieszenie, eudaczenie. Uprzejmy i grzeczny aż do zbytku dla tego, że powszechnie obwiniają Anglików o dumę i rubasność, ścisnął za ręce artystów, całował się z nimi i fraternizował aż do przesady. Udawał popularnego i wesołego towarzysza, choć go to męczyło i wiele kosztowało.

Ale potrzeba go było widzieć w towarzystwie różnorodném, gdy zmuszony kilku osobom podobać się, do wszystkich zastosowywać, z kolei najróżnorodniejsze miny i postaci przybierał, najrozmaitszą odzywał się mową, zawsze dosyć pocieszenie. Sir Cromby pewien był, że ma talent niepospolity jednoczenia się z tén, co go otacza; ludzie, co z tój myśli jego korzystać umieli i za słabość podechwycić, byli mu najulubieńsi. Od lat pięciu, bezwstydný jakiś Francuz, bijąc w to, żył z jego kieszeni, całą za nim niemal obiegłszy Europę.

Dla dania sobie placu do popisu, podróżował całe prawie życie, w każdym kraju usilując się stać jakby krajowcem: wyczuwał się języka, którego wymawianie

z angielska przekręcał; uczył się obyczajów i do nich święcie się stosował, ale po większej części brał je nie z życia żywego, lecz z książek — to też pocieszenie wyglądały niekiedy!

Słowem, był to jeden z najdziwniejszych może znanych oryginałów, a przy swych białych włosach, przeciąglój twarzy, w krasnym stroju Zatybrzan, ze sztyltem u pasa, w zawiniętym na ramiona płaszczu, karykatura wyborna! Na widok jego Jan i Annibal ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Anglik powitawszy ich po bratersku, poufale, zamaszyscie, dyalektem włoskim wymawianym po angielsku, którego zrozumieć nie potrafili, począł kląć na opóźnienie jakiegoś, i wysypał cały słownik przekleństw i polajañ miejscowych.

Lecz uwagę nowoprzybyłych odwróciła na siebie wkrótce siostra sir Crombego, miss Rosa — postać jeśli nie dziwniejsza od pierwszój, to przynajmniej w oryginalności jój nicustępująca. Była to śliczna córa północy: biała, niebiesko-oka, wysmukła, lekka, powietrzna, na której widok serce Janowi wspomnieniem gorącym kraju uderzyło wzruszone. Twarze podobne miss Rosie tylko się na obrazach widują; tak była idealną, tak uroczą, tak piękną. Opisać wdzięku tego zjawiska, wdzięk nie w każdym z pojedynczych rysów, lecz w ogóle tylko i zbiorze ich będący, nie można piórem, nie można! Miss Rosa biała była jak alabaster, złoto-włosa, z wielkimi głębokiego lazuru oczyma, zbudowana jak Sylfy; skrzydeł tylko zda się brakło jój, aby ulecieć z ziemi, a gdy się poruszyła, myślałeś, że się zerwie i zniknie jak ptaszek. Ręka biała miała kształt arystokratyczny, a paluszki jój cienko i zagięto kończące się, pozór artystycznego utworu nieco manierowanego snycerskiej roboty, nieżywych rąk ludz-

kich. Nóżka, kibić, szyja, ramiona, odjęte rzekłbyś z obrazu starego jakimś aniołowi, Anioła z Fiesole.

Lecz niź, wyraz oblicza, postawa, sprzeczały się dziwnie z rysami anioła i spojrzeniem anielskim. Miss Rosa Cromby była ubrana na wpół po męzku: z chusteczką na szyi, w amazonce, w sznurowanych bóciakach, w popielatym kapelusiku z piórem, z teką pod pachą; wyraz jej oczu był pełen słodczy, usta uśmiechały się szydersko i złośliwie. Zdziwili się niepomalu artyści, gdy ich powitała, po angielsku, dając im rękę do ściśnienia, z żartobliwym śmiechem, przez który poglądały białe zębki, poczynając znajomość.

— Miss Cromby! rzekł prezentując brat.

— Siadajmy i jedźmy do Katakumb, dodała Rosa, zbliżając się do Jana, którego twarz widocznie ją szczególnie nderzyła od pierwszej chwili. Wy panie ze mną? Wszakże jesteście malarzem, artystą? spytała szybko.

— Tak jest.

— Zkąd? z północy pewnie? z Niemiec może!

— Z Polski.

— A! zawolala Rosa: bądźmy przyjaciolmi. Polska to ojczyzna Sobieskiego??

Anglicy, jak wiele innych narodów w owej epoce, znali z bohaterów naszych tylko jednego, co heroiczny błąd popełnił, ratując nieprzyjaciela. Teraz im przybył Kościuszko.

Nim stanęli u wnijscia najdawniejszego podziemia na cmentarzu Świętego Kaliksta, przy kościele Świętego Sebastjana, Jan miał czas przekonać się, że kobieta, z którą w towarzystwie Martina Grone'go jechał, dziwniejszą jeszcze była, niż mu się z razu wydała. Jej męzki strój, postawa i ruchy nieczem były w porównaniu z męzkim aż do zbytku umysłu, który an-

gielska filozofia materjalizmu przekręciła w najscęptyczny sposób. Angielka, w duszy artystka, cała żyła sztuką, od dawna nie oddalała się już z klassycznej ziemi włoskiej, czas swój dzieląc i godziny zupełnie swobodne między malowanie a czytanie dzieł, co ją postawiły na najwyższym szczeblu niewiary. Wierzyła tylko w teraźniejszość, w życie; przypuszczała coś nakształt duszy, ale oburzała się zarówno na tak zwane przesady religijne i przesad nieśmiertelności po zgonie. Z wielu innymi dawniejszych i nowszych czasów marzycielami, wołała przypuszczać metempsychozę.

— Żyć, użyć, zapłakać, pokochać, umrzeć! mówiła do Jana z żywością kobiety, której pilno pokazać swe myśli:—a potem zostać zapomnianym i drugim miejsca ustąpić. A może, może, odrodzić się robaczkiem, muszką, lub jeszcze człowiekiem...

Jan słuchał jej osłupiały.

— Czytales pan Spinozę? spytała go po chwili.

— Nie, odparł Jan. Ja jestem z kraju pobożności i wiary, z kraju katolicyzmu starego; ledwie tutaj spotkałem się z wątpliwością, scęptycyzmem i filozofią; tu dopiero oswoilem się z niemi. A szęczyrę lękam się ich, krwawią mi serce.

— Tak, dodała miss Rosa: kiedy ślepemu zdejmują kataraktę, boli go także, on się także lęka; lecz później oswaja się ze światłem i cieszy niem.

Jan westchnął.

— Pani! rzekł: wyzuć się z nieśmiertelności, rzec przyszłości, rzec nieba i uadziei nielatwo.

— Człowiek jest śmiertelny, ludzkość nieśmiertelna, człowiek żyje w ludzkości zawsze. Zresztą nie przemawiaż do pana stara idea metempsychozy?

Jan potrząsł głową; zamilkli znowu; lecz Rosa

w milczeniu strzelała ku niemu oczyma, mówiła do niego spojrzeniem. Pomimo wstrętu i podziwu, jaki w nim wzbudzała, Jan nie mógł się jęj napatrzeć, oderwać od niej. Jakaś dziwna sympatya łagodna dwojga dzieci północy, spotykających się pod gorących Włoch niebem, łączyła ich dwoje.

Wysiedli z powozu, a gdy się przed nimi otwarły drzwi starych podziemiów podkopujących Rzym pogąński, Grone jako antykwaryusz pośpieszył naprzód ze swą erudycją. Umieściwszy się w pośrodku grupy, której ostatnie ogniwo stanowiła miss Rosa i Jan, nie dał nikomu westchnąć, spojrzeć ani wyrzec słowa, póki nie wyrzucił z siebie, co nazbierał przez dni kilka cytów i wiadomości.

— Katakumby — rzekł poważnie — albo raczej *katatumby*, jak je zwano początkowo, bo pierwszy Grzegorz Święty użył wyrazu *katakumby*, mówiąc właśnie o tych, które zwiedzamy, nie są wcale dziełem chrześcian.

— Jak to? przerwał Anglik: dziełem pierwszych chrześcian niezawodnie!

Przewodnik Cicerone, w którego attrubucye wdierał się Grone, pokiwał z nieukontentowaniem głową i szepnął: „Heretyk!” splunąwszy ze wzgardą.

— Tak, nie są początkowo dziełem chrześcian całe, powtórzył Grone. Były to karyery, z których dobywano puzzolane i tuf wulkaniczny do budowli. Zwano je *arenariae*. Cycero pisze o nich w mowach, mówiąc o Asiniusie.

— Tyś sam taki! szepnął zniecierpliwiony Annibal. Ja nie pojmuję — dodał głośno — co też tu ciekawego! Labirynt kilkupiętrowy ciasnych przejść, pół-

ki i szufladki na grobowce, popsute i złego stylu sarkofagi, malowania pozacierane i brzydkie.

— A myśł? a wspomnienie lez, męczarni, ofiar pierwszych bohaterów krzyża? zapaleczywie podechwycił Anglik, broniąc miejscowości wedle swojego zwyczaju i wcielając się w otaczające.

— *Arenariae*... ciągnął dalej poważnie Grone, idąc ciasnym korytarzem, którego sklepienie to się zniżalo, to podwyższalo, a boki z kolci rozszerzały i zwężały nierówno: — wspomina także Swetoniusz w *Neronie* o nich, powiadając, że Faon radził cesarzowi schronić się *in specum Egestae arenariae*. Witruwiusz tytuł wyrazem je oznacza. Pierwsi chrześcianie...

— Pierwsze ofiary! zawolala miss Rosa: ofiary, które za sobą tyle innych ofiar przesądu pociągnęły.

— Ofiary... machinalnie powtarzał archeolog, niezmiessany bynajmniej ciągle przerywaną rozmową. Zwano także katakumby *latoniae*, *coemeteria*, *areae*, *criptae*. Tertullian i Hieronim temi wyrazy je oznaczają.

— A! co nam do twego Tertulliana i Hieronima! przerwał znowu Annibal: ot patrzaj lepiej z nami, jeśliś ciekaw, a nie bałamuć nas.

— Katakumby, posłuchajcie — ciągnął dalej flegmatycznie Niemiec — rozsuwały się w różnych kierunkach dokola Rzymu. Te, które zwiedzamy, uważają się za najstarsze. Ciągną się one pod drogą Appijską i cmentarzem świętego Kaliksta. Katakumby Świętych Saturnina i Thrasona u *Porta Salaria*, Świętych Marcellina i Piotra za *Porta Maggiore*, są także bardzo stare.

— Stare! spodziewam się, że stare! rzekł ruszając ramionami Anglik. Nicžnośny gaduło Niemcze! nim

powiesz o ich wieku i nazwaniu, złoż wprzódę łzę u wnijsia. To schronienie Świętych, to pierwsze kościoły wiary, co świat odrodziła. Tu uciekający od krwawych wyroków Numeryana, Maksymina, co im nawet wstępu do katakumb broniły, mogli użyć w ciemnościach chwili spokoju i chwili modlitwy.

— Bracie, szalejesz! przerwała Rosa. To byli biedni zaślepiący.

— To byli Święci! rzekł zginając się przewodnik.

— To były wielkie dusze bohaterów chrześcijaństwa! wyjęknał Jan z uczuciem.

— Twórcy owęj sieci, co zagarnęła świat cały! uśmiechając się z politowaniem dokończył Annibal.

Wśród tój dziwacznie sprzeczącej się rozmowy, szli wszyscy za przewodnikiem w światła uzbrojeni, korytarzami, które się ciągną pod Appijską drogą. Co chwila najmniej ciekawych coś uderzało, a Niemiec, który się był przygotował na lekcję i czytał dobrze Bosia, Boldettego i Bottarego, tłómaczył natychmiast, na cokolwiek się natknęli. W owym czasie więcej jeszcze pamiątek, później do muzeum watykańskiego przeniesionych, znajdowało się w kryptach. Korytarze nieforemne, ciasne przejścia, wschodki niezgrabne, maleńkie bazyliki, studnie i cysterny do chrztów, ozdoby sklepień, symbola, napisy — w jednych szyderstwa, w drugich ciekawości, w innych uniesienia oznaki wywoływały. Jan silnie był poruszony widokiem tój kolebki chrześcijaństwa, gdzie ubodzy i biedni nanę nową dla świata, oblaną krwią męczenników, pielęgowali, gdzie spoczęły kości ofiar, co chętnie szły na stosy, na pożarcie, na męczarnie, na śmierć. „Jak wielka, jak silna wówczas była wiara!” myślał w duszy.

Niemiec tymczasem chwytal się pierwszój zrzęczości, aby paplać i objaśniać.

— Ta izba — mówił pedchwytnjąc, aby go kto nie uprzedził — była kaplicą... kościołem. Te wyżłobienia w jēj ścianach są to *loculi*, z obu stron na grobowce przygotowane; w pośrodku to głównego męczennika: *memoria*, *confessio*, *martyrum*, *testimonium*, *titulus*. Wiara, jak widzicie, opiera się na ofierze, świadczyła się krwią wylaną, na grobach pierwsze niekrwawe składała ofiary. Jak Chrystus za wszystkich, tak wszyscy za wszystkich poświęcić się powinni. *Ofiara*, *miłość*, głównemi są zasadami nauki chrześcijańskiej, całym jēj symbolem.

— Dla czegoż to tak przekrecono? tak na złe umiano obrócić? zapytał Annibal.

— Tak! dla czego? powtórzyła za nim Angielka: dla czego co kruszyło więzy, więzami się stało? co świeciło, gasi światło?

— Czeze deklamacye! pogardliwie odpowiedział Grouc. Słuchajcie lepićj.

— Będzie nam bez końca tłómaczył, rzekl Anglik: a my czuć, my się wieielać, my sercem pojnować chcemy.

— Jam tylko po prostu ciekawa, szepnęła Rosa, i zastanowiła się u jednego z wyobrażeń Jonasza, których pełne są katakumby.

— Jonasz! zobaczywszy to, zawołał zaraz Niemiec. A wie pani co znaczy Jonasz? Symbol, mit, allegorya. Nowi nawróceni chrześciance widzieli w Jonaszu, i nie bez przyczyny może, to, co poganie w mieście Herkulesa, pochłoniętego przez wieloryba i po trzech dniach wyrzuconego przezeń. Są i greckie wazy z tego rodzaju wyobrażeniami. Jonasz także krewni

się z Jazonem połkniętym przez smoka i wyswobodzonym z gardła jego. Mity są wieczne, a odkrycie ich znaczenia....

— Do was należy! rzekł łagodnie, uśmiechając się, z ukłonem Süssemann.

— Tak! rzekł naiwnie Niemiec: pewna jest, że to do mnie należy. Znajdziecie tu nie tylko Herkulesa—dodał—ale i Orfeusza, którego pierwsi chrześcijanie wzięli za emblemat misyi Chrystusa na ziemi. Ten Chrystus, *Pastor Bonus*, to także postać, którą sztuka chrześcijańska wzięła od pogan i swoim zwyczajem zastosowała do siebie. *Kalamis* był twórcą tego typu w starożytności. Jest to *Mercury Kriophoros*.

— Bredzisz, koebany Grone! rzekł Anglik, idąc dalej.

Przewodnik pluł i oczy wywracał, słuchając tego.

Korzystając z chwili milezenia, które zdumiony nieco apostrofą zachował Niemiec, Anglik podechwycił, cały przejęty sytuacją, z oczyma dziwnie rozplamionemi:

— Wystawcie sobie owe wielkie, tajemne uroczystości, owe zgromadzenia wiernych, i ofiary, i uczty, i braterski pocałunek tych, którzy wkrótce paść mieli pod katowskim mieczem. Co za obrazy! Jak wielkio i święte obrazy!

— Ten, to dobry katolik, mruknął przewodnik Antonio: ale ten drugi *Tedesco, diavolo, eretico*.

Wtém Niemiec przyszedłszy nieco do siebie, nie dał rozczulonemu dokończyć, bo go erudyca dusiła i zmuszony był rzucić ją z siebie.

— Zgromadzenia, — zaczął krzyczeć szybko — zgromadzenia owe zwąły się *agapes*, *ἀγάπαι* od *ἀγάπη*,

charitas, miłość; były to zgromadzenia braci w Chrystusie. Odbywały się z różnych powodów, z okoliczności poświęceń, pogrzebów, urodzin, a ztąd zwały się *connubiales*, *dedicatoriae*, *funerales*, *natalitiae*. Agapy nareszcie potępione jako zabobon pogański przez Świętego Ambrożego, wkrótce zarzucone zostały. Oto — dodał — jedno malowanie wyobrażające obchód tego rodzaju, ucztę z kilku tylko osób złożoną.

— Co za nierzeczna bazgranina! jakie linie! jakie twarze poczarne! rzekł Annibal zbliżając się.

— Okryłbym złotem ten kawalek ściany, gdyby mi go dla *British Museum* sprzedano! zawołał z mieszeniem sir Artur.

— Proszę nie ruszać! rzekł żywo Antonio.

— Ten stół okrągły to *cibilla*... na nim — uparty kończył Grone — widzicie potrawy. Sługa trzyma w ręku szklanekę do picia, *cyathus*. Oto chleby z wycięciami na nich krzyżami (*quedra*); oto jaja, symbol ekspiacji u starożytnych.

Tak szli ciągle dalej a dalej wśród tłómaczeń Niemca, uniesień Anglika, ironii Annibala, rozezulenia milezającego Süssemanna i cichój rozmowy Jana z miss Rosą Cromby. Ona go rozpytywała, on odpowiadał, ale roztargniony, widokiem miejsca przejęty, pół słówkami. Ze wszystkich najmniej uważała Miss Rosa na to, co ją otaczało: wspomnienia owych czasów tak żywe, tak przejmujące, ani jój rozezulały, ani unosiły; dusiła się w ciasnych korytarzach, poglądała na niezgrabne malowania, śmiała się z Noego, który w arec maleńkiój, jak w pudełeczku, do wpół zamknięty wyglądał i t. p.

Niemiec tymczasem porównywał Abrahama, Mojżesza, Jonasza i Daniela, do Perseusza, Bellerefona,

Herkulesa i Tezusa, prawil o nieśmiertelności symbolu, o jego znaczeniu, o symbolach słońca, wolu, jelenia u źródła, pawia na kuli stojącego i innych wyobrażeniach, które się spotykają w Katakumbach. Tak przeszli znaczną część krypt, a Angielka nie zważając na zastrzoną ciekawość towarzyszy, poczęła się napierać do powrotu.

— Powietrze to dusić mnie zaczyna— rzekła — pomimo otworów.

— *Foramen*, szepnął Niemiec, odwracając się.

— Niedośćcie macie jeszcze tych jednostajnych przejść, schowanek, grobów i ołtarzy? A! wracajmy już, proszę!

Napróżno uniesiony sir Artur chciał od Świętego Schastyana i Katakumb drogi Appijskię udać się zaraz do innych i dalej ciągnąć badania, które Niemiec ofiarował się wspierać swą erudycją; spóźniało się, Antonio przewodnik zmęczony i gniewny, że nie miał czego tłumaczyć, miss Rosa niecierpliwiła się: trzeba było powracać. Pośpieszali więc ku wujściu za przewodnikiem: Jan smutny, miss Cromby zamyślona, sir Artur zawsze w ekstazach, Süssmann milczący ze lżą w oku, Annibal niezepiwszy się za rękę Antonia przewodnika, prawil mu koncepta filozoficzne tłumaczone z francuskiego, bawiąc się oburzeniem Włocha i lajaniem jego.

Głone szeptał wciąż pod nosem wyrazy jakieś niezrozumiale.

Część dnia spędzona w Katakumbach, a raczej przypadkowe poznanie Anglika i jego siostry, większy wpływ wywarło na Jana, jego życie, wyobrażenia, może na przyszłość, niżeli by przewidywać było można.

Tak często drobny na pozór wypadek farbując długą lat przestrzeń.

Rozstając się po przebyciu Appijskiej drogi, Anglik ścisnął za rękę Jana, a Rosa chwyciwszy dłoń jego, długo ją wstrzymując i wpatrując się w oczy zarumienionemu młodzieńcowi; szybko wysypała tysiąc grzeczności i złoconych słówek. Zapraszała go, aby ich odwiedził i usilnie żądała bliższego poznania, ściślejszych stosunków. Annibal widząc to, gwizdząc poszedł przodem, gdy Jan wstrzymany i nagłony, musiał wreszcie dać słowo Rosie, że ją odwiedzi, że częściej widywać się będą. Angielka dała mu bilet z adresem, a na rozstaniu rzekła:

— Pamiętajże pan! pamiętaj! Tyle naszego, co w tém życiu. Gdy w niém spotkamy twarz i serce naszemu pokrewne, mile, czemuż od nich odbiegać? czemu się do nich nie zbliżyć? czemu nie spróbować szczęścia?

Brat tak się bawił swoim włoskim ubiorem i sztyletem, że końca rozmowy nie słyszał, a może nie chciał jćj słyszeć. Jan milezący, zamyślony, powrócił z Annibalem do cichej izdebki, gdzie zastali Angiolinę na łóżku leżącą i uśpioną z gitarą w ręku. Włoch ją przebudził brząknięciem po strunach. Zerwała się żywo, i poskakując ku obu razem, zawolala:

— A! wróciliście, Bogu dzięki! i cali! nie się wam nie stało? Chwala Matce Bożej, ale już drugi raz szczęścia nie próbujecie. Mówią, że tam łatwo zabłąkać się i zginąć można.

W kilka dni potem, przypomniawszy sobie obietnicę, Jan musiał pójść do palacu, który Anglik zajmował na Corso. Dwie zupełnie oddzielne jego części były mieszkaniem brata i siostry. Sir Artur tegoż

ranka wyjechał był do Neapolu w celu zbadania życia lazzaronów i rybaków. Czekają go już najęte mieszkania w Castellamare, w Sorrencie i samą stolicą. Miss Rosa Cromby była sama jedna.

Ona ze służącą tylko zajmowała obszerny, ale opuszczony, choć dawniej wspaniały apartament. Dwóch murzynów ubranych po orientalnemu nслужиwało jej; reszta dość licznego dworu i służby mieściła się na dole i nie była widzialna. Ogromna sala i gabinet do niej przytykający pełne były kwiatów, dywanów, posągów, obrazów dość gustownie porozstawianych i porozwieszanych dokola. Przepyszne naczynia marmurowe napełnione były świeżemi i wonnemi pęczkami kwiatów; firanki pół przezroczyste zasłaniały okna; posadzkę wszędzie, zwyczajem angielskim, wyłożono dywanami.

Miss Rosa na szczytunku leżała z książką. Czytała jedno z upodobanych dzieł Russa. Przed nią na trójnogu stał poczuty obrazek, na ziemi leżała paleta i porozrzucone pendzle.

— A! jak się masz! zawołała, zrywając się: jak się masz, artysto! Czekałam na ciebie, i gdyby nie resztką wstydu kobiecego, głupiego wstydu, którego pozbyć się nie umiem, byłabym cię pierwsza odwiedziła, tak byłam niecierpliwa.

Jan podziękował w milezeniu; nie umiał odpowiedzieć.

— Wiesz co? dodała śmiała Angielka: jestem ławaterystka, rysy twojej twarzy podobają mi się; chcę koniecznie bliżej się poznać z tobą, chcę cię pokochać jak brata. Siadaj.

Przyjęcie, sposób powitania, mowa, ruchy prześlicznej miss Rosy były tak dziwne i niepojęte dla

Jana, który nigdy nic podobnego nie widział, nie wyobrażał nawet sobie, że miał się za uspięnego i marzącego dziwacznie. Dotknięcie białej ręki przywołało go do świata i uczucia życia: łza zakręciła mu się w oku. Ona go po męzku ścisnęła za rękę i wskazywała krzesło.

— A sir Artur? spytał Jan, nie wiedząc od czego począć rozmowę.

— Pojechał dziś do Neapolu, odpowiedziała śmiejąc się. Nie mów mi o nim, to dziwny szaleniec, dziwnie lekki człowiek! Serce dobre, ale głowa słaba. Cały w ekstazie, wszystko uwielbia, a nic nie pojmując. Ale szczęśliwy może, a to najważniejsza. Szczęście! rzekła z westchnieniem — szczęście, zagadka życia: tysiąc razy zdaje się bliska rozwiązania, i — wечно nieodgadniona.

— Szczęście? rzekł Jan pytając: wszakże to cisza w duszy, spokój bez żądy, zadowolenie pragnień i długi byt bez zmiany.

— Gdzież ono? gdzie ono? przerwała miss Rosa. Nie! nie! nic podobnego nie ma na świecie. To szczęście stare, ideał niedościgniony; a ludzkie prawdziwe szczęście, to suknia arlekina, złociste i czarne łachmany pozszywane razem; życie, jakim jest: boleść z nadzieją, nadzieja i rozkosz w cierpieniu, ciągły ruch, ciągła walka, ciągła czynność. To szczęście nasze. Innego nie ma! — dodała — nie ma! nie ma!

— Takiego ja szczęściem nie nazwę.

— Boś ty jedna z tych organizacyj szczęśliwych a biednych, co wечно ludzię się muszą i tęsknić do spokoju, nie mogąc go dostąpić. Powiedz mi, kochałś ty?

To pytanie w różowych ustach miss Cromby miało

coś przykrego. Jan się zarumienił jak dziewczę, i odpowiedział z bolesnym zająkaniem:

— Któż nie kochał?

— Kto? ja! ja! smutnie odpowiedziała Rosa. Możnaż to nazwać miłością, czegośmy oboje zapewne doznali, chłodne jakieś uczucie, chwilowe, przemijające, ciepły wietrzyk wiosenny wiejący przez sree młodości? Ja inaczej wyobrażam sobie to uczucie, które sprawia, że zapominamy i nie znamy świata prócz w sobie, że w sobie mamy wszystko: przyszłość, niebo, Boga, a to się wysłowić nie daje.

Zarumieniła się, spuściła twarz w dłoń białą i zamysliła.

— Takbym kochała — rzekła żywo — gdybym kochała kiedy.

— I szczęśliwy kogobyś miss kochała, boby pewnie wart był tego, powiedział Jan zmieszany i niespełna przytomny.

— Alboż koniecznie Kochamy kto wart tego? Alboż my wiemy co miłość? Nie Kochamy ani piękności, ani emoty może, ani przymiotów, ani nie z tego co się daje pojąć, określić; Kochamy coś niepochwycanego, nieokreślonego, tajemniczego, Kochamy to co Kochamy, nie wiedząc dla czego; ciągnie nas siła fatalna. *Ich liebe dich, weil ich dich liebe*, powiedział jakiś poeta... Sree uderzy raz, drugi, idziemy za niemi; widzimy, że nas wiedzie ciemnymi drogami i nad przepaści prowadzi. Cóż po tém! nie umiemy, nie możemy mu się oprzeć.

— Alboż nie można oprzeć się srecu?

(Pytania i odpowiedzi Jana tak były chłodne i pośpolite, że każdy inny, nie miss Rosa, byłby ostygl, słuchając ich. Ona się coraz ożywiała.)

— Tak! kto go nie ma! zawołala dumnie, błyskając okiem. Ale po cóż ta rozmowa? Myśmy w zdaniach i wyobrażeniach daleko od siebie; uczuciem może bliżsi jesteśmy niż myślą. Ty wierzysz we wszystko, tyś dziccię jeszcze; ja! w nic... O! omyliłam się — podchwyciła, zrywając się z siedzenia i podając Janowi rękę — wierzę w sztukę i wierzę w miłość, wierzę w przeznaczenie i fatalność.

— Jest to wiara tych, co innéj nie mają.

— Spokojnam z nią dosyć, i innéj nie żądam. Chodź, zobacz obrazy moje i roboty.

Miss Cromby powiodła najprzód Jana przed stare płótna, które świeżo zakupiła była na licytacji po kardynale R...; potem do swoich własnych robot. W tych wiele było ognia, zapalu, ale część mechaniczna słaba i nieumiejétna.

— Pokazuję ci moje po tamtych, aby ci się gorzej wydały, abys je osądził surowiej. Powiedz mi o nich prawdę: lubię szczerość, naprowadzisz mnie na drogę, będę ci wdzięczna.

Jan tak zagadniony, chwalił, co było godne pochwały, lecz nie ukrywał, co widział słabém. Rosa ścisnęła go za rękę:

— Dobrze rozumiesz sztukę, a jeszcze lepiej obowiązki przyjaźni. Bo nie prawdaż, że jesteśmy przyjaciółmi od dzisiaj? A ty moim nauczycielem?

— Sam dotąd jestem uczniem.

— O! to nic nie szkodzi! uczymy się do śmierci. Będziemy więc, nie prawdaż, uczyli się we dwoje. Podaj mi rękę, Janie, zgoda?... A teraz — dodała, siadając — chciałabym poznać cię lepiej; opowiedz mi swoją przeszłość.

Zagadniony tak porywezo i niespodzianie, Jan chciał się od wyznań wymówić, chciał tę spowiedź nagłą odłożyć, ale miss Rosa miała szczególny dar ośmielenia, rozognienia człowieka najzimmiejszego, przywiedzenia go ku czemu chciała. Wymogła więc nie ustępując, że Jan opisał jój szczegółowo przeszłe swoje życie, a wyznanie to szczere niejedną tajemną łzę go kosztowało. Kilka razy w ciągu opowiadania przerywała mu pytaniami, uzaleniem, ściśnięciem ręki, a gdy skończył, z zapalem i uniesieniem zawołała:

— Jesteś dziecicę ludu i dziecicę natury! podwójną teraz czuję ku tobie sympatyę. Czém jesteś, winienś tylko sobie. Szczery, szlachetny! otwarty! o! proszę cię, bądźmy przyjaciółmi. Ty umie malarstwa, ja ciebie tego, com sama z książek zaczerpnęła, nauki świata i życia, uczyć będę. Tyś ślepy jeszcze, mój bracie!... A teraz chodźmy do ciebie, chcę cię nawzajem odwiedzić. Mówią, że Lavater poznaje ludzi z pisma; ja uczę się ich z mieszkania. Chcę widzieć twoje.

— Miss Cromby, ja mieszkam daleko, i... dodał nie sam jeden.

— Jak to? z kimże? z kobietą może? spytała lekko się rumieniając.

— Nie, z Włochem Annibalem malarzem, który wczoraj był także z nami.

— Wiem! ten, co mi potakiwał nieustannie. Nie lubię potakujących.

— Myśli jak wy!

— Tém lepiej dla niego. Chcę widzieć roboty wasze; chodźmy, bez wymówki.

— Pieszko?

— Czemuż nie? Chodzę wiele i szybko; podaj mi rękę.

Zadzwoń!.

— Lecz w ulicy, sami we dwoje.

— Właśnie Negr mój Nero pójdzie za nami; a zresztą, co mi tam!

— Będą mówili..

— Niech mówią, i ja mówię o drugich, na zdrowie! Chodźmy..

To rzekłszy, schwyciła kapelusz popielaty z głowy posągn, wzięła laseczkę w rękę i zbiegła ze wschodów wołając Nerona. Neron, ogromny, straszny Negr, rzucił się ich śladami. Ona ciągnąc za sobą Jana, śmiała, żywa, lekka i dumna, leciała ze swobodą niepojętą w kobiecie.

Nie postrzegli się jak stanęli u drzwi, przez które dawał się słyszeć brzęk gitary. Jan domyślił się po fałszach, że Angiolina grała.

— Pozwól pani, rzekł, pójde naprzód. Annibal nie sam jeden.

— A! z kobietą zapewne?

— Zdaje mi się.

— Cóż nam to szkodzi! Kto ona? model wasz? Znam je wszystkie. Jéj imię?

— Angiolina.

— Prześliczna! znam ją, to i moja Venus. Chodźmy! czegoż stoimy? cóż ona mi szkodzi?

Annibal spał gdy weszli. Angiolina wyciągniona na ziemi na macie, oparta plecami o łóżko, grała z cicha na gitarze. Na widok Jana i miss Cromby, zerwała się żywo, zarumieniona, i składając ręce spytała:

— A! signora! wy tu co robicie?

— Widzisz Angiolino! przyszedłam zobaczyć roboty twoich dwóch malarzy... dwóch kochanków może?

— O! nie! Jan nie mój kochanek weale: to kamień czy kawał łodu półnoey, to...

I skrzywiła się, ale w téj chwili z za drzwi czerwiejąca twarz Negra uderzyła ją, zapomniawszy o wszystkich i poczęła się w niego wpatrywać, łamiąc ręce i kiwając głową.

— A! jaki czarny! jaki czarny, straszny heretyk! co za bestya okropna! a jak to ubrane!

I wyszła na wpół złąkniona, wpół rozdrażniona przypatrzeć mu się z blizka. Powiedzmy prawdę, zaczęła go balamucić, aby się przekonać, czy jest człowiekiem, tak jak na Markizach dzikie niewiasty przed umarłym lubieżne przybierają postaci, by sprawdzić, że nie żyje. Annibal zerwał się ze snu i powitał miss Rose. Ta zaledwie kiwnąwszy mu głową, poczęła oglądać roboty Jana. Zachwycona niemi unosiła się, chwaliła, przypatrywała i co chwila ścisnęła go z uczuciem za rękę.

Annibal trochę w miłości własnej obrażony, widząc, że mu się nie dostaje ani cząsteczka pochwal, tak hojnie Janowi sypanych, usiadł w kącie zachmurzony. Nareszcie portret Angioliny, w jej wdzięcznym narodowym stroju odmalowany dość szczęśliwie przez Włocha, zwrócił uwagę miss Cromby; zażądała go kupić od Annibala.

— Nie jest do sprzedania, odparł zimno.

— Moglibyście sobie zrobić drugi; wszak macie na zawołanie oryginał! szydersko rzekła Rosa.

— Chcę mieć i kopię.

— Do woli. Adio! Wy ze mną, nie prawdaż? spytała obracając się do Jana,—odprowadzicie mnie?

Opierać się było niepodobna; poszli razem. Angio-

lina długo jeszcze wyglądała niby za Negrem, a może więcej za Janem. Za kim z dwóch? zagadka, może za obudwoma. Annibal położył się na łóżku z gitarą, ona przyszła po chwili oprzeć głowę na jego kolanach, i śpiewała tak do późnej nocy stare włoskie piosenki.

Jan tymczasem powracał z miss Rosą do jej mieszkania; po drodze zatrzymywali się razem u posągów i fontann, mówili o sztuce. Angielka umiała suchać i zimną teorię sceptycyzmu i materjalizmu z ogniem i zapalem wykladać. Pod wpływem uroczych jej słówek, Jan czuł się silniej zachwiany w ciągu dnia jednego, niżeli długiem obcowaniem z Annibalem.

Przekonania jego chwiały się, niepokój był w duszy. Kobieta, jakby miała na sercu ku swój niewierze go nawrócić, o wszelkim przedmiocie w duchu swoim mówiła, wszędzie umiała wrzucić słówko znaczące, słówko, co wędzło w głowie słuchacza i rozwijało się później samo w cichych dumania godzinach.

Nie ma nasienia, co by łatwiej się przyjmowało nad sceptycyzm i niewiarę. Niszczyć daleko zawsze łatwiej niż tworzyć, trudniej nawracać niż wywracać. Nawrócenie jest dziełem natchnienia; wywrot robotą zimnej myśli. Natchnąć wiarę cud tylko może; lada głupiec zachwiać nią w słabym potrafi, a potem nigdy już ona nie wróci.

Miss Rosa do późnego wieczoru czytała Janowi, mówiła z nim, i takie potrafiła wzbudzić zaufanie, topiąc w nim niebieskie swe oczy, czarując niepojętym wdziękiem, że wyznał przed nią więcej niż przeszłe swe życie, bo stan terażniejszy duszy, walki z sobą, niepewność, pragnienie pozostania przy stariej wierze, którą miał za jedyną prawdę i jedyną szeptęcią rękojmię.

Angielka śmiała się z niego jak z dziecka, śmiechem, wymową, opowiadaniem i mamiącemi wielkimi słowy filozofii, postępu, światła, zdeptania przesądów. Oszalalego puściła nareszcie, ściskając silnie za rękę i mówiąc mu na pożegnanie:

— Powrócisz jutro?

— Jutro, nie wiem, mam godziny nauki.

— Ja chcę, ja wymagam! przyjdiesz?

I Jan przyjść obiecał. Nazajutrz znowu zatrzymała go długo; a gdy się rozstawał:

— Wiesz co? rzekła—mamy próżne mieszkanie. Sir Artur nie wróci tak prędko; każę ci malarnię urządzić u mnie, mieszkaj tutaj, to lepiej będzie.

— A ludzie?

— Znów ludzie! co mi ludzie! rozśmiała się.

— Lecz znaszże mnie dosyć?

— O! dziecię! Jakbym cię znała od kolebki! Umiesz się zakryć? No? nie prawdaż, że zgoda? Twój Annibal z Angioliną to nudne towarzystwo. Annibal bazgracz, bez duszy artysta; Angiolina ładne zwierzątko. Zechcesz ję dla wzoru, przyjdzie i tutaj. A tak będziemy razem!

— Prawdziwie, nie śmiem... nie wiem...

— Wahasz się! biedny! a więc pomówimy o tém jutro jeszcze, odezwała się, żegnając go z uśmiechem. Bądź zdrow, bracie! Chrześciance zwali się braćmi w Chrystusie; myśmy bracia przez sztukę i uczucia. Nie wiem co fatalnie ciągnie mnie ku tobie.

Jan, słysząc te ostatnie wyrazy, które były prawie wyrzeczeniem się chrześcijaństwa, zasmucił się odchodząc. Angielka zadziwiała go, pociągała ku sobie nrokiem niewytlómaczonym; ale zarazem czuł jakieś politowanie nad nią i jakby bolesne przeczucie wisza-

cego nad nią nieszczęścia. Były chwile, w których jasne lazurowe oczy téj kobiety niepostrzeżenie nabierały wyrazu zdradzającego wewnętrzną mękę, pokrytą pozorem tylko wesela i swobody.

Annibal i Angiolina byli w mieszkaniu, gdy Jan nadszedł. Jedli macaroni, których sobie przynieść kazali, i śmieli się do rozpuku. Obojgu ręce i policzki świeciły się od ciepłej oliwy, w której pływał przy smak ów włoski ubarwiony sosem pomidorowym. Włoch zobaczywszy Jana, nagle zamilkł, i ukośne puścił na niego spojrzenie. Na powitanie nie odpowiedział wedle zwyczaju, i widocznie skrzywił się jakby zagniewany. Myśląc, że ten zły humor przejdzie, Jan zaczął coś mówić, ale mruczenie tylko odbierając zamiast odpowiedzi, zamilkł także. Wieczorem o jakąś drobnostkę żywe wymówki począł Annibal robić Janowi; nazajutrz już się rozstawali.

O niewielkim zapasie, gdyż pensya królewska nie była wystarczająca i nieregularnie dochodziła, Jan musiał myśleć bardzo, jak sobie najać mieszkanie i utrzymać się, nie przypuszczając nawet, aby miss Rosa pod niebytność brata chciała, go u siebie umieścić. Lecz najniespodzianie, Nero, dwóch tragarzy i służący miss Cromby nadeszli po zabranie rzeczy Jana. Karteczka Rosy zapraszała go usilnie do przygotowanego mieszkania, pod pozorem lekeyj, których od niego żądała. Nie bardzo mając czas nad tém co robił zastanowić się, Jan pozwolił zabrać obrazy i rzeczy. Annibal poglądał na to gniewnie i zazdrośnie, pożegnał go zimno i szydersko, odwrócił się pogardliwie i usiadł do roboty.

Przyszedszy do hotelu Anglika, Jan nie zastał miss

Rosy, była na przechadzce w *villi Borghese*. Otworzono mu jego pokoje. Widocznie wybrane były jak dla malarza i wybornie oświecone: jeden bardzo obszerny do pracy, drugi dla spoczynku chłodny, zacieniony i miły. Tu znalazł Jan małą biblioteczkę i naczynie z kwiatami na konsoli marmurowej. Uderzyły go te przedmioty jako dowód troskliwości i pamięci miss Cromby. Biblioteczka składała się z owych ksiąg cheiwie naówczas czytanych, które gotowały wielkie burze światu w imię idei, postępu, ludzkości i światła; nowsi pisarze francuzey i angielsey, kilka sławnych romanów, kilka ksiąg pseudo filozoficznych zajmowało półki.

Jan oczekując przybycia miss Rosy, usiadł tymczasem czytać. W rękę mu wpadł Russo. Był to cały zbiór pism jego: *Illicza*, *Wyznania*, *Umowa społeczeńia*, *Listy*. Pisarz ten zdawał się stworzony dla Jana; od pierwszych kart uczul się pociągniętym ku niemu i cheiwie go już pożerał, gdy niespodzianie otworzyły się drzwi i w ubraniu z przechadzki weszła Rosa.

— A! przecię! jużes tu bracie! zawołała. Ciesząc się, zobaczysz jak ci dobrze będzie.

Jan odpowiedział jój niewyraźnem podziękowaniem.

— Teraz twoja godzina niewoli, godzina mojej lekeyi, chodź do mnie.

Poszli razem. Lekeye były wzajemne! Jan uczył malarstwa Angielkę; ona z całym zapalem nauczycielki, co nigdy jeszcze nie miała ucznia, zasady szkoły filozoficznej, któremi napojona była, przelewała w niego. Wszystko co XVIII-ty wiek wydobył z prochu historyi przeciwko wierze: uciski w jój imieniu dopelniane, inkwizycya, wojny, zabójstwa, zdrady, mordy przesunwały się w obrazach żywo kreślonych przed

oczyrna Jana. A nauczycielka tak była natchniona! wyraz jój każdy tak gorąco z duszy wyrzeczony! tak mówiący i przenikliwy!

Nauka ta trwała długo. Codziennie nauczycielka i uczeń, nauczyciel i uczennica stawali się sobie potrzebniejsi, miłsi, codzien poufalsi z sobą. Już kronika gorsząca plotła dziwy o ich pożyciu; a jednak, jak zawsze prawie, w tych pozornych bardzo plotkach nie było prawdy. Rosa i Jan żyli z sobą jak brat z siostrą.

W jój sercu może od pierwszego wejrzenia obudziło się czulsze i gorętsze uczucie, nsiłowało wyrobić wzajemność, ale dotąd napróżno. Jan patrzył z zachwyceniem na miss Cromby, długie godziny wlepiał oczy w jój twarzyczkę tak uroczego wdzięku, ale w sercu nie czuł ku niej nic nad przyjaźń prawdziwą, nad spokojne przywiązanie brata. Żadna inna struna w nim nie zadrgała. Często wieczory całe pędzili na długich samotnych przechadzkach, w których tylko z dala idący Nero im towarzyszył; często dni całe przepędzali obok siebie, oko w oko, dłoń w dłoni, z całą szczerością młodości z nczuć się swoich i myśli spowiadając. Ale Jan nie miał na sumieniu wielkiego grzechu miłości, z któregoby się choć mimowolnie wyspowiadał Rosie. Czekala ona, czekała, serce jój bilo, oczy płonęły lub lżą zachodziły,—on pozostał jak był.

— To przyjdzie z czasem, mówiła sobie,—to przyjdzie z czasem!

Ale czas ubiegał, a nie nie przychodziło. Jan kochał ją zawsze tylko jak siostrę, ona go już jak jedyną istotę na ziemi, z gwałtownością téj wyłącznej miłości, która się chwytła swego przedmiotu jak własności, która za nim, bez niego, nie widzi nic w świecie.

cie; pustynię tylko. Miss Rosa kochała pierwszy raz w życiu. Długo, długo nikt tego uczucia nie potrafił w niej wzbudzić; tu jedno wejście, gdy go idąc do Katakumb spotkała, zrobiło wszystko. Dla tego miss Cromby tak silnie przywiązała się do Jana, tak gwałtownie chciała go przyciągnąć ku sobie—obawiała się, iż nigdy już więcej kochać nie potrafi. Względem nro-dzenia, nierówności snam, były dla niej przesądem, nie zważała na nie zresztą—kochała. Miłość ta była już tak gwałtowna po kilku miesiącach pobytu razem, że jeden Jan uparcie w niej tylko szczerą przyjaźń mógł upatrywać.

Dokola zaś powiadano głośno, że miss Rosa była kochanką Jana, może nawet zaślubioną przez niego tajemnie. Annibal zazdrościł mu bogatego ożenienia!! filozof! Jan tymczasem gorące objawienia uczuć biorąc za właściwość charakteru Angielki, nie nie rozumiał, niczego domyślać się nie chciał.

Po kilku tygodniach próżnego usilowania, nauczycielka stała się milezącą i smutną. Całe dni przepędzała w mileczeniu, oparta na kanapie lub przed trójnogiem z pendzlem w ręku, a nie mogąc malować. Raz tak zastał ją Jan smutnie zamyśloną, i zbliżywszy się powoli, wziął za rękę, mówiąc po cichu:

— Miss Cromby, co to wam?

— Co mi jest? podnosząc ławę oczy zawolala. Co mi jest? nie wiesz?

— Jakże mam wiedzieć? Widzę tylko od niejaki-go czasu smutek, roztargnienie, zamyślenie, powodu nie wiem. Powiedz mi go szczerze!

— Nie wiesz powodu! nie wiesz! powtórzyła smutnie. I nigdy go wiedzieć może nie będziesz. Po co? dla czego? dodała jakby do siebie mówiąc.

— Spodziewam się, że mi to powiesz! rzekł Jan. Może potrafię cię pocieszyć, poradzić, może...

— Gdybyś chciał! a raczej gdybyś mógł!

— O chęci możesz wątpić? Lecz jest-li w mojej to mocy?

— W twojej i nie twojej! mógłbyś a nie możesz. O! nie pytaj Janie, nie pytaj, na co ci wiedzieć na to biedna twoja siostra choruje? Choroba nienleczona, smutna, kończy się śmiercią. A śmierć, drogi mój bracie, to sen bez przebudzenia, to sen bez marzeń, mówi nasz Shakespeare... kto wie czy bez marzeń? kto wie sen to jaki?

I pierwszy raz pod panowaniem silnego uczucia miss Rosa, za śmiercią i zniszczeniem cielesnym, rzuciła to wielkie: *Peut-être!* którego wprzód nie było dla niej. Wprzód widziała tam nicosć, gdzie dziś bijące uczuciem serce już jej jakieś wskazywało życie. Nigdy rozum zimny, niewsparty uczuciem nie zaprowadzi człowieka w te nieprzystępne krainy. Zawsze wiodłem podróżnego serce. Wiara też nie w rozumie, ale w sercu; a w rękach ciekawego rozumu ona się rozpada jak blaski tęczowe, gdy dziecię schwytać je pragnie.

— Nie! dodała: to sen wieczysty, to zapomnienie, to zniszczenie i nie więcej.

I powstała od trójnoga, rozrzucając wokół siebie co trzymała w rękach. Padła na sofę i płakać poczęła.

— Miss Rosa, na Boga cię zaklinam, powiedz co to jest?

— Na Boga? powtórzyła z uśmiechem,—i straszne bluźnierstwo z chorą wyrwało się duszy. Jestże on tą istotą pełną dobroci, której dzieci cierpia tyle?

która patrzy nie wiem z kądem, patrzy i nie wyciągnie im ręki?

Jan osłupiał.

— Cierpisz, rzekł: podzielmy to cierpienie, proszę, powiedz mi, powiedz je. Ty wiesz miss Cromby, że cię kocham jak brat, że dałbym życie dla ciebie.

— Tak, szepnęła Angielka po cichu—tylko jak brat! Na co mi twoje życie, gdy nie mogę mieć serca? Nie proś—rzekła głośno—nie chciój wiedzieć tego: nie mi nie pomożesz, nie Janie; choroba to nieuleczona.

— Lżyć jej przecie można?

— Nie! pogorszyć tylko!

— Droga miss Cromby!

Ona spojrzała oblakanyim wzrokiem na niego:

— Janie, rzekła: nie dopytuj się, na Boga, na tego Boga, na któregoś mnie zaklinał!

— Tajemnica! Więc nie chcę jej wiedzieć.

— Nie mam dla ciebie tajemnic...

— Cóż więc takiego kryjesz?

Czolo dziewczyny pokryło się znówu rumieńcem, westchnęła cicho, pomyślała, potem jak gdyby nagle myśl ją uderzyła.

— Słuchaj, rzekła: daj mi słowo, daj słowo uczciwego człowieka, a wiesz jak wysoko cenię godność ludzką, że cokolwiek się dowiesz odemnie, nie naszych stosunków nie zmienię.

— Możeszże wątpić miss Rosa? zawołał Jan, któremu myśl przebiegła po głowie, że ona kogoś kochać musi, że go posądza także o miłość ku sobie, odpowiedzieć jej nie mogąc. Zannmienił się, zatrząsł.

— Jeśli kochasz kogoś, siostró, rzekł szybko—jeśli kochasz, czemuż mi powiedzieć nie możesz? Myślisz, że

ja cię także kocham tajemnie? nie prawdaż? Nic chciałabyś wyznaniem przywiązania dla kogo innego odepchnąć tego, któremu zostawiłaś tylko przyjaźń swoją? O miss Rosa! jakże mnie nie znasz! Śmiałżebyś ja kochać ciebie, podnieść oczy tak wysoko? do tego domu, do któregoś mnie ze szlachetnym zaufaniem wprowadziła, wejść z: myślą zwodziciela, z podejściem? zdradą opłacać przyjaźń? Ty myślisz to pewnie; lecz przysięgam ci, brat nie kocha cię więcej, nie kocha cię czyściej, nie kocha cię inaczej.

Te słowa wyrzeczone z zapalem, porwawszy się z siedzenia wysłuchiwała Rosa, i padła znowu, zakrywając twarz rękoma. Wyznanie Jana uderzyło ją w serce.

— Co to jest? spytał po chwili: nie chcesz mi odpowiedzieć? gniewasz się? wątpisz?

Kobieta płakała.

— Na Boga! oszaleję! zawołał Jan: wytłómacz mi, zlituj się.

— I w tém nieszczęściu mojem, że zrozumieć mnie nie możesz, płacząc i padając mu do nóg wyrzekła Augielka. Nie rozumiesz, że cię kocham; nie rozumiesz, żeś mnie zabił; że chcę być twoją; żeś ty mi jeden na świecie; że bez ciebie jam ciało bez duszy, zginiona, umarła.

Jan słuchał i nie rozumiał, wlepił w nią oczy, zadrżał i rzucił się ku drzwiom. Rosa pobiegła za nim z gwałtownością niesłychaną, pochwyciła go za rękę, którą do bolu ścisnęła mu i żywo zawołała:

— Daleś mi słowo, że cokolwiek powiem, nie stosunków naszych nie zmieni. Daleś mi słowo, pamiętaj! Nie uciekaj, bo umrę. Janie mój! nie uchodź, nie zostawij mnie samą. Nie nie chcę od ciebie, tylko

żebyś ze mną pozostał. Zapomnij co mówiła, jeśli możesz; będę wesolą, będę spokojną, ale nie uchodź odemnie. Czego chcesz? uśmiechu? roztrzepania? śpiewu? udam uśmiech, roztrzepanie, zaśpiewam, nawet spokojność odegram przed tobą, choć mi serce wrzeć będzie, ale nie odehodzi! Bo—dodała powoli z mocą największą—dając ci słowo kobiety i słowo człowieka: jeśli uciekniesz, umrę. Nie będę czekała śmierci i siedziała z założonymi rękoma, ale pójdę sama przeciwko niej. Tak, umrę!

Po tej scenie poruszającej, Jan pozostał wprawdzie, ale ani wdzięki Rosy, ani nawet wyznanie nie obudziło w sercu jego uczucia, które nigdy na zawołanie nie przychodzi. Kochał ją jak brat. Rosa spodziewała się, że urodzi się miłość, czekała na nią, wyglądała, widziała czasem gdzie jej nie było weale, cieszyła się, to znów wpadała w zadumanie, milczenie i rozpaczliwą odrętwiałość.

— Gdybym wiedziała kogo on kocha, mówiła w duszy: poszłabym i zabiła ją. Ale on nikogo nie kocha, jakieś może wspomnienie... najniebezpieczniejsza z miłości, bo odczarować się nie może. Czekajmy, czas ją zwycięży.

Tak płynęły miesiące. Życie Jana nie zmieniło się: napróżno chciał kilkakroć usunąć się z domu tego i ukryć; nie mógł, nie puszczono go. Szpiegowany, otoczony sługami, kroku uczynić swobodnie nie potrafił. Brat miss Rosy przybył z Neapolu, zastał gościa w domu, nie zadziwił się temu weale, wstrząsnął go tylko silnie za rękę, opowiadał przez dwa wieczory o życiu rybaczem, które wiódł w golfie, a trzeciego dnia odjechał do Syceylii, zostawiając ich znów samych.

Czy widział czy nie widział co się działo w domu, nie wiem. Cały teraz zajęty był ubraniem sycylijskiem i Sycylią, do której chciał już przybyć o ile możności Sycylijezkiem. Jan malował, czytał, i rozczarowując się codziennymi książkami, które początek życia ścierały pod pozorem przesądów, doskonalił się w sztuce coraz bardziej. Landi uznał, że go nie nustrze nie nauczą więcej, że sam sobie najlepszym być może. Ciągłe zapatrywanie się na arcydzieła wyrobiło w nim smak, niezucie prawdziwego piękna, i wtajemniczyło go w najtrudniej nabywające się, językiem nigdy nieokreślone, arkana sztuki.

Miss Rosa już nie malowała wcale. Od pierwszój owój rozmowy, nie mówiła więcej z Janem o niłości swój, stała się zimną na pozór, dumną, szyderską nawet czasem; ale w oczach to błyszczących ogniem, to płaczących tajemnie, czytać było można niezucie tłumione. Siadala często na koni i latała po okolicy aż do znużenia, starała się o silnie wstrząsające wrażenia, szalała, zatapiała się w ulubionych książkach; ale na tę chorobę co ją trawiła, nigdzie, w niczem nie znajdowała lekarstwa. Janowi zdawało się, że oddalenie być niem może jedynie; a chociaż miss powtarzała mu często, że dał jój słowo pozostać, zamyslał usunąć się i pracował nad tém, aby ujść niepostrzeżony. Obrazy swoje porozsyłał powoli w różne miejsca pod różnemi pozorami, i Angielka nie sprzeciwiała się temu; rzeczy nie miał prawie,—i jednego wieczoru niepostrzeżony zszedł ze wschodów z bijącym sercem i smutkiem w duszy, bo cierpienie zostawiał za sobą. Zdawało mu się, że nikt nie wie o jego zamiarze nieczeki, nikt go o nią nie pesądza. Zaledwie minął bramę

palacu, gdy z okna głos Rosy dał się słyszeć z cichéu: *Adio.*

Podniósł głowę.

— Idziesz—rzekła łagodnie—idziesz bez powrotu, uciekasz odenmie! Nie wstrzymuję 'cię więcéj. Bądź zdrów i szczęśliwszy odenmie.

Okno żywo się zamknęło.

Jan pozostawszy sam, nie wiedział co miał czynić: powrócić czy nieiekać?

— A! rzekł w sobie: zegna mnie spokojnie, nie wstrzymuje; siła więc téj nieszczęsnéj naniętności minęła już, zapomni i wspomnienie czas zatrze.

Spojrzał w okno, westchnął i odszedł.

Na odleglęj uliczce tydzień spędził zupełnie samotny, smutny nie wiedząc czemu, rozdrażniony, cierpiący. Zaczynał czuć rodzące się jakieś przywiązanie, którego wprzód nie miał; chciał ją widzieć, chciał ku niéj powrócić, głowa mu się paliła, sny dzikie chodziły po niéj; pytał siebie sto razy na dzień: „Kochamże ją teraz?” Może już kochał ją biedny, ale silną wolą wstrzymywał się, by do niéj nie wrócić. Tak kilka dni zeszło, gdy wieczorem zastukano do jego izdebki.

Pozwał głos sir Artura, i nim miał czas zaryglować się od niego, już Anglik wszedł z pudełkiem pod pachą, uklonił się, postawił je w milezeniu na stole, otarł pot z czoła, dobył papier z kieszeni i podał go Janowi.

Był to testament miss Rosy.

— Co to jest? zakrzyzczał Jan oblakany.

— Co? Ostatnia wola umarléj.

— Umarlój?

— Tak, utopila się w Tybrze... dość zimno na pozór rzekł sir Artur.

— Kiedy?

— O! blisko tydzień już temu. Nie wiecie, *per Baccho!* nie wiecie! wy! a to pocieszenie! *Ci spetto!* nie wiecie! przecież wam zapisała piękne dobra w starłej *merry England*.

— Ona! mnie!

— A tak! czytacie, siadając rzekł sir Artur. Czytacie-no tylko; dowiedzie się powoli wszystkiego... Cóż to za cimpka! mówił do siebie. Jak trudno mi was wyszukać było!

Ale Jan pogrążony w boleści nieprzytomnej, która zdaje się na chwilę odbierać człowiekowi uczucie nawet jego osobistości i maści wszystkie myśli, leżał na posłaniu zbladły, z zaciętymi nsty, omdlał.

Sir Artur dość niezręcznie znalazł mu twarz zimną wodą, i potraszając go za rękę, rzekł:

— Panie artyście! obudź się. Lepiej było nieco wprzódy mieć trochę więcej uczucia. Mamy z sobą do pomówienia.

Jan otworzył oczy, zawołał:

— Umarła! dla mnie!... i gorzko płakać począł.

— Tak, umarła dla was—zawsze na pozór zimno mówił sir Artur—zapisując wam piękne majątności odziedziczone po matce i ciotce. To dobrze; ale kto mi za jej śmierć odpowie? Miałem jedną tylko siostrę, i kochałem ją szczerze. Tak! kochałem ją choć po ciachu i tajemnie, jak się kocha jedyną istotę, co nas obchodzi na ziemi. Ona mnie wiązała z Anglią. Teraz nie mam nikogo. Jeden z nas musi paść—dodał wskazując na pudełko,—będziemy się strzelali. Tak, będziemy strzelali się na śmierć.

Jan się wzdrygnął.

— Boisz się? spytał Anglik. Musisz jednak bić się, powiedziałem ci. Strzelać się będziemy na grobie Rosy, którą kazalem pochować na ementarzu Świętego Kaliksta, nad temi Katakumbami, które na nieszczęście nasze razem zwiedzaliśmy. Ażebyście zaś nie myśleli, że was chcę zabić, abym wydarł spadek po siostrze...

— Spadek! majątek! gorzko rzekł Jan: możecież mówić nawet o tém, w téj chwili?

— Mogę mówić, bo bardzo cierpię i nie gram komedyi, dodał Anglik z flegmą. Jeśli was zabiję, to dobra rozdam na szpitale, zwrócę krewnym waćpana, jak zechcesz. Lub posłuchaj. Złożę religijny jaki zakład wychowania. Niewiara zabiła Rosę. Chrześciana była by się modliła, płakała, zaponniała lub cierpiała z rezygnacją.

— Wolalbyś pan, żeby cierpiała a żyła? cierpko rzekł Jan.

— Wolalbym, bo miałbym zawsze uleczenia jęj nadzieję; pojechałbym z nią do Kairu, pod piramidy, do Indyi; nie ma bolu, którego by czas i podróże nie uleczyły. Wierze mi... Ale godzimy lecać, a ja muszę was zabić jak najrychlej. A zatem, chodźmy.

— Dokąd?

— Na ementarz Świętego Kaliksta; na grób Rosy.

— W nocy?

— Tém lepiej! strzelamy się na plaszczu, *à bout portant*, chybić nie można. Jeden z nas padnie. Ciągniemy losy o pistolety: jeden z nich tylko nabity.

Jan z zinną krwią poszedł za Anglikiem, chociaż zataczając się chwilami; lzy wielkie wzbierały i upa-

dały mu z powiek. Księżyc przyświecał idącym powoli, w milczeniu, starą drogą Appijską.

Na świeżej, gładkiej i zimnej płycie marmuru, która pokrywała grobowiec biednej dziewczyny, Artur rozlewał swój płaszc, ukląkł i pomodlił się najprzód. Jan już nie umiał się modlić, zapłakał, skrzyżował ręce, czekał. Anglik podał mu dwa pistolety Lazara do wyboru. Pochwycił jeden z nich Jan, stanęli przeciwko sobie, podali dłonie za znak przebaczenia i strzelili.

Artur upadł na wicko grobowe, a głowa jego, przez której usta krew się rzuciła, zatoczyła się zimna po za marmur, na zieloną murawę; chrapliwy głos konania dał się słyszeć—niechło...

Nazajutrz tłum ludzi cisnął się na cmentarz Świętego Kaliksta, gdzie znaleziono trupa Anglika, który, jak powiadano, zastrzelił się z rozpacz na grobie ukochanej siostry. Ręka jego skrzepla i skostniała cisuła jeszcze pistolet wystrzelony. Wywleczono ciało biedaka za poświęcony obręb, i pochowano gdzieś w ruinach bez żadnego obrzędu. Dwór tylko i ludzie Artura, którzy go niewymownie żalowali, towarzyszyli cichemu pogrzebowi.

Jan z gorączką wspomnień niecznośnych, wywłókł się z Rzymu, aby zwiedzić Włochy. Przebiegł grody sławniejsze Italii, a dłużej niż w innych zamieszkał w ojczyźnie Batranięgo, Florencyi.

Jako malarz zyskiwał on co chwila nowe sily, nowych dochodził tajemnie, nowych nabywał przymiotów; lecz jako człowiek utracił co miał najdroższego: wiarę, ze wszystkiém czém ona życie ozlaca. Ta nie czarodziejska, co łączy duszę z niebem, zerwana była dla niego.

Obojętny, milezący, chłodny, machinalnie prawie szedł drogą, którą wprzód sobie wyznaczył.

Jedno wspomnienie matki sercem jego wzrnszyło czasem, i to tylko wspomnienie rodziło tęsknotę do kraju, gdzie nie więcej, nawet twarzączka Jagńsi zapomnianej już go nie wabiła.

Na wygasłym popielisku miłość synowska stała jeszcze ostatnią świecę iskierką.

Czasami zadumany tęsknił po domu, myślał o chatce, gdzie nad kądzielą stara o nim myślała matka, w nieznany kraj za synem nie mogąc nawet puścić myśli. Czasem wyobrażał ją sobie chorą, w niedostatku, płaczącą nad synem, którego zobaczyć rozpaczala, — i porwany nieopisanym jakimś niepokojem, nagle z Florencyi puścił się do kraju. Podróż tę, pozbawiony zasilków, musiał odbyć powolnie i pieszo, a z coraz wzrastającą niespokojnością. Niepokój ten równał się chorobie. Gdy stanął na granicy swj ziemi, pierwszy raz od dawna lżą zaszyły mu powieki, serce zabiło młodością, obejrzał i rozmierzył co utracił a co zyskał w podróży. Zyski nie nagrażały strat niepowetowanych: Jan nie mógł się już modlić.

Lecz ze wstąpieniem na ziemię rodzinną uczuł przynajmniej potrzebę modlitwy i wielkość swj straty.

Powracający z Rzymu Jan, zaledwie się zatrzymał w stolicy, którą wielce znalazł zmienioną. Król nie mógł go widzieć nawet, tak był w tój chwili zajęty sobą i wypadkami, co go otaczały groźne, naglące. Zna-

jemu dawni rozpierzełli się. Grób tylko Feliksa znalazł na Powązkowskim cmentarzu, którego krzyż drewniany, nadgniły i pochylony groził upadkiem. Położywszy trwalszy nieco od drzewa kawałek kamienia przyjacielowi i pożegnawszy Warszawę, Jan śmiertelnie smutny, targany niepokojem, który go gnał ku matce, nie mając już nawet środków dostania się do niej, tak resztę grosza stracił w drodze, sprzedać tu musiał za bezcen kilka kopij przywiezionych z Rzymu, aby za nie dojechać do Brzozowego Ługu co najrychlejš. Od roku już wieści nawet nie miał o jedynéj istocie wiążącej go do ziemi, o matce. Przyszłość wydawała mu się zewsząd chmurną i groźną. Kraj nie był wcale w owym stanie spokoju i świetności, który sprzyja sztukom i literaturze; wszystko wrzało jak w chwili pożaru.

Serce nie ze wszystkiém jeszcze odrętwiałe ciągnęło go do staréj chaty na Litwie... mizernéj, ubogiéj chatki gdzie się urodził, gdzie pierwsze lata dzieciństwa spędził, nie śniąc nawet takiéj, jaka mu zgotowana była, przyszłości. Niepokój wewnętrzny mówił mu, że tam go może czeka matka sił ostatkiem, aby pożegnać i pobłogosławić.

Ale od stolicy (gdzie Jan spotkał się z wyprawionemi inną drogą obrazami i pakunkiem dość znacznym) opóźniła się podróż dla niedostateczności funduszków na jéj odbycie i niepewnego stanu kraju. Obrazy, studia, książki, były mu ostatnimi pamiątki pobytu we Włoszech; rozstać się z niemi nie miał siły, obawiał się o nie i włókl się za niemi powolnie.

Sto razy wstrzymywany w drodze przez różne partye wojsk krzyżujących się po kraju i niszczących go

pod pozorem ocalenia—dostał się nareszcie do rodzinnego miasteczka.

Na widok kościoła Kapucynów i dworka uboższego, którego komin dymił w oddaleniu, Iza mu się dawno niewidziana znowu zakręciła w oku. Chmurny i smutny wieczór kradł ten widok pożądany; resztę drogi musiał już odbyć po ciemku i na oślep. Serce go prowadziło.

Gdy ciężka bryka wtoczyła się w dziedziniec, stara Małgorzata ukazała się w progu pochylonej chaty.

— Moja matka? spytał Jan, rzucając się niespokojny naprzeciw niej.

— Żyje biedniaczka, żyje! odparła żywo staruszka—choć Bóg widzi, lepiej żeby ją wziął do chwały swojej, tak wiele cierpi! Od pół roku z łóżka nie wstaje, paraliżem ruszona, codzień zdaje się konać a skonać nie może. Wiele to my ją razy kładli na ziemi, myśląc, że tak lżej będzie wyjść duszy z ciała! Ale ucie! Od czasu jak język odzyskała, ciągle powtarza: „Mnszę czekać na Jana, pobłogosławić go i umrzeć.” Litościwy doktor, co ją odwiedzał, trzy razy naznaczał jej termin. Ale nie! ona taki zawsze go przebyła i powtarza: „Mnszę czekać Jana.”

Zaledwie dosłuchawszy tego; Jan pośpieszył do izby.

Tu okropny przedstawił mu się widok. Uboga chata jeszcze bardziej była odarta, uboższa, puścieszka od czasu jak ją opuścił; łóżko chorej pokryte ohydncmi lachmany, w ognisku ledwie głowienka smutnie dogorywająca. Zimno, pusto, wiatr chodził ze ścian i sufitu się wkradając, podłoga cała przesiąkła wilgocią i porosła pleśnią. Ściany okopcone od dymu, czarne,

wiadro z wodą u drzwi, garnek nadbity na kominiarce, dzban na stole i trochę okruszyn razowego chleba. Serce się ścisnęło, patrząc na tę nędzę tak nagą i tak straszną; szpital nie byłby okropniejszy.

Zaledwie Jan ukazał się na progu, matka, która od pół roku wstać i ruszyć się nie mogła, podniosła się wprost na łóżku, błyszczące jak szkło otworzyła oczy, a usta jej zawołały głośno, wyraźnie:

— Mój Jan! mój Jan! Spiesz się, czekałam na ciebie! umrzeć nie mogłam, ach! a tak ciężkie życie! Niech cię pobłogosławię...

Syn we łzach przykląkł przed nią, ona złożyła ręce na głowie jego, ucałowała czoło synowskie, dwie łzy szkliste potoczyły się po bladej i zmarszczonей twarzy, i już kostnicę poczynala, opadając bez władzy i ruchu.

— Wody! wody! ratunku! zawołał Jan nieprzytomny.

A Małgorzata zbliżając się rzekła:

— Na co wody, paneczku? Nieboraczka zmarła już dzięki Bogu!

Spojrzał syn i postrzegł, że prawdę mówiła stara. Dobył sił dla zamknięcia jej powiek jeszcze we łcie otwartych, i usiadł obok łóża nędzy na ławie, powtarzając w duszy machinalnie:

— Za późno wróciłem! mój powrot ją zabił! mój powrot ją zabił!

Cała noc zeszła mu u lichego łóża umarlęj, której nędzę i męczarnie sobie wyrzucał.

— Nie lepiej było — mówił — pozostać tu przy niej, wspomagać ją w starości, uprawiać ten ziemi kawałek i żyć tēm życiem, którém żył ojciec, dziad; życiem eichem, nieczuanem, ukrytego w trawie robaka? Cożem

zyskał? Wielkie myśli, które zginą ze mną, wielki niepokój i niepewność, męczarnie! Straciłem jedno serce, które mnie koehało na ziemi, jedno i jedyne. O! dla sztuki jak dla wiary czyż wszystkiego się zaprzec, wszystkiego wyrzec potrzeba, wszystko jej spalić na ofiarę?

W gniewie na siebie, w smutku głębokim przebył noc całą na ławie. Ten domek osierocony teraz, którego został dziedzicem, był mu drogą pamiątką cierpień i życia matki. Nie miał krewnych, przyjaciela, opiekuna, nikogo. Co pzezać z sobą? Świat był mu obojętny, a wielka świeża strata zmniejszyła jeszcze jego wartość.

Nad rankiem Małgorzata, z babami przybyłemi z miasteczka, pzezęła się zaprzatać około pogrzebu, umywać ciało, ubierać je dla wystawienia na tapczanie w pośrodku jedynej izdebki. Twarz zmarłej świeciła pokojem, jakby błogosławieństwo, które oddała Janowi, wszystkie nici łączące ją ze światem cierpień, zerwało.

— Paneczku! zawołała Małgorzata: a macieź wy na pogrzeb pieniądze?

To zapytanie dopiero przywołało Jana do rzeczywistości. Ostatniej posługi matce nie było oddać za co! kilkanaście złotych całą było pozostałością, z którą przyjechał Jan.

— U nas wątpić, żeby był jaki grosz, mówiła stara; bo jejmość żyła ubogo, skapiła strasznie, odmawiała sobie wszystkiego, a pracowała, że aż oczy traciła biedniaczka. Gdyby miała, toćby sobie tak nie żalowała, i słudze starzej a wierniej. A Bóg widzi, żeśmy cały rok pościli i w łataném chodziły tylko, nawet do kościoła. Pod poduszczyną są klucze; niech-no pa-

niez je weźmie; pójdziemy, a poszukamy odzienia dla nieboszezki.

Machinalnie powlókł się Jan do bokówki, gdzie stała jedyna skrzynia, ale zupełnie pusta. Trochę w niej tylko bielizny, kilka zużytych galganów...

— Gdzież się podziały jej zapasy odzienia, sukni? spytał syn. Czemuż nie odezwała się do mnie o pomoc? Bylbym dał duszę, a przysłał jej coby chciała! A! taka nędza! taka nędza!

Wtém Małgorzata podniosła brudny kawał płótna i krzyknęła:

— Toż co? A toż co? W imię Jezusa Pana! Toć to worek z pieniędzmi!

W istocie, spory wór z prostego płótna leżał w kącie galganami pokryty.

Przy nim była karteczka szara, wydartą z książki od nabożeństwa, a na niej krzyżyk skreślony niezgrabnie i napisane nieforemnie słowa: „Dla mojego Jana.”

Syn w rozpaczę zalał rękę, padł czelem na skrzynie.

Cale jej życie dobrowolnej nędzy, pracy bez spoczynku, z utratą zdrowia, składało się na ten dar pośmiertny. Ona była sercem cała, cała matką. Małgorzata zdumiona stała, ruszyć się nie mogąc, i wyrzucając sobie zapewne, że wprzód nie doszła bytności tego worka, który teraz przechodził na własność Jana. Jan ucałował go ze łzami, ale w sercu rzekł:

— Nie tknę grosza z niego! święte to pieniądze! bo z wielkém poświęceniem zebrane, pójdą za duszę twoją, na grób twój i pogrzeb, dla jedyniej slugi, co lepszym była dziecięciem odemnie. Jam ich niegodzien.

Nazajutrz wspaniały, na jaki tylko zdobyć się było można, pogrzeb zdziwił miasteczko i okolicę. Zbieg-

li się nań wszyscy z sąsiedztwa. Kościół wystąpił z całym przepychem wiejskim; a tłumy szły za trumną biednej matki, którą syn utrzymywał na wozie czarnemi wołami ciągnionym.

Reszta pieniędzy pozostała na msze, na pomnik, na wynagrodzenie Małgorzaty, której oddał wszelki sprzęt po matce, i na jałmużny. Krzyż tylko, medalik noszony na piersiach, włosów trochę i srebrny ślubny pierścionek zatrzymał Jan dla siebie.

Oddać się z tego miejsca potrzeba było, a trudno dla serec. Komu powierzyć dom? komu zadzierżawić rolę? godziło się ją sprzedać? Tęj myśli Jan przypuszczać nie mógł. W kilka dni sąsiedzi zaczęli przybywać z propozycjami nabycia, mniej więcej korzystnymi, ale zawsze poczynając od tego, że kawalek ten nie wart, i że tylko dla niego, przez szczególny wzgląd, przez przyjaźń, przez jakiś affekt nagły i gwałtowny, dać mogą tyle a tyle. Każdy niby z łaski go chciał kupić.

Jan wszystkim podziękował i odpowiedział, że nie sprzeda.

Strzelec sąsiednich lasów zadzierżawił chatę i rolę z warunkiem, aby w niej nie odmieniał i wszystko pozostało jak za życia matki było. Odwiedziwszy Kapcynów i grób matki, na którym odzyskał pragnienie modlitwy i pobożność młodzieńczą gdyby cudem, Jan ruszył do Wilna. Wspomnienia młodości wiodły go tam na lep swój zdradziecki. Było to jedyne miejsce, z którego mu zostały pamiątki mile i pociągające; ale między odjazdem a przybyciem taka rzeka lat i kalu przepłynęła, tyle wypadków i nieznę! Wszystko tam teraz okrutnie do niepoznania zastał zmieni-
nione.

Ledwie wysiadłszy, poszedł pytać o Batrani'ego. Stary Włoch umarł; wdowa po nim z dziećmi pozostała zubożała i wiodła najnędzniejsze życie w domu na Zarzeczu, gdzie wynajmując resztę lokatorom, sama stała, na tyłach. Długi nieopatrznie zaciągnięte dojadły ją i groziły najzupełniejszym niedostatkiem. Jan czując obowiązki dla rodziny Batrani'ego, pośpieszył ku niej.

Niedaleko od mostu, ku rzece posunięty, w części na palach oparty, stał lichy domek, w połowie drewniany, w połowie z muru starego. Pochylony, z dawną niepodparty i niepoprawiany, brudny, zdawał się grozić upadkiem; ze wstrętem zbliżał się każdy ku niemu, tak niechlujne otaczały go kałuże. Mieszkańcy, po większej części zameszniey i skórnicy, których tu bliskość rzeki zwabiała, obrzydliwemi wyziewami fabryki napelniali powietrze. Mydlarz Żyd mieścił się z nimi na dole. Sznury pozawieszane skórami przecinały dziedzinice w różnych kierunkach; kupy garbarskich reszt zalegały wszędzie, a smrodliwy rynsztok wiodł wody i fusy mydlarskie do rzeki, która je zabierała z sobą. Czarna polamana galerya okrążała wewnątrz czworoscienne domowstwo, wspierając dachy nadgnile budowli. Tu, dawniej pieszczona Maryetta, mieściła się w dwóch ciemnych izbach z dziećmi, które podrosły i popsuley się zaniedbaniem i nędzą. Syn starszy wyrósł na hul-taja, rozpieszczony i ukochany; młodsze wyuczyły się złego, znękanego i prześladowanego od matki. Znicnawidzeni przez nią biedni Batrani'ego ulubieńcy chodzili w lachmanach; a starszy przepijał i tracił co zarwał, powracając do matki niemal codzień pijany, obity, obdarty, jeśli nie nocował pod wartą.

Na widok tego przerażającego obrazu serce Jana

się wzruszyło, zapłakał. Wszystkie roboty męża posprzedawała żona za bezcen, nie nie zostawiwszy nawet na pamiątkę, i wyrzucając biednemu zmarłemu nędzę, której sama była przyczyną, którą zwiększał nieład i rozpusta najohydniejsza.

— O! toż ma być los dzieci biednego artysty? spytał się Jan w duszy. Nie! nie! to być nie może.

Dawniej tak piękna Maryetta, teraz z zagasłemi oczyma, wychudła, obrukana, schorowana, przyjęła gościa, nie poznając go i nie umiejąc sobie wytłómaczyć co sprowadzało tutaj porządnie ubranego mężczyznę.

Ledwie się jęj potrafił przypomnieć. Zaczzerwieniła się, zapalczywém na niego i dumném rzuciła okiem. Niechęć, gniew, nienawiść jeszcze w tém dzikiém sercu nie były całkiem zagasły.

— Idź pan sobie! zawołała wzgardliwie: nie nie potrzebuję od niego! Batrani twój pocziwy zostawił mnie z dzieciskami swemi w nędzy. Bodaj cierpiał na tamtym świecie jak ja tu cierpieć, głupia, com za niego poszła! Nie przypominaj mi go, abym nie kłęła.

A gdy Jan drżącym głosem spytał o ryciny lub obrazy, czyby ich nabyć nie mógł? z przekłęt看em bezwstydném i obrzydliwém, zamknęła mu drzwi przed nosem kobieta.

Ale zaledwie kilka kroków odszedł za wrota, starszy synek jejmości dogonił go w ulicy.

— Jegomość! zawołał kiwając ręką na niego i stając nad rynsztokiem, w który pluł dla zabawki.

— Co chcesz?

— Daj mi jegomość dwa złote na piwo!—I zrobił minę głupowato-uśmiechniętą wyciągając rękę.—Ja przyniosę za to rysunek ojcowski. Było ich wprzód dużo i na płótnie i na papierze, ale dyabli wzięli.

Jan żywo wyciągnął rękę ku niemu, podając mu pieniądze, i uciekł.

Obrawszy sobie ubogie mieszkanie na Zankowej ulicy, może przez pamięć, że tu mieszkał z Batraniem, którego polecenie spełnił, modląc się jak umiał na grobie jego matki we Florencyi,—Jan począł myśleć, co poczuć i jak żyć dalej będzie?

Dotąd zadaniem jego była sama sztuka; teraz się odkrywała druga strona, strona czarua zagadki:—zastosowanie sztuki do życia, pogodzenie obojga. Poświęcić się dla materjalizmu korzyści i bytu dobrego, obrócić natchnienie w chleb, godziło się? Pomyślawszy, że w téj drodze za zarobkiem nieraz przyjdzie zaprzeć się sztuki, zdeptać myśl i poniżyć się do wyrobów bezdusznych, drżał i oburzał się artysta. W pełni życia, talentu, sily, czuł się usposobionym do tworzenia, do wydania swych myśli; ale w kraju, który mu los wydzielił, jak było użyć talentu? kto go potrafi ocenić? kto go nagrodzi współczuciem? Czasy Stanisławowskiej stypy przeobdziły, walką wrzał kraj cały; obraz i dzieło sztuki w obliczu wążących się wielkich losów ludu, były nizeczemne, nieznaczące. Co pozostawało artyście? Czekać i cierpieć.

Tak, ale i żyć było potrzeba.

Jan więc musiał wynijść z apatyi, ruszyć się i szukać chleba.

Wiele go kosztowała robota niestosowna i upokarzająca, którą mu dawano; przecież zdobył się na odwagę potrzebną, i w dumie znalazł środek do zmniejszenia bez skalania. Robił ręką bez duszy, z gorzkim uśmiecikiem, owe malowania na murze, które kilka tygodni, nieznany nikomu, dla chleba podejmować musiał.

Nie umiał prosić, starać się, zabiegać; nie wiedział co począć z sobą.

Błądził jak obłąkany. Świeża strata matki, wspomnienia włoskie, obraz rodziny Batrani'ego, przejmowały go do głębi, wprawiały w rozpacz, zubożenie, odrętwiałość.

Nareszcie zebrawszy dostateczne fundusze, otworzył malarnię na Zamkowej ulicy, i kilka wierszy za opłatą wydrukował w gazecie, oznajmujących o przybyciu malarza, ucznia Bacciarellego, powracającego z Włoch. Tytuł ucznia Bacciarellego podyktowano mu życzliwie, gdyż w jego przekonaniu nie było wcale czem się chwalić; ale u nas dzięki cudzoziemskiemu nazwisku, Bacciarelli więcej ma dotąd sławy od Smuglewicza, Czeczowicza i Leksyckiego.

To ogłoszenie w gazecie, powtórzone razy kilka, zwabiło naówczas licznie zgromadzonych na Święty Jerzy obywateli litewskich.

Zbiegł się tłum do mieszkania malarza, otwartego dla wszystkich. Wielkie jego obrazy przywieszone z Rzymu, kopie cudnie wykonane z Rafaela i Dominiquina, którychby się sławny Guizzardi z Bolonii ani Michele Micheli florencki, naśladowcy starych arcydzieł, nie powstydzili, zwracały nawet nieznawców oczy.

Lecz serce mało nie pękło malarzowi, co przywykł do rzymskiego i florenckiego ludu, bez pojęcia sztuki prawie, bez kultury tak trafnie umiejącego sądzić dzieła artystów, tak nieodwołalnie wydającego wyroki—gdy usłyszał sądy i zdania swojej rodzinnej publiki.

Wybrane towarzystwo nasze niżej daleko stało w uczuciu i pojęciu piękna, w rozumieniu celu malarza, w ocenieniu jego wartości, niżeli włoscy lazzaroni.

Sluchając uwag, zapytał, uniesień swych ziomeków, Jan zmartwiał.

— U nas—rzekł do siebie smutnie—nie godzi się być artystą. Jest to samobójstwo; jest to rzucanie się dobrowolnie na pastwę dzikim zwierzętom cyrku, co szarpia cię nie czując, że w tobie mieszka duch boży, natchnienie święte.

Po tej próbie, przyszłość czarniejszą jeszcze ukazała się Janowi. Potrzeba było wracać do Włoch, lub malować dla siebie bez nadziei zrozumienia, ocenienia; ale z czego i jak żyć? Nie miał nawet komu wylać swoich cierpień i podzielić się nimi. Lepsze towarzystwo, do którego był przywykł za granicą, tu go odpychało jak rzemieślnika prawie; z niższyni, co go zrozumieć nie mogli, sympatyzować nie potrafił.

Kilka dni, w ciągu których za zasłoną, często czasem za drzwiami, lub siedząc na oczach, wysłuchiwał zdań o swoich obrazach, stało mu za wicki męczarni. Głosy to były prorocze na przyszłość. Twarz mu się zmieniła, oczy wciągnęły, policzki zapadły. A jeś ledwie miał co! Ostatniego dnia, nie mając już nadziei sprzedać co ze swoich robot, siedział zadumany i zrozpaczony, gdy karetą jakaś zatrzymała się przed domem.

Lokaje przybiegli naprzód, oznajmili wielkiego pana, który wszedł poważnie w kapeluszu na głowie, w płaszczu, z rękami w kieszeniach, i prosto skierował się ku obrazom. Jan także nie powstał na jego przyjęcie.

Hrabia zmierzył go oczyma, i powrócił czmychając do obrazów, suwając po nich osowiałym wzrokiem.

Śmierć Adonisa, przedmiot kilkakroć traktowany przez różne szkoły włoskie, obraz, w którym Angiolina była Wenereą, najglówniejszym był utworem Jala.

Wszysey się zgadzali, oddając mu największe pochwały. Angiolina była tu wyidealizowana i upiękniona jeszcze. Na Adonisa stal wzorem najprześliczniejszy Rzymianin. Pejzaż cudowny otaczał tę parę, której koloryt miły, harmonijny, złoisty i rysunek poprawny a lekki, zachwycali.

— Co za tę sztukę? spytał amator. Przypadłaby mi do salonu—pobożne obrazy nie w modzie—gdyby nie drogo! Wenus wcale nieczego!

— Ten obraz —rzekł Jan wstając powolnie—kosztował mię prawie rok pracy i pensyi królewskiej; jest to dzieło, na którem zakładam sławę moją; nie chciałbym się z niem rozstać, nie będąc pewien, że czy poznają się na niem tu ludzie czy nie, cenić go będą przynajmniej dla pieniędzy, które kosztował. Nie oddam go od tysiąca czerwonych złotych!

— *P'est!*

Hrabia osłupiał, popatrzał, plunął, zawinął się i odszedł.

Powrócił od drzwi, zmierzyl oczyma Jana i spytał:

— Waćpan oszalałeś?

Nieć nie odpowiedziałwszy, rzucił się malarz na krzesło.

Obrażony już hrabia, wskazał laską na kopię nie dbale zarysowaną Świętej Cecylii Rafaela, którą we Florencyi począł Jan dla siebie. Była ona niewykończona, ale rozmiary obrazu i świeży koloryt złudziły amatora.

— A ta sztuka? zapytał.

— Dwadzieścia.

— Dla czegoż to różnica tak wielka?

— To kopia i niewykończona.

— Dam dwadzieścia, ale mi ją skończysz.

— Na to potrzebały wrócić do Florencyi, aby sumiennie zrozić. Kończyć zaś tutaj, dorywczo, na pamięć, to popsnać.

— Nie nie rozumiem! to jakiś szalencie! rzekł pan, ruszając ramionami. Więc nie kupię?

— Jak mu się podoba.

Mruczając zszedł nienkontentowany amator, który tegoż dnia kilka szkaradnych płócien kupił, tak właśnie jak Stany Zjednoczone Ameryki kupują w Rzymie wszystkie szkarady, nie droższe nad cztery czy pięć szyllingów. Cena stanowiła tu obraz.

O południu mlekiem i bułką posilił się Jan i czekał.

Nadeszło kilka osób znów, ale przez prostą tylko ciekawość, nie dla kupienia czegokolwiek. Dotykano obrazów palcami, śmiano się, szydzono, porównywano, prawiono głupstwa i brudy, aż odeszli nareszcie.

Trafił się jeszcze amator drugi, który, jak sam powiadał, potrzebował obrazów *dla domu*, bo je wszyscy wielcy panowie mieli. Był to dawniej kuchmistrz pana Ogińskiego, który, gdy wielki pan się zrujnował, skupił po nim i wziął w długu znaczne dobra, i zaczął grać rolę pana.

Zachciało mu się z kolei obrazów. Sądził, że ich za bezcen dostanie, a o wartość wewnętrzną wcale mu nie chodziło, bo jęj nawet nie przypuszczał. Zniecierpliwiony jego napuszoną gadaniną Jan, gdyż kuchmistrz-amator chciał zakupić wszystko razem, a dawał tyle ile za jeden dać było można—prosić go musiał wreszcie, aby raczył pójść za drzwi. Kuchmistrz odszedł, trzaskając drzwiami i klnąc na całe gardło.

Nazajutrz też same sceny z tysiącznemi odmiana-

mł. Dwie tylko osoby w tłumie mógł Jan wyróżnić, i o nich w notatkach, z których czerpiemy, zostawił wspomnienie.

Z rana bardzo wsunął się człowieczek średniego wieku, zgarbiony, o lasce, w okularach, w futerku, aksamitnych bótach i ciepłych jedwabnych rękawiczkach. Błędem okiem powiódl po obrazach. Głowa jego wyłysiała, okryta była czapeczką czarną, której nie zdejmował.

Spojrzał po pokoju, jakby chciał zmierzyć nędzę Jana, i pociągnął nosem; popatrzał na okruszyny bulki i resztę mleka niedopitego na stole; potem dopiero wziął się do obrazów. Pilnie, szczelno, oglądał je z kolci, kiwał głową, robił minki, uśmieczał się, kłaniał, przecierał okulary, ale nie nie gadał. Niekiedy z ukosa spoglądał na malarza, i znów pilnie zdawał się badać obrazy, choć daleko pilniej przypatrywał się zbladłej twarzy Jana.

Po godzinnym prawie przeglądzie, który już zmierził artystę, zbliżył się nareszcie do niego, pytając o cenę kopii Madonny z Rafała, malteński, ale *con amore* wykończon, jakby dla oszukania znawcy.

— To bardzo śliczne! mógłbym to mieć?

— Rzecz mała, a ja do niej dość przywiązuję wartości.

— Doprawdy? ale cóż przecie za cena?

Jan powiedział ogromną, staruszek się cofnął, uśmiechnął i położył obrazek.

— Cóżby kosztował oryginał? zawołał.

— Oryginał sprzedany był w Rzymie za tysiąc funtów sterlingów, a kopia Andrea del Sarte za mało co mniej.

— Toż przecie Andrea del Sarte!

Jan się uśmiechnął.

— To też cena moja jak imię—mała.

Nieznajomy odskoczył, wrócił od progu.

— Gdybym się mu ośmielił ofiarować dziesięć dukatów.

— Jaby nie przyjął, rzekł grzecznie Jan.

— Piętnaście.

W téj chwili nędza grożąca przyszła na myśl Janowi, i rzekł rzucając się na siedzenie:

— Bierz pan, ale niech nie patrzę. Jest to pamiątka, z którą mi rozstać się trudno.

Malował tę kopię u miss Rosy.

Nieznajomy dobył woreczka, wybrał jak najsuenniej poobrzynane dukaty i położył na stole, wsunął obrazek pod futerko, i skloniwszy się grzecznie, odszedł zwyczajki. Tegoż dnia amator ów, handlarz, wziął 100 czerwonych złotych, sprzedając płótno za oryginał z galeryi królewskiej skradziony przypadkiem i skrycie wywieziony z Warszawy. Staruszek ten zajmował się wszelkiego rodzaju handlem i lichwą. Mieszkanki jego pełne było obrazów, ponabywanych na licytacyach, sprzętów starych, sreber, mebli, kosztowności i rupieci najrozmaitszych. Trochę znajomości, a wiele szarlataństwa i wprawy, dawało mu łatwość nabywania i korzystnego odsprzedawania obrazów. Młodzi panicze, starzy głupcy i biedne kobiety padali jego ofiarą.

Mając Jana w rękę, bo poznał niedostatek, postanowił okrzyknąć go za bazgracza, a sam korzystać ze sprzedaży jego robot, podkurzając je, naklejając na stare płótna i fabrykując cenne oryginały dla nieuków. Starzec ten bezdzietny i bez rodziny, skąpiec godny służyć za wzór dla Moliera, zastawił swoje sidła tak

zręcznie, że nikt już nawet nie zajrzał do malarni artysty.

On czekał tylko, póki nie wyjdą owe piętnaście obciętych dukatów, gotując się sam i przez swych wysłańców ponabywać resztę obrazów za lichą cenę.

Tymczasem kolledzy malarze, wydrwiwali przybyśza, nie widząc nawet jego robot, i wymyślając na niego najdziksze potwarze dla obrzydzenia. Jan w kilka dni widząc, że wystawa była próżna, zamknął się znowu, i postanowił nie dopuszczać więcej nadaremnie błota tylko nanoszących ciekawych.

Rzucił się do pracy, jak do jedynego lekarstwa na boleść, i dopóki stawało pieniędzy, malował od rana do wieczorn; zmęczony wychodził błąkać się nad Willą.

Od dwóch czy trzech dni, równie ubogi i biedny snyecz, krajowice z Włoch przybyły, a jako krajowice odepełniony wszędzie, gdy właśnie dla restauracyi katedry sprowadzono Włochów, przywiązał się z namiętną radością do Jana. Obaj razem będąc, mówili przynajmniej o Włoszech, i pocieszali się podzielając myślami. Obaj narzekali na powrót do ojczyzny, gdzie artysta, poeta, im bardziej artysta i poeta, tém pewniejszy murzeć z głodu, nędzy i niepoznania. Tymczasem bazgracze umiejący pochlebiać, plaszczyć się, uniażać i przemawiać jak kto chciał, robiąc co się komu podobało, bez pojęcia sztuki, bez myśli, bez sumienia i zapalu w wykonaniu, zbogacali się codziennie. Jan chciał wszystko co miał sprzedać i do Włoch powrócić.

— Będę żebrał—mówił—będę żebrał patrząc na cudne rminy, na areydziała mistrzów, mając z kim myśleć się i wzruszeniem podzielić. Zostanę *cierrone* przy jakiejś galeryi, stróżem jakiego pustego pałacu w Wenecyi.

W istocie nie go nie wiązało do kraju od śmierci matki. Kilka razy od czasu przybycia do Wilna, chodził ku oknom, gdzie widywał Jagusię, ale tam mieszkał już kto inny, a dziewczę znikło jak sen.

Różność charakterów tych dwóch ludzi łączyła ich silniej może jeszcze, niż podobieństwo przeznaczeń i jedna u obu miłość sztuki. Snyecz jak Jan dziecko ubóstwa, dziwnym trafem mając w ręku dłuto i młot artysty, opuszczony od swoich, wspomagany przez obcych dumnie i pogardliwie, z ową wzdargą, która odejmuje wartość nawet dobremu uczynkowi, poniewierający, zmuszony zaniknąć się w sobie, nabral niechęci ku światu, odrazy ku wszystkiemu co błyszczy, upodobania w samotności, niewiary w los i ludzi, które odznaczają prześladowanych, biednych, a w duszy czujących się godnymi lepszego czegoś nad to, co mają. Tytus Mamoniecz, jedyny potomek dawniej możnej i znaczącej w Wilnie rodziny, kosztem kilku dalekich krewnych i Chreptowicza, wyszedł i wyuczył się na snyecza. Ale wśród studyów swych we Włoszech nagle opuszczony, zapomniany, o chlebie suchym przywłókl się do kraju, do którego czuł nieopisaną tęsknicę. Powrócił; ale niedługo potem mówił z gorzkim uśmiechem Janowi:

— Nie było po co!

Nikt go nie znał, nikt nie chciał, nikt nie potrzebował.

Powierzchniowość wcale nieuprzedzająca, bo Mamoniecz był mały, czarny, o kwadratowym torsie, muskularnych rękach, które praca powiększyła jeszcze, szerokich ramion, szerokiego czola, dumnego szyderskiego uśmiechu, z jakimś wyrazem w twarzy, któryby Porta nazwał pokrewieństwem z bykiem,—powierzchniowość nie pociągala ku niemu. Spojrzenie prze-

nikające, bystre małych czarnych jego oczu, czasem przykre było jak uderzenie; a gdy mu towarzyszyło skrzywienie warg, cofnąć się było można od niego, tak srogim wyrazem przerażał. Lecz w innych chwilach też same oczy bywały słodkie, bywały zadumane i niewiune jak dziecięcia.

Tytus Mamonicz, pomimo najlepszego serca, szydził ze wszystkiego. Ubóstwo zniszczyło w nim, pozornie przynajmniej, w głębi najszlachetniejsze instynkta. O wygodę życia dbał bardzo mało, i żadnej do nich nie przywiązywał wagi; cały zajęty sztuką, miał ją za cel jedyny, a resztę za dodatki. Tych, co sztuki nie pojmowali, bez litości wskazywał hurtem na pogardę powszechną. Dobroczynny, ale raptusowo i jakby od niechcienia, w sercu pełen namiętności i uczucia, szydził, aby pokryć jak wiele cierpiał, jak czuł wiele. Życie, świat, ludzie, dla niego, mawiał, byli ziarnami piasku. Wytrwałość stoika, niekiedy cyniczna obojętność na przyzwoitości, piętnowały go także cechą mu właściwą. Jan przeciwnie pełen uczucia, ale przelewającego się co chwila z ust jego i oczu, choć zahartowany, przecieź łatwo przeciwnością się złamać dający, czulszy a mniej pamiętny, przy Tytusie twarzym i obojętnym przeciw losom, wyglądał na słabą niewiastę. Poprzyjaźnienie się ich, dla obu było wypadkiem wielkiej wagi. Nic o tém nie mówiąc, poprzysięgli sobie wieczny związek i przywiązanie niezłomne. Tytus rzekł w duszy: „Wszystko dla niego;” Jan: „Nie rozdzielimy się nigdy.” Ale gdy pierwszy rozważał już jakby przyjacielowi dopomódz, drugi tylko rozmyślał nad odkrywaniem codzień przymioty Tytusa.

Codziennie Tytus przychodził do Jana, a widząc go

zrażonym, przygnębionym, smutnym, sztydził po trosze dziwując się, iż tak łatwo zwalczyć się daje.

— Co u licha! mówię: masz chleb powszedni, masz dach, czas swój nikomu niezaprzędany, czujesz w sobie natchnienie, a skarżysz się? Czegoż ci u kaduka potrzeba?

— Wiesz? współczucia! poklasku! zachęty! rzekł Jan.

— A! dymu!

— Nie dymu, Tytusie! Pomyśl, ilu to wielkich ludzi stworzyło współczucie i oklaski ludu! Czyby Rafael stworzył kiedy swe łoże i freski, gdyby go następcą Świętego Piotra nie pokrył płaszczem swoim? Byłoby Michał Anioł rzucił swą śmiałą kopułę na najwspanialszy chrześcijaństwa kościół, gdyby nędza i zapomnienie marzyć nawet o tém dziele nie dozwalały? Wierz mi, los, traf, szczęście czy Opatrzność, jak je nazwać zechcesz, wiele wpływają na podniesienie człowieka. Wyobraź sobie, że pierwsze dzieło artysty przypada w chwili jakiego silnego zajęcia, jakiej nieuwagi spowodowanój wypadkami, i odepchnione zostaje zimno. On się zrażony zaprzęga do roboty mechanicznój, traci siłę, zapal i gaśnie. Iluż takich nieznanych upadło geniuszów!

— Być może, ale w naszójże moey temu zapobiedz? W naszój tylko nie zrażać się i pracować, nie szukać zasilku po za sztuką i żyć nią samą.

— Tak! daj na to siły! Jeżeli ich zabraknie, ginie.

— Nie! nie ginać, wytrwać i żyć! Z losu przeciwnego drwijmy. Righi dał mi modelować statuetkę, którą potem sam ma poprawić; będąc miał na miesiąc roboty i chleba. Jużem syt i szczęśliwy. A głową

tymczasem marzę, marzę, o mojej gruppie Herkulesa ze Lwem! Co za szczęście marzyć! Dni, noce, widzę tę swoją grupę przed sobą ze spiżu wylaną, na wspaniałej podstawie! gdzieś tak jak Perseusz Benvenuta! Lecz potrzeba mi gwałtem wzoru do Lwa rozjuszonego, a o to do licha trudno. Często mi przychodzi na myśl dać się schwytać w niewolę algerskim piratom, aby się dostać do pustyń libijskich. Tam pójść do schronienia lwicy, rozjuszyc ją, walczyć i schwytać do swojej grupy! Na Herkulesa dyable mi też brak wzoru. Naprzykład ręce! ręce! Wyobrażasz ty sobie ręce Herkulesa, napięte od wysilenia, muskularne, potężne, żelazne a piękne! Cały tors najeżony muskulami, a nieskarykaturowany przecięż niemi; twarz wyrażająca odwagę zimną! Obok złośliwe, gniewne, bezsilne miotanie się lwa w rękę bohatera! Co za przedmiot dla snycerza! jaka grupa! Odlana z brązu, postawiona gdzie w stolicy...

— Mój drogi! rzekł Jan: odlewaj ją w myśli, bo inaczej...

— W myśli! to właśnie najlepiej. Umrę z moim arcydziełem, pieczętując się nim i codziennie mu coś dodając. Ot, wiesz co Janie? i ty zrób podobnie. Utwórz sobie myśl wielką, pracuj nad nią, a świata zewnętrznego nie uczynisz... Wyobraź sobie naprzykład ogromne płótno jak jedna z uczt Weronezyusza, a na nim...

— Cóż na nim? spytał Jan.

— Co? ogromną jaką kompozycję, któraby życie ci kosztowała całe. Naprzykład wystawiłbym chrześcianina rzuconego na pastwę zwierzętom w cyrku. W górze Neron, widzowie, tłum głupi, drudzy oświeceni nagle męczeństwem, i spokój oblicza Świętych

nieczujących nic, i zażarcie bestyj głodnych, i tylu ludzi!... Co za sprzeczność, ile charakterów, jaki obraz!

— A gdzież go umieścisz?

— Na ścianie.

— Kiedy nie będzie nawet za co najać ściany, żeby go rozwiesić—kupić farb, żeby go odmalować!

— To zawieś go w duszy twojej, odparł Tytus. Tam mu będzie najwygodniej.

Jan nie zrozumiał spelną słów przyjaciela, i nie pojął, jakby obraz chrześcianina, męczennika zaludnił był pustynię jego duszy.

Rozprawiali tak codzień, a codzień Jan bardziej upadał na siłach.

Jednego dnia z wieczoru przyszedł snycerz weselszy niż wprzód, chodził po izdebce i świstał.

-- Co to? spytał: nie malujesz, Janie?

— Ochota mi odpadła! Dla kogo?

— Dla przyszłości, dla potomnych.

— A! daj mi pokój z nimi!

— Patrz co za różnica między nami! Jam znowu szczęśliwy. Robię za kilkaset złotych dwanaście posążków drewnianych do kościoła Karmelitów na Żmujdzi. Otoż będę miał drzewo! toż to wyrzucę z duszy tyle oryginalnych postaci! Prawda, że praca tania, że ledwie jest wyżyć za co, ale co mi tam! Chleb bielszy czy czarniejszy? trochę go mniej lub więcej? Nie samym chlebem żyje człowiek! Będę tworzył, będę marzył! Robię makiety, roję fizyognomię dla Świętego Piotra (zobaczysz, co za majestatyczną dam mu lysinę), dla Świętego Pawła, dla ukochanego Jezusowi Jana (będzie to twój portret), dla Jakóba!... Jest czém żyć długo i po królewsku! A teraz chodź-

my nad Wilię! Przechadzka jest dla mnie potrzebna, ruch, powietrze, ludzie, i tém się żyje także. No, chodź, mój gnuśny rozpaczliweze! i rozpogodź czoło!

To mówiąc, pociągnął go gwałtem prawie za sobą.

Wiosna była tak świeża, piękna i porywająca, że Jan nawet rozmarzył się, poglądając na nią. Mamonicz co chwila unosił się i wykrzykiwał, wskazując umyślnie rozmaite postaci, różne światła i cienie rzuty malownicze, dla zajęcia przyjaciela i ożywienia go. Wtém na zakręcie ulicy, która od dawnego zamku biegła ku Antokołowi, powóz wytworny ówczesną modą, fabryki sławnego Dangla, zwrócił ich oczy. Cztery piękne konie tarantowate, wolnym klusem umyślnie zapewne idące, przesuwwały się, pociągając za sobą spuszczoną karetę. Dwóch wygalonowanych służących stało z tyłu, w pośrodku siedzieli mężczyzna i kobieta.

Mężczyzna, młody jeszcze człowiek, blondyn, wytwornie bardzo ubrany, z wyrazem pańskiej obojętności na ustach i czole, tak zdawał się podobny do owego wojewodzica, którego Jan spotkał w drodze do Warszawy i któremu był winien umieszczenie u Bacciarellego, że malarz zastanowił się, wahając, czy ma się uklonić lub nie. Ale wojewodzie po upływie tylu lat mógłże go poznać? Oczy artysty padły mimowolnie na siedzącą obok kobietę, piękną jak piękny być może wzór, któryby obrał artysta do głównego swego obrazu. Siedziała w powozie z wdziękiem pięknej pani, co każdy swój ruch stara się uczynić idealnym; która wie, że jest piękną, i korzysta z tego. Zgięcie białej jej szyi, założenie rączek, zmurzenie oczu, niedbale nihy osunięcie ciała utopionego

w poduszkach aksamitnych, prawdziwie były malownicze. Niezbyt biała, z czarnemi oczyma, czarnemi brwiami zakreślonymi jakby pendzlem Chińczyka, z maleńkiemi usteczkami różowemi, zdawała się znużona, nie-rada sobie. Wzrok jój w przeciwną od mężczyzny biegł stronę; nuda, ten trąd duszy, widocznie ją po-żerała. Wzrok téj kobiety przez chwilę zatrzymał się na Janie, a Jan, spotkawszy go, doznał wzruszenia jakby od przebiegających po piersi płomieni. Kobieta odwróciła się za nim raz jeszcze. Mężczyzna obok siedzący, śledząc na co poglądała, odwrócił się także, spojrział uważniej na Jana, który sięgał do kapelusza, pozdrowił go uprzejmie skinieniem głowy z uśmiechem, i kazał zatrzymać konie.

Jan zbliżył się do powozu, od którego z daleka pozostał Mamoniez.

— Nie myślę się, rzekł dość grzeczenie wojewodzie: nie jesteś pan tym artystą, którego miałem przyjem-ność spotkać lat temu kilka i... polecić poezjowemu Bacciarlemu?

— Tak jest! odpowiedział Jan, rumieniając się, bo to wspomnienie w obec kobiety wpatrującej się w niego ciekawie i zalotnie, ugodło go okrutnie. Ja to jestem szczęśliwy, że mogę mu wynurzyć prawdziwą wdzięczność.

— Cóż się z panem stało? Nie widziałem go ostat-nieni czasy w Warszawie?

— Byłem we Włoszech.

— A! byłeś pan w Rzymie! A więc doszedłeś celu upragnionego! Lecz dla czegoś wróciłeś tutaj?

— Sam się teraz pytam o to siebie. We Wło-szech tęsknota do kraju wypędzała mnie do domu; w Warszawie zbyt wielu znalazłem artystów i umieścić

się było mi trudno. Sądziłem, że tu łatwiej mi pójdzie; lecz dotąd...

— O! domyślam się jak ciężko iść musi! U nas sztuka nie płaci. Proszę go jutro do siebie. Mieszkam w palacu Ogińskich, moich krewnych... O czwartej z południa.

Jan uklonił się i odstąpił; powóz ruszył.

Ta króciuchna scena, w ciągu której kobieta milcząca wpatrywała się z ciekawością nudy nowemu przedmiotowi mogącemu ją rozerwać, trwała chwilę; ale melancholizne, ezarne oczy pani poruszyły do głębi biednego artystę i zawróciły mu głowę, tyle w nich było wyrazu zaczepnego, tyle wyznań, tyle obietnic.

Jan w samej sile młodości, piękny jak Antinous, a nietknięty dotąd żadną gwałtowną namiętnością, prócz dziecinnego przywiązania do Jagusi, urodzonego w oknie a skończonego w kościele, mógł roić bez zarozumiałości, że choć raz w życiu znajdzie to, co drudzy spotykają co chwila: miłość. Ta myśl rozweseliła go i sił mu dodała. O kilka kroków spotkał się z Mamoniezem, który szydersko spojrzal mu w oczy, tak, że go zmieszał i zarumienił, a potem dodał z uśmiechem nielitościwym:

— Cóż tam, Jasiu kochany, cieszyni się?

— A! znalazłem protektora.

— Myślę, że i protektorkę razem. Widzę już twoje nadzieje, jak rybki pływające w przezroczystej wodzie. Ale biada ci, jeśli się tym rybkom unieść pozwolisz! Nie dla nas życie i stosunki, które zdają się tu czekać cię. Miłość téj pani może cię kosztować życie: ona znudzona tylko, tyś zapalony i zaufania pełen. W domownictwie panów wiele zapewne

zyskać możesz, ale drogo to opłacisz. Nie milszaż ci nasza swoboda, nasze poufale rozmowy, nad grzeczne ich wzgardy, dobrośliwe, protekeyonalne szyderstwa? O serce tam trudno!

— O! jak niesprawiedliwy jesteś! W ich świecie wszystko znajdziesz co u nas piękne: kobiety, uczucia, myśli. Bogaetwa ich czynią naturalnymi protektorami sztuki; bez nich my nie uczynić nie możemy, oni nasza podpora. Wojewodzie...

— Już nie wojewodzie, ale kasztelan, przerwał Mamoniez; opowiem ci zaraz jego historię. Ty jeden może ję nie wiesz, bo dotąd nie miałeś neha i oka, tylko dla sztuki i dla własnych swoich strapień.

— Zkądże ty wiesz jego historię tak dobrze?

Ja! co za dziw? Historia jego chodzi po nlicach, złapałem ją nie wiem gdzie i jak. Posłuchaj. Wojewodzie, dzisiejszy kasztelan, jest dzieckiem ostatniem możnej i znacznej rodziny; tego ci mówić nie potrzebuję, dość imienia. Imię to jest wypisane na mnóztwie pomników, grobowych wiek, i na zbutwiałych kartach naszych kronik. Jego ród i on sam w ostatku najlepiej przedstawiają historię panów w naszym kraju. Rodzina ta, jedna z najstarszych szlacheckich, późno się zjawia między panami. Istotnie wielkie zasługi wojenne jednego człowieka, jego zwyczajtwa głośne, ofiary majątkowe, czynne i śniące stanie przy władzy królewskiej, nagle podnoszą szlachcica zamożnego do rzędu panów, w XIV wieku czy później. Ten jeden wielki mąż, którego portret pełen majestatycznej powagi, choć niezgrabnie zrobiony, wczoraj razem oglądaliśmy w kościele... przypominasz?... wprowadza przodków kasztelana w koło starych magnatów, *proceres regni*. Z początku, jak zawsze, kwaśno go przyjmują.

ją; ale trzykrotne związki małżeńskie łączą go microzerwanemi węzły z wielkimi imionami Górków, Tęczyńskich, Leszczyńskich i kniaziów Litwy i Rusi. Synowie bohaterów są już *panami* i przyjętymi za takich... Aliści w panach, w synach magnatów, niknie geniusz ojcowski... Z ludzi użytecznych, panowie nasi wychodzą na niebezpiecznych; kupowani starostwami i darami, zapominają powoli, że obowiązkiem jest panów: ofiarą i myślą przed innymi przodkować. Jak skoro panowie umysłowo nie są pierwsi, nie są pierwsi enotami i poświęceniem, już po nich. Missya ich prowadzi do prawdy i postępu... W czasach reformy, dwóch z tej rodziny odpada od kościoła katolickiego. Rodzina dzieli się na dwoje: katolicy zostają przy królu, protestanci idą z opozycją, co była pierwsza zarodem beczładu i słabości. Pod pozorem zyskania coraz większych i wyłączniejszych dla stanu jednego przywilejów, protestanci podkopują tron, jedyne ognisko siły i spójności. Lecz słabe na pozór i nieszczęściami brzemiennie panowanie Zygmunta III, zwraca znowu prawie wszystkich odpadłych panów do katolicyzmu. Szlachta, co za ich przykładem przyjęła reformę, trzyma się jej szczerze; panowie rzucają lekko jak wzięli. Burzą oni zbory postawiane przez ojców, wznoszą kościoły i nawracają uroczyście, zwiększając liczbę penitentów wynownego i prawdziwie wielkiego Skargi. Od Zygmunta III począwszy, nie ma już w tej rodzinie wielkich ludzi; kłótnie rodziny z rodziną o procedencję, o majątki, o dziedziczki bogate, Bóg sam wie o co, spory domowe, w których szlachta gra smutną rolę — różnią panów między sobą. Dziadowie kasztelana nie stawiają półków na wojnę, aby nie iść pod buławę hetmana nieprzyjawniej im familii... Ojciec kasz-

telana jest już tak dalece panem, że nie poświęcić nie chce, i żyje sobie i dla siebie. Żeni się z Niemką wysokiego rodu, a tytuł wojewody wcale go już nie obowiązuje do niczego, prócz do zasiadania w senacie milcząco, dumnie i znudzono. Zcudzoziemczały przez wychowanie i żonę, jedyne syna wysyła za granicę, przebiera po francuzku, ze wzgardą przed nim o swoim kraju się wyrażając. Fryderyk, dzisiejszy kasztelan, wychowuje się w Paryżu. Wróciwszy do kraju, bawi się, baluje, szydzi z kontuszowych i lbów wygolonych, rnsza ramionami na widok chat brudnych i pyta: „Czemu ci niegodziwi chłopci *nie chcą* sobie budować domków porządných jak Niemcecy wieśniacy?” Bawi się, bawi, nudzi zabawą, i wyczerpany, zmęczony, gdy go kto wielką jaką myślą budzi, ziewa, przeciąga się i odpowiada: „O! dajcie mi pokój, *c'est assommant...*” Kasztelanowa, którą tylko co widziałeś, nie jest Polką.

— O! to widać! rzekł Jan: ma duszę.

— Wielka kwestya! Rodem z Paryża, zkąd owe nasze d'Arquien i tyle innych weszły. Wojewodzie wziął ją nikt nie wie zkąd; mówią, że jest znakomitemu urodzenia, ale zupełnie uboga. Rodzina jej przez dwór protegowana; król sam pisał się do intercyzy kasztelana, ale niemniej kasztelan sam wyprawę żonie sprawić musiał. Uboga Francuzica nudzi się w Polsce, i utrzymuje, że zrobiła z siebie ofiarę, idąc za bogatego pana polskiego, w kraj niedźwiedzi i lodu. Bo tak z Desportem jeszcze dotąd zowią naszą ziemię na Zachodzie i Południu. Kasztelan nudzi się żoną, która go zmęczyła; utrzymuje kochankę, równie podobną z Paryża wywiczioną za drugiej tam przeszłorocznój bytności.

— A! rozpustnik! zawołał Jan z ohurzeniem. Tak piękną mając żonę, tak niegodnie ją opuścić!

— Piękne kobiety póty są tylko pięknymi, póki się nie przejedzą, rzekł Mamoniec: stary to aksyomat. Ale nie widziałeś kochanki, kto wie czy nie piękniejsza od żony?

— Tyś ją widział?

— Sto razy. Wiedz, że zna ją całe miasto z daleka, z *widzini*. Jest to Aspazya, Lais, Fryna całą gębą. Piękna, wesola, dowcipna, a niedowiarzek, a cynik z niej opętany, niepojęty! Mnieby może ta dziwna kobieta lepiej się pewnie podobała i łatwiej chwyciła za rękę, od znużonej pani, która nawet śpiąc pamięta, kto ją rodzi i z kim się krewni. Tam uczucia za herbowną tarczą nie szukaj.

— Dopóki uczucie nie przejdzie w gwałtowną namiętność.

— Ono nigdy u nich w namiętność nie przechodzi. Wiesz, że są rośliny, co wybujawszy w liście, nie kwitną całkiem. Tak z niemi: zdaje się zbierać na pączki, ale z nich tylko nowe liście wystrzela.

Jan nie chcąc się uparcie sprzeczać, zamilkł. Chodzili długo, a Mamoniec zmienił przedmiot rozmowy. Gdy już wracali ku miastu, odezwał się, ściskając Jana za rękę:

— Mój Janie, jeśli chcesz iść do kasztelana, może ci dać zajęcie, okryć cię swoją protekcyą, ale zaklinam cię, strzeż się oczu Francuzicy! Pamiętaj, że tam mogą cię spotkać tylko zawody i próżne męczarnie, jeśli tak nicostrożny będziesz, że dasz się jak naiwne zwierzątko w pastkę spojrzenia złapać... To nie nasz świat! — powiedzmy to sobie dobitnie i pamiętajmy o tém.

Rozeszli się, a Jan z głową pełną marzeń, całą noc czuwał. Nazajutrz ubrany starannie, ledwie mogąc wytrzymać do czwartéj, stawil się w mieszkaniu kasztelana. Słudzy w przedpokoju grający w karty, nie powstali nawet gdy wszedł, a na jego zapytanie odpowiedzieli hardo, mierząc go wzrokiem badawczym i szyderskim:

— Jaśnie wielmożnego kasztelana nie ma.

— Naznaczył mi wczoraj tę godzinę.

— To ten jegomość — odczuwał się jeden z ludzi — co się z nami wczoraj spotkał na Antokoln. — Szerepetka! dodał ciszej.

— Cóż ztąd? rzekł drugi starszy. Pana nie ma, wróć waćpan jutro.

Odprawiony tak grubiańsko i zuchwale, wycierpiawszy pod wzrokiem sług pańskich więcej w jednéj chwili, niż przez kilka dni od własnych myśli, skosztowawszy próbki życia w tym świecie, do którego tak się wyrywał, Jan zbiegl ze wschodów, obiecując sobie nie powrócić więcej. Ale zaledwie był na dole, gdy starszy ów sługa niedbale wychyliwszy się z galeryi, zawołał:

— Proszę-no pana!

— Wszakże kasztelana nie ma w domu? spytał Jan.

— Jaśnie wielmożna pani prosi go!

To: *pani prosi*, runieniec wywołało na twarz Jana. Powrócił i wszedł do salonu przyciemnionego, materyą w kwiaty zlociste naprędce widać ociągnionego. Przepych dobrego tonu bez błyskotek, świeccidel i niesmacznych drobnostek, uderzył go na wstępie. Srebrny stolik o kręconych nogach, z zegarem prześlicznój ro-

boty, na perskim dywanie, stał przy sofie obitej aksamitem. Meble wszystkie podobną materią były okryte. Ogromne zwierciadła w srebrnych ramach zdobiły ściany. Szpinet palisandrowy, inkrustowany hebanem i perłową macicą, stał w kącie. Sama pani leżała raczej niż siedziała na sofie. Firanki zmniejszały światło dzienne w pokoju i przedstawiały ją w uroczym pół-mroku. Piękniejsza jeszcze, ale jeszcze bardziej znudzona pani, podniosła się nieco, wsparta na łokciu, uśmiechem i główki kiwnięciem niedbale pozdrawiając artystę.

— Mój mąż wyjechał — odezwiała się — jutro powróci; nie chciałam dozwolić na niegrzeczne odprawienie pana, i dla tego kazałam go prosić. Jutro z moim mężem widzieć się będzie można. Pan jesteś malarzem?... dodała po chwili milczenia, topiąc w nim oczy ciekawe i poprawując opuszczone pukle włosów.

— Tak jest, pani.

— Pan byłeś w Paryżu?

— Nie, ale w Rzymie i Florencyi, z kąd wracam.

— A!... i skrzywiła się trochę. Cóż pan maluje? spytała.

— Obrazy historyczne, pejzaże.

— A portrety?

— Rzadko, lecz...

— Chciałabym bardzo mieć swój portret dla krewnych w Paryżu; podjąłbyś się pan go?

— Z prawdziwą wdzięcznością.

Kasztelanowa nśmiechnęła się, widząc jak szybkie wrażenie robił wzrok jej na Janie. Była chwila milczenia.

— Tylko proszę mi nie pochlebiać: zrób mnie pan

smutną, znudzoną jak jestem; niech wiedzą w Paryżu, że mrę tu pod waszém zimném niebem.

Malarz nic nie odpowiedział, ale westchnął tylko.

— Kiedyż zaczniemy?

— Kiedy pani rozkażesz.

— A! ale to podobno potrzeba jakiegoś umyślnego światła; trzeba siedzieć nieruchomie, długo, niewygodnie, nudno.

— Niekoniecznie.

— Malowano mnie w Paryżu. Takem się znudziła! A! od tego czasu zbrzydłam tak bardzo, zmizerniałam! dodała, jakby do siebie mówiąc i poglądając ukradkiem w zwierciadło.

: Jan spuścił oczy.

— Więc jutro o południu, każ pan przynieść co potrzeba do malowania.

I skłoniła głowę; ale do obojętnych wyrazów, do tonu prawie wzgardliwego, przyłączyła wzrok tak wymowny, tak silnie przenikający, że Jan wyszedł oszalały. Nie wiedział, że często panie próbują wzroku *in anima vili*, jak strzelcy broni na wróblach i jaskółkach, czy też dobrze bije?... Artysta wziął za jutrzeńkę szczęścia, co było błyskawicą burzy.

Uszczęśliwiony, spotkawszy Mamonicza, opowiedział mu wszystko.

— A! co za wzrok! dodał, kończąc powieść:—ile on mówi, ile mówi!

— Wzrok — rzekł Tytus zimno — tyle tylko mówi, ile chcemy aby mówił. Wzrok kobiety jest najzwodniejszém ze zjawisk. Strzeż się, powiadam ci. To zalotnica, która przywiódłszy cię do rozpacz, śmiać się z ciebie będzie.

— Tytusie, nie masz serca!

— Janie, nie masz głowy! Wymów się od tego malowania, na Boga! wymów się, bo widzę jak zginiesz. Lepiej nie mieć roboty, niż wleźć w taką przepaść.

Jan ruszył ramionami zniecierpliwiony, ścisnął za rękę Tytusa i odszedł, nie chcąc dłużej słuchać jego przestróg.

Jutro przyszło nareszcie, a malarskie przybory odebrane wprzód do pałacu, oczekiwały na Jana. Słudzy w przedpokoju głupowatym śmiechem przyjęli go, nim wpuszcili do salonu, wpatrując się w dosyć biedne ubranie, chociaż to było jego najlepsze. Prawie pogardliwie kamerdyner wskazał mu drzwi, nie racząc ich otworzyć, i usiadł w oknie z powagą. Upokorzony Jan wszedł, ale w salonie nikogo nie było. Z drugiego pokoju odezwał się głos:

— Kto tam?

— Ja, pani.

— Cóż za ja? powtórzył głos.

Kasztelan ukazał swą upudrowaną głowę.

— A, to wy! prosimy... Kasztelanowa czeka na niego. Do roboty, do roboty! bo się znudzi.

I skinął na malarza, który po dywanie przeszedł do drugiego pokoju.

— Jestem sam trochę artystą, rzekł kasztelan; ustawiłem wam trójnog i wybrałem światło. Ale spieramy się od pół godziny z panią o kolor sukni i o akcesorya portretu.

W téj chwili ujrzał Jan panią siedzącą w krześle z książką w ręku i mdlejący wzrok zwracającą ku niemu ze skinieniem głowy i uśmiechem.

Ubrana była w ciemną aksamitną suknię, z koronkami białymi, różę miała we włosach. Slicznie jęł było.

— Możeż być lepij niż jest? zawołał Jan.

— A widzisz pan! odezwała się kobieta.

Kasztelan rzekł, rzucając się na siedzenie:

— Ja chciałem eię widzieć wesclj ubraną.

— Dla czego? Tu tak zimno, smutno i nudno w tym waszym kraju chmur i blota.

— Dziękuję! rzekł kasztelan. Światło wszak dobre? spytał.

— Wyborne.

— Widzisz, że się znam na tém. No, malujmy.

— O! malujmy, bo długo tak nie wytrzymam... uprzedzam, przerwała Francuzka. Godziny siedzę czasem z wlepionemi nie wiem gdzie oczyma nieporuszoną, ale gdy mi siedzieć każą! o! nie cierpię posłuszeństwa. *C'est plus fort que moi.* Proszę się śpić.

— Nicch pani jeśli chce, jak chce się porusza, rzekł Jan siadając — mówi, chodzi, to nie nie będzie przeszkadzało portretowi. Podłożę go i tak, a suknie i draperye w domu dokończę. Dziś może selwyce tylko rysy.

— A! jakżeś pan grzeczny! znów go rozbijając wzrokiem dodała kobieta. Pozwalasz mi się ruszać!

— Znalazł sposób, żebyś siedziała jak przykuta, szepnął kasztelan. No, zostawiam was, jadę do księcia biskupa na śniadanie.

Kiwnął głową i wyszedł.

Kasztelanowa pogoniła wzrokiem za mężem, ale wzrokiem obojętności, niechęci; skrzywiła usta jakby mówić ehciała: „Gardzę tobą, brzydzę się.”

A potém zwróciła tak uporeczywe wejrzenie na Jana, że rysującemu ręka się zatrzęsła. Słabym głosem rzekł do niej:

— Pani zapewne każesz się malować *à regard perdu*, to doda smutku wyrazowi twarzy. Prosiłbym więc o odwrócenie oczu w głąb.

— Boisz się pan? zawolala ze śmiechem.

Jan zaczerwienił się, ale nic nie śmiał odpowiedzieć.

— Nie, chcę mieć wzrok jak jest.

Ile razy spojrział malarz, tyle razy znalazł jęj oczy utkwione w sobie: wejrzenie to uporczywe, ogniste, przejinowało go do głębi. Męczył się jak Damokles pod mieczem, ocierał czoło i cierpiał widocznie.

— Gorąco panu może? spytała szydersko kasztelanowa.

— O! gorąco.

— Mnie tak chłodno! dodała ze znaczącem znowu spojrzeniem.

Jan rysował, ale co chwila ręka go zawodziła. Ował twarzy narzucony zręcznie, oznaczone usta i oczy nie zaspakajały go: mazał i poprawiał.

— Mogę się ruszyć? spytała.

— Jak pani zechce.

Poruszyła się zaraz, ale wzrok niezmiennie pozostał utkwiony w malarzu.

— Ile pan masz lat? spytała po krótkiem milczeniu.

— Dwadzieścia kilka.

— Długo pan byłeś we Włoszech?

— Chwilę, tak mi się tam lata wydaly krótkimi.

— Przysięgnę, żeś pan tam zostawił kogoś, po kim ci tęskno? nie prawdaż? spytała ze znaczącem wejrzeniem.

Ale na to pytanie lzy wytrysły z oczu Janowi, bo glaz na ementarzu Świętego Kaliksta przypomniał

mu się; poblądł, błagająco spojrział, a cicho odpowiedział:

— Nie zostawiłem nikogo.

— Panbyś nie kochał dotąd?

— Nie miałem czasu... kochałem, ale sztukę.

— Jak to! nigdy? ani razu? męczyła go nielitościwa

Francuzka.

— Nigdy.

— O! to być nie może!

— W mojem położeniu to naturalne.

— Pod waszém niebem, prawda! wszystko tu tak zimne!

— Nie, pani: tu gorące serca, ale głęboko kryją się płomienie.

— Doprawdy! szepnęła już szydząc. Przecież jak wulkan płomienie te kiedyś buchnąć muszą. Więc pan istotnie nie kochałeś?

— Nie, pani.

— I nie znasz co miłość?

— Domyślam się.

— Żałuję pana; tyle straconego czasu!

Znowu urwała się rozmowa, ale uparty szatański jej wzrok spoczywał na malarzu.

— Ona widocznie chce mnie o szaleństwo przypisać! zawołał Jan w rozpaczy.

— Jak panu imię? spytała.

— Jan.

— A nazwisko?

— O! panibyś go nawet nie wymówiła—barbarzyńskie. We Włoszech zwano mnie Rupiuti; niech to umiękczone nazwanie służy mi i tutaj.

— Pan masz rodzinę?

— Nikogo.

— Jak to! zupełnie nikogo? zawołała z niejaką radością: zupełnie nikogo?

— Matka moja umarła niedawno, noszę po niej żalobę. Był to ostatni węzeł łączący mnie z ludźmi. Teraz jestem zupełnie sam.

— Biedny! przerwała. Więc i wy umiecie kochać? Nie jestem więc w kraju zupełnie z uczuć ogolonym? dodała, widząc łzę w oku Jana. Ja nie znalazłam matki!

Spuściła głowę, ale rychło ją podniosła, uśmiechając się.

— Jestże życie bez uczucia? odparł malarz.

— A! dość na dziś! zerwała się kasztelanowa: dosyć roboty! dosyć siedzenia! Chodź pan, pokażę mn nasze obrazy. Ciekawyś?

Jan porzucił pendzle, okrył trójnog i poszedł za nią posłuszny.

Powolnym krokiem przeszła pani po pokojach, nprzedzając go i wskazując mu kilka płócien francuskiej szkoły Lesueur'a, Valentin'a, Poussin'a, portrety Largirier'a, które przywiozła z Francji. Jan, który Lesueur'a zwłaszcza cenil wysoko, unosił się nad śliczną kopią sławnego obrazu jego, świętego Brunona, pełnego uczucia, pełnego wdzięcznej a surowej prostoty.

— Pokażesz mi pan jaką swoją robotę?

— Po większej części przywiozłem z Włoch ogromne obrazy, które przenieść trudno, rzekł Jan; a przytém nie wiem prawdziwie, czy warte są pokazywania.

— Poznałeś pan mego Lesueur'a, mojego Poussin'a; nie wątpię teraz, że musisz pięknie malować. Chcę widzieć koniecznie jego roboty, proszę mi zaraz przysłać jedną z nich. Zaraz, zaraz! dodała nastając.

Na dzwonek kasztelanowój zbiegli się słudzy; a widząc ją z malarzem, stary kamerdyner nieznacznie pokiwał głową.

— Niech dwóch ludzi idzie do mieszkania tego pana — rzekła, wskazując na Jana — i przyniesie mi tu obraz. Jaki? spytała malarza.

— Ja idę z nimi.

— Nie, nie! powiedz pan tylko jaki przynieść mają?

Jan napisał karteczkę ołówkiem do Mamonieza (który na niego czekał w mieszkaniu), wybrawszy na pokaz prześliczną Magdalene, malowaną w Rzymie ze sławniej pokutnicy Anunziaty, i Narcyza w pejzażu, także dzieło w Rzymie zrobione, ale niewielkich rozmiarów.

Gdy z kartką wysłani ludzie śpieszą, kasztelanowa usiadła i wskazała krzesło nieopodal Janowi. Zamilkła, ale wzrok ntrapiiony z zajądlnością niewytlómaczoną zwracała na niego ciągle. Ile razy zadrżał pod nim, znudzona kobieta uśmiechała się do siebie. *Cela lui fait de l'effet*, myślała.

— Czemuż nie przynoszą? czy to tak daleko? rzekła po chwili z niecierpliwością dziecka. Ja tak nie lubię czekać!

— Dość daleko.

— Pan mieszkasz?

— Blisko zamku.

— Ach!

I znowu milczenie; a wśród milczenia spojrzenia jak błyskawice ciche, co uprzedzają burzę, z daleka na horyzoncie bez łoskotu przemykając się, latają raz po raz.

— Pan masz tu dużo znajomych?

— Nikogo. Jednego tylko jak ja artystę.

— A! ten zapewne, który z nim szedł, gdyśmy się spotkali?

— Pani go widziałaś?

— Ja wszystko widzę. Tu tak nudno, tak smutno, że szukam jakiejś mogę rozrywki. A! wyborna myśl! Chciałabym się uczyć rysować, zawolała; pan mnie będziesz uczył.

— Pan kasztelan pozazdrościłby mi tego; on sam...

— Od kilku lat nie trzymał ołówka w ręku.

Nareszcie po dość długim oczekiwaniu, usłyszano kroki na wschodach, i ludzie weszli, niosąc dwa obrazy. Jan pochwycił je i ustawił w świetle przyżwoitóm. Kasztelanowa porwała się z ciekawością, i spojrzawszy na Magdalencę:

— A! to arcydzieło! doprawdy! zawolała. Pan jesteś wielkim malarzem! doprawdy arcydzieło!

Ł. Podszła ku Narcyzowi.

— I to bardzo ładne, ja jednak wolę Magdalencę.

— A ja Narcyza, dodał kasztelan, który był wszedł niepostrzeżony, zaczął się i przypatrywał. Pańskie roboty! prawdziwie winszuję mu z całego serca.

— Na co mi się to tutaj zdalo!.. rzekł Jan: tu, gdzie artystów nie pojmują, nie cenią, nie potrzebują.

— O! pan masz słuszość. To kraj niedźwiedzi. Jedź do Francji, zobaczysz.

Zaczęto tak wychwalać obrazy, że kasztelan zakończył wreszcie pochwały żądaniem nabycia ich obu.

— Bardzom szczęśliwy, że się podobaly. Jest to rzecz małej wagi, ale gdybym nią mógł okazać wdzięczność, jaką panu winienem, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś pan przyjął je raczył...

— O! nie, nie! nie tak! żywo obruszył się kasztelan.

Nie słuchając odpowiedzi, Jan porwał za kapelusz i wybiegł szybko się ukloniwszy, słysząc tylko za sobą śmiechy obojga państwa, które, nie wiem czemu, trochę boleśnie odbiły się w jego duszy. Mamoniec czekał go w mieszkaniu, ale nie sam; przy nim siedział bardzo lichy ubrany, podeszłych lat człowiek, siwy, trochę łysy, w czarnej łątaniej sukni, z laską o galce kościanej w ręku. Fizyognomia jego wyrażała dobitnie niespokojną chciwość jakąś, żądze posiadania, samolubstwo w najwyższym stopniu; najmniej wprawny badacz charakterów nie mógłby się był omylić na nim.

— Pan Żarski, rzekł Mamoniec: dawny mój znajomy, jako amator chciał widzieć twoje obrazy.

Stary się uklonił pokornie, uśmiechnął i rzekł cicho:

— Piękne obrazy. Ale dokądże dwa z nich ztąd przy mnie odniesiono?

— Do kasztelana.

— Jak to! sprzedane? spytał; a ja właśnie chciałem mówić o Magdalenie.

— Tak, dodał Tytus: targniemy się o nią od dwóch godzin, odstępowaliśmy ją za 50 dukatów, i chodzilo tylko o pięć czy sześć, żebyśmy targu nareszcie dobili.

— Szkoda, bo już nie moja! przerwał Jan.

— A! musiałeś za nią i za Narcyza wziąć dość pieniędzy?

— Darowałem je.

— Pan je mogłeś darować! wykrzyknął stary.

— Zrobiłbyś to głupstwo? rzekł Mamoniec, ruszając ramionami. Śmiać się tylko z ciebie będą zamiast wdzięczności.

— Nicch się śmieją, nie chcę być winien nie nikomu. Kasztelan dopomógł mi, gdym był w potrzebie, zalecił Bacciarellemu, jemu może winienem pobyt we Włoszech.

— To coś innego, zapomniałem, rzekł Tytus. Pokwitowałeś się z procentem.

— Nie, rzekł Jan: tego nie czuję; jeszcze mu dłużny pewnie.

Mamoniecz śmiał się. Stary począł tchórzliwie dowiadywać się o ceny różnych robot Jana; nareszcie rzekł:

— Wie pan co! to wszystko drogie dla mnie. Ale zbieram roboty artystów krajowych, muszę mieć coś pańskiego... potrzebuję też dla krewnych pamiątki, aby ją im po sobie zostawić: nie mógłbyś pan zrobić ino-jego portretu? wszak malujesz portrety?

— Rzadko i niechętnie.

— Ja nie chcę tuzinkowego portretu, ale takiego, któryby był wypracowanym obrazem, dziełem sztuki, a razem pamiątką.

— Tém trudniej się go podjąć.

Mamoniecz przerwał:

— Maluj, będzie to studyum dla ciebie; głowa oryginalna; patrz jaki w niej charakter!

Stary się zarumienił.

— A pan Żarski — mówił Mamoniecz — za tak wypracowany portret zapłaci...

— Zapłaci! przerwał stary szybko i żywo. Zwykle portrety płacą się u nas sto złotych, a że ten ma być tak bardzo wypracowany, więc podwójną cenę.

— Tysiąc złotych, rzekł Jan.

— Zaraz widzieć, że pan z za granicy przybywa.

Ale, kochany panie, u nas tysiące nie sypią się tak za obrazy z rękawa; kraj ubogi.

— Nie zmuszam też pana, abyś się malował.

— Radbym mieć pracę takiego artysty jak pan! rzekł staruszek, przypochlebiając się.

— Więć maluję bez żadnej pretensyi.

— Jak to?

— Nie nie wezmę, z tym tylko warunkiem, że oryginal portretu będzie moją własnością, a kopię zrobię dla niego.

Starzec poskrobał się po łysinie.

— Widzisz! rzekł Mamoniec: czy ci nie wstyd! ty, tak bogaty!

— Ja bogaty! ja bogaty! ze strachem zawołał stary. Kto! ja?... potwarze!

— Tak śliczny mając zbiór obrazów...

— Ja nie mam obrazów.

— O! o! na co te figle z nami! przerwał Tytus rubasznie. Wiemy dobrze o twoich skarbach.

Żarski przerwał rozmowę pożegnaniem nagle, szepejąc na ucho Janowi:

— Jutro będę mu służył.

— Wiesz? rzekł Mamoniec, gdy wyszedł: jest to osobliwszy dziwak. Nabywa obrazy i zamyka je, aby ich nikt nie widział; nie pokazuje nikomu. W kufrach i pakach leżą u niego kosztowne, po klasztorach za kopie ponabywane płótna, pozwijane starannie, ponumerowane, które nie ujrzą bożego świata, chyba po jego śmierci... Ale powiedz mi, cożeś robił u kasztelaństwa?

Jan nie zataił nic przed przyjacielem; opowiedział mu wszystko.

— Żle! rzekł Tytus. Kasztelanowa chce się widać

ubawić twoim kosztem, a ty poddajesz się kapryswi jój jak dziecko. Wiele cię to kosztować może. Zakochanemu w niej (jeśli na nieszczęście tak być ma), wiesz co ci pozostaje? Udawać doskonałą obojętność, delikatnie szydzić i śmiać się, to jeszcze jeden sposób. Czulością tam nie wygrasz. Francuzica, pewien jestem, z mężem nawet śmiać się z ciebie będzie. Ty będziesz cierpiał, a ona tryumfowała jak z żaka. Żle się to skończy, przepowiadam ci. Stracisz czas daremno. Daleś im dwa obrazy, czy niedość? Przestań bywać dla jakiegokolwiek przyczyny.

— Nie mogę.

— Bądźże zimnym i obojętnym.

— Nie umiem grać komedyi; jestem, jakim mnie okoliczności uczynią.

— Bez trochy komedyi nie ma życia. Zresztą jak chcesz. Co się tycze tego starego, któremu dla ciebie zwerbowałem, nie puszczaj go z rąk; w najgorszym razie jest to jaki taki ratunek. Ten przynajmniej lubi obrazy i zna się na nich. Znawstwa nikt mu nie odmówi, a najdziwniejsza i prawie niepojęta, że się chowa z obrazami i pieści jak z klejnotami skąpiec. Całe dni przepędza nad niemi. *) Zdarzało mi się zastawać go nad zezerniałym Bambochem, wyczytującego mozolnie intencje malarza, zgubione efekta, zaczerwionie wyjściem dna lub niegodziwym werniksem; zdarzało mi się widzieć go klęczącego przed płótnami w ekstazie i zachwycie młodzieńca. Naówczas twarz mu się mieni, oczy łzami zachodzą. Zamknięty na klucz, rozwija swe ulubione obrazy i poczyną ich przegląd. Każdy z nich znany mu jest aż do najdrobniejszych szczegółów, od-

*) Postać historyczna.

czyszczony, oddechany i najstaranniej zachowany. Zdaje mu się, że oko obcego ujęłoby coś, przypatrując się jego skarbowi. On żyje w idealnym świecie sztuki, jak nikt podobno nie żył jeszcze. Pamiętam raz (bośmy z dawną znajomością), jak mi całą historię jednego obrazka opowiadał. W ubraniu osób, w ich fizyognomiach, w otaczających akcesoryach, znalazł na czem zbudować całą powieść, odgadywał życie, dokończył dzieła, rzekłbyś, że je sam stworzył, tak znalazł doskonale. Raz z kimś obojętnym i półznawcą trafiłem do niego na godzinę przeglądu, gdy nie zamknawszy się rozpatrywał obraz Czechowicza: „Przywrócenie wzroku Świętemu Pawłowi.” Półznawca rzucił od niechcenia zdanie, ledwie spojrzawszy z lekka na utwór. Żarski zaczerwienił się oburzony, gniewny, zły aż do passyi. Gniew rozwiązał mu zwykłe zamknięte usta: „Pau jesteś ślepym lub płochym!” zawołał. I nuż dopiero w zapale wskazywać piękności, dobywać myśli, tłómaczyć wszystko tak doskonale, że nam się wreszcie profanom oczy rozwarły, i ujrzeliśmy czegośmy się nawet nie domyślali. Przeczytać obraz, dobyć z niego myśli, nie jest to rzecz tak łatwa jak się zdawać może. Koloryt i rysunek łatwiej ocenić daleko. Szkoda mi twoich darowanych obrazów: Żarski poznał w tobie prawdziwego artystę, i byłby je dobrze zapłacił. Teraz trzymaj się tylko i nie mu nie dawaj darmo, musi w końcu kupić co z twoich robot, bo w nich widocznie smakuje. Oprócz tego, pomimo dziwacznej skrytości swojej, Żarski uchodzi za znawcę, a jego bytność u ciebie i zdanie o tobie, z którym się tać nie będzie, zjedna ci pewnie sławę. Bądź zdrow, ja idę dumać o swoim Herkulesie.

I wyszedł Mamoniez z czapką na uchu, śpiewając.

Jan w istocie skutkiem kilku słów rzuconych przypadkowo raczej niż nmyślnie przez kasztelana i Żarskiego, był na drodze do pewnej wziętości, daleko skuteczniej popełniony na nią niż wprzód wystawą swoich obrazów. U nas pospolicie zdanie gotowe bierze tłum i nie wdaje się w rozpoznanie jego słuszności. Jan nagle został znakomitym artystą dla pewnych ludzi, którzy wprzód nie wiedzieli co o nim mówić, ale razem wybuchnęła przeciw niemu silna i potężna zazdrość współubiegających się.

Gdy jedni chwaili, drndzy szydzili, tworząc baśnie dziwne o Janie. Ci powiadali go szpicciem czyimś (pospolity u nas bardzo zarzut), drndzy nieznany intrygantem pod obce podszytym nazwisko, inni oglaszali partolą niemniejętym, chwalcym się cudzą pracą. Najlichsi wzmagali się na najezarniejsze brednie. Wysokie ceny jego robót nazwano szaloną szarlataneryą; protekeyę kasztelanica wyśmiewano nicliłościwie, domysławiając się z góry, że najpodleń pozyskać ją sobie musiał artysta. Słowem, w chwili gdy się znajomym uczuł Jan w tym nowym świecie, poczuł zarazem na sobie pociski potwarzy, którą usłudni znajomi z gorliwością i pośpiechem co najrychleń mu podawali.

Z pogardą odwrócił się on od tych, którzy ndając grzeczność i pochlebiając chętnie, szkalowali go za oczyma. Ale zasłużona wzgarda wydała się im niewdzięcznością, okrzyczano go za dmnego.

Tysiące drobnych pocisków doganiały go wszędzie. Nędzny paszkwil przybito na kamienicy, w której mieszkał. Kasztelan odebrał list bezimienny, donoszący mu, że Rugpiutis *nie jest nawet szlachcic!* i kała jego pro-

gi! Cała historia ojca opisana była w tym liście z ohyd-
nemi dodatki. Rzucił go w ogień, nie doczytawszy,
oburzony protektor, z obojętnością wielkiego pana ru-
szywszy tylko ramionami. W ulicy namówieni chlop-
cy spotykali go co chwila, proponując mu pomalowa-
nie powozu lub drzwi. Przechodząc, spotykał złośliwe
spojrzenia wymierzone ku sobie. Ale wszystko to Jan,
w tej chwili cały zajęty kasztelanową, zniósł łatwo
i niewiele na tém cierpiąc.

Następne posiedzenia malarza wielce były pierw-
szemu podobne; w godzinie malowania zwykle mąż
odechodził, zostawali sami, rozmowa urywała się lub
ciągnęła powolnie; ale wzrok, w którego potęgę wie-
rzyła kobieta, trapił Jana bezustannie.

Wzrok ten, przy dość często obojętnej rozmowie, był
niepojętego znaczenia; oczy mówiły całkiem co innego,
co innego usta. Jan zrozumieć tej antytezy kobiecej
nie mógł. Czasem piękna pani deprowadzała rozmowę
do stromych brzegów, z których łatwo upaść było na
kolana i powiedzieć co się w sercu dzieje; ale w chwili
niebezpiecznej, zimno zrywała się z miejsca i stawiała
znowu kasztelanową. Były to męczarnie słodkie, ale
niemniej męczarnie. Jan śpieszył z portretem, sam
pomiarkowawszy nareszeć, że to do czego doprowa-
dzić go nie może krom bóleści zawodu, że służy za
jakąś igraszkę. Ale absolutna jak kobieta, pani El-
wira nie dozwalała pośpieszyć z robotą, nie pozwa-
lała wziąć portretu do domu, ciągnęła posiedzenia
umyślnie.

Jan u siebie, zupełnie z pamięci, odmalował jej
portret drugi, robiąc z niego fantastyczną głowę, ubra-
ną w laur i ze stosownemi akcesoryami. Był to ro-
dzaj Sybilli.

Oczy, co go prześladowały, zwrócił w niebo; lecz pomimo odmian stroju i pozy, podobieństwo było uderzające, a Mamonicz przypuszczony do oglądania arcydzieła, unosił się nad tém studyum, wyrazem przypominającym najpiękniejsze utwory Dominichina.

Czas ubiegał szybko, a Jan go tracił, codzień głębiej płatał się w miłość bez celu i bez wzajemności. To poehlebiał sobie, że może być kochanym i płakał nad dwojgiem nieszczęśliwych; to znowu dumnym niekiedy pożegnany wzrokiem, rozpaczał o sobie.

A Mamonicz mówił mu:

— Dopóki czas jeszcze, proszę cię, przestań tam bywać.

Kasztelan złośliwie zagadnął go kilka razy:

— Ten portret będzie arcydziełem, tak pan nad nim pracujesz!

— Ja od dawnabym go skończył, lecz nie jestem panem mojej roboty, słucham rozkazów.

— Ma chère, spytał mąż żony, dopókiż malować się będziesz?

— Dopóki mi się podoba. To mnie bawi, mam jakąś rozrywkę.

— Ale ten biedny malarz?

— Traci czas? Cóż? Zapłacimy mu...

I uśmiechnęła się.

W istocie, Janowi w téj porze dawano robotę w katedrze i do innych kościołów odświeżających się, poprawki w Pożajściu u Kamedulów, lecz musiał odmówić wszystkiego; a gdy kasztelan dopytywał go, czy ma jakie zajęcie inne? odpowiedział, że nie.

Mamonicz, który wiedział o wszystkiém, gniewał się na tę kobietę i klął ją z całego serca. Ale to wcale nie pomagało.

Jan szalał za nią. Od niejakiego czasu bowiem zdawała mu się czulszą, i wzrok zawsze ten sam padał na niego i palil, ale słowa już się z nim nie tak sprzeczały. Kilka razy dozwoliła mu powiedzieć coś dwuznacznego, nie oburzała się, nie wstrzymala, odpowiadała spojrzeniem. Jan czuł w piersiach pragnienie Tantala, a owoc z gałęzią blizki usi, umykał od rieh znowu. Portret nie był dotąd skończony: kasztelanowa wymagała poprawek i przerabian bez końca.

Już drugi miesiąc téj pracy Penelopy upływał, gdy Jan smutny w milezeniu przybył dnia jednego, i gotując farby, stał zadumany u trójnoga.

— Czegoś pan taki smutny? spytała go Elwira.

— Jestem jak zwykle.

— Więc pan zwykle smutny jesteś?

— Dziwi mnie to pytanie z ust pani: jestem sam na świecie, nie mam przyszłości, straciłem smak i zamilowanie w sztuce; nikogo, coby mnie kochał, kogo bym zajął, ktoby pomyślał o mnie!

— Bo pan sam nie kochasz zapewne nikogo.

— A! pani! godziź się tak szydzić?

— Zkąd ta myśl o szyderstwie? Pan sam zimny jesteś jak lód.

Jan zmilezał jeszcze, ale wzrok jego odpowiedział raz pierwszy z całą siłą na wymowne spojrzenie pani. Ona, nie odwróciła wejrzenia, lecz nagle wyraz jego się zmienił, brwi namarszczyły, zaiskrzyły oczy, i tak stała się dumna, wielka, nieprzystępna, że Jan zadrżał nad swoim zuchwałstwem. Spuścił oczy na płótno, lzy upokorzenia zwiły mu się pod powieką, gniew zawrzał w sercu. Spojrzał ukradkiem. Kasztelanowa znowu spoglądała na niego łagodaie, łzawo, obiecują-

co, zdawała się mówić: „Kocham ciebie, a ty mnie nie chcesz rozumieć!”

Nadzieja odpędzona, jeszcze raz wstąpiła w niego. „Omyliłem się, rzekł w duchu, to było złudzenie.”

— Dla czego pan tak upornie milczysz? spytała po chwili kasztelanowa. Chciałabym wiedzieć od pana, czy od czasu, jak się znamy, jak tu bywasz, prawdą jest jeszcze coś mi mówił pierwszy tu raz przybywszy: nie kochałeś nigdy? nie kochasz?

— O! teraz, kocham! zawołał Jan, nie mogąc się powstrzymać.

Pani Eliwira zrobiła minkę szyderską.

— Jakżebym rada widzieć tę, którą kochasz! Nieprawdaż, że malarz musi kochać piękną?

— Jak anioł piękna! a każdy ruch jej, każde skinienie, tyle ma nicopisanego wdzięku!...

— Musi być dobrą jak anioł?

— Jak anioł nieprzystępna i niepochwyciona.

— A! a! to coś wysoko oczy pańskie padły! Szkoda!

I zaciąwszy usta zamilkła, a Janowi aż zimno się zrobiło. Wstała z kanapy.

— Dość na dzisiaj, rzekła; jutro skończymy, nieprawdaż?

Powiedziała to zimno i dumnie, wychodząc obojętnie i z miną znudzoną wielkiej pani do salonu; ale we drzwiach odwróciła się i Jan spotkał wzrok łagodny, pociągający, którego już nie umiał sobie wytłómaczyć. W tej kobiecie były dwie dla niego: jedna czuła i kochająca, druga zimna i dumna. Wybiegł do domu. Mamoniecz go tam czekał, wysłuchał wyznań.

— Mój drogi, rzekł: nie oczywistszego nad to, że

żartuje z ciebie. Kończ robotę i porzuć ich do dyabła, uciekaj.

— Uciekaj! powtórzył Jan; dobrze ci to mówić na zimno. Już nie czas! Ja niczego nie żądam, tylko wzgardzony, choćby wyśmiany, być przy niej, widzieć ją codzień i cierpieć od niej. Bylbym jęj sługą, byle być z nią. Stała się potrzebą życia; widzę ją we snach, na jawie, w każdej kobiecie; w każdym oczach, co na mnie patrzą, widzę jęj wejrzenie; zapomniałem dla niej o wszystkiém. Wiesz, słuchaj, dla niej gotówbym być zrobić—podłość!

Tytus zbladł.

— Janie, rzekł: nie ręczę za samego siebie, żebym raz w życiu podobnemu jak twoje nie uległ szaleństwu. Ale jeśli to nieszczęście dotknie mnie, to chyba wyrokiem bożym, trafem nieprzewidzianym. Ty zaś sprowadziłeś je sam, dobrowolnie na siebie. Był czas cofnąć się.

Jan spuścił głowę smutnie...

— Już po czasie! rzekł: po czasie!

— Tak, teraz po czasie, ale jeszcze jest ratunek. Nie powracaj jutro, weź się do pracy, przedsięweźmięj co wielkiego, zakochaj się zresztą gdzieindziej, na uleczenie tęj choroby zrób sobie drugą. Będzie to rodzaj wezykatoryi.

— Mówisz na zimno, sądzisz bez serca, to niepodobna!

— A! biedny Janie, biedny Janie! otoż może i po całej twojej przyszłości! Trzebaż ci było samemu się wplątać?

Nazajutrz miał już wreszcie być skończony portret kasztelanowój. Jan z gorączkowym niepokojem wybrał się do niej. Zastał ją oczekującą już na niego, z książ-

ką francuzką w ręku, chmurną, smutną, roztargnioną. Kasztelana nie było.

— Kończmy, rzekła.

Jan stanął do roboty żywo, w milczeniu malował; ona czytała, ale po chwili odrzuciła książkę z niechęcią, i znowu wzrok swój zbójceki zwróciła namiętnie na niego.

— Prędko pan skończysz? pytała.

— Dzisiaj! Z tą myślą trudno mi się oswoić, tak przywykłem codziennie tu być, nie wiem co zrobić z sobą.

— Będiesz pan malował kasztelana dla mnie! do dała szydersko.

— O! to wcale co innego!

— Znajdujesz mnie pan tak dobrą do malowania? Mogłabym służyć za wzór? Jak to pochlebnie! Ale ja tak zbrzydłam, schudłam, zeczerniałam pod waszemi niebem szkaradnemi!

— A! pani aż nadto jesteś piękna!

— Kobietą nie może być nadto piękna, odezwiała się z uśmiechem i swoim zwykłym spojrzeniem:—*c'est son métier à elle.*

— Może być nadto piękna, bo często jej piękność i zwycięstwa są nieszczęściem drugich.

— O! takie nieszczęście! (rozśmiała się) to dzieciństwo!

— Dzieciństwo, które może kosztować życie!

— Cóż życie? spytała.

— Zapewne, rzekł malarz; a jeszcze życie jednego robaka!

Gdy to mówił, wzrok jego wypowiadał wyraźnie: „Ja cię kocham!” tego jednak w żaden sposób zrozumieć nie chciała kasztelanowa.

— Mówiłeś mi pan wczoraj, że kochasz? Przy-

znajże mi się kogo? Ciekawam widzieć Fornarinę mojego Rafaela.

— Moja Fornarina! nie nazywaj jej tak pani, to bóstwo! Ale tak wysoko i tak daleko odemnie!

— Juściż nie ja? nagle marszcząc się i powstając dumnie, a wzgardliwie i z góry mierząc go oczyma, zawołała kasztelanowa.

Jan oniemiał, skostniał, pendzel wypadł mu z ręki, nie śmiał ust otworzyć, ani poruszyć się nawet.

— Od pana do mnie—rzekła—zbyt daleko! Co to jest? pendzel upadł? pan się micnisz? Miałabym zgadnąć? Dziwnie się zapomniałeś! dodała ruszając ramionami. Kończ z łaski swojej bezczemnie; słyszę głos męża, mam z nim do pomówienia w salonie.

To powiedziawszy, zamknęła (pierwszy raz) drzwi za sobą, i śmiejąc się wyszła do salonu.

Janowi się zdawało, że świat przewrócił się do góry, że księżyc spadł na ziemię, noc w pośród dnia się zrobiła i skończenie świata było blizkie. W oczach mu pociemniało, uszy napelniły się wrzawą szyderskich głosów.

— Nie ja! nie ja! A? a?

Stał z pendzlem i drżał.

A z salonu wyraźnie, dobitnie, dochodziła go dość głośna rozmowa małżonków, w której panował zimny, szyderski głos pani kasztelanowej.

— Wystaw sobie Fryderyku, mówiła: ten twój malarz rzucił mi przez kilka dni tak osobliwsze spojrzenia, tak czule błyski swoich czarnych oczu, tak dziwne mi rzeczy prawil.

— A! pokochał się w tobie. *Il n'est pas dégouté*, śmiejąc się rzekł kasztelan. Biedny chłopiec!

— Kilka dni dawał mi do zrozumienia swoje za-

paly, ale dziś musiałam go skarcić wzrokiem. Co za zuchwalstwo niepojęte!

— O! patrzałaś bo na niego.

— Alboż mi patrzeć jak chcę nie wolno? Próbowalam siły moich oczu, bo jużem zwątpiła o nich.

— I rozpalilaś na węgiel biedaka.

— Co mi tam!

— Szkoda, ładny chłopiec! zimno rzekł kasztelan.

— Ładny! hm! juściż...

Reszty już Jan nie słyszał, puścił się ku oknu, które z gniewem nieprzytomny otworzył, rozerwał. Było to na pierwszym piętrze, a okno wychodziło w ogród; ale nad tem, że dwadzieścia łokci dzieliło go od ziemi, Jan nie zastanawiał się wcale. Cały w płomieniach gniewu, oszalały, upokorzony, skoczył z wysokości, upadł, uczuł ból wielki w nodze, i zwyciężając go, powłókł się do furtki, którą wylał raczej niż otworzył. Nieprzytomny przeleciał ulicę, i wbiegłszy do mieszkania swego, rzucił się na łóżko.

W pół godziny potem Mamoniecz i lekarz starali się przerwać silną gorączkę, w której leżał. Noga była zwichnięta.

W salonie tymczasem ciągnęła się dalej rozmowa. Wreszcie kasztelan, który jako oswojony z obyczajami swego czasu, nie mógł gniewać, śmiejąc się otworzył drzwi zamknięte, chcąc pożartować sobie z artysty.

Spojrzał wewnątrz, dokoła, i zobaczył tylko okno otwarte.

— Gdzie on jest? spytał żony.

— Jak to? alboż go nie ma?

— Chybaby się schował!

Kasztelanowa stanęła w progu.

— Nie ma go i okno otwarte!

— A! slyszal pewnie naszą rozmowę, wyskoczył i może się zabił—biedny!

Kasztelan podbiegł do okna, ale z niego nic nie zobaczył.

— Nic mu się nie stało, uciekł. *Mais c'est un saut périlleux.*

— Uciekł! uciekł! podchwyciła rumieniać się kobieta. Słyszal! ale to być nie może! Mówiłam cicho, nie prawdaż?

I powróciła na kanapę z udaną obojętnością.

— Trzeba mu jego rzeczy odesłać, portret zapłacić, dorzuciła zimno.

Mąż dość pogardliwie spojrzał na żonę, i usunął się milczący. Ta chłodna krew Francuzki oburzyła go raz pierwszy: nieuawidził jęj, nie miała serca.

Gdy się to dzieje w palacu Ogińskich, Jan leży między życiem a śmiercią. Doktor Fesz, z litości, a raczej przez chciwość (bo przewiduje, że niemający mu czém opłacić się artysta będzie musiał oddać swój piękny obraz Adonisa i Wenery), przychodzi, odwiedza go i kuruje. Mamonicz pocziwy nie odstępuye od łóża. W nocy modeluje makietki, pracuje za dwóch, bo Jan pozostał bez grosza i sposobu odzyskania zdrowia, nie mając za co się leczyć; gdyby nie Tytus, musiałoby go odwiedzić do szpitala. Ale Mamonicz rozumie obowiązki przyjaciela, posprzedawał wszystko co miał mieszkanię porzucił, przeniósł się do Jana, i ocalając jego obrazy, pracą go własną żywil i nią opłacał doktora.

Nazajutrz przyszły zaraz picniądze od kasztelana za portret, w rulon zawinięte; wyjeżdżał bowiem do Warszawy, zostawiając żonę w Wilnie. Ale nie wiedząc, czy Jan użyć ich zechce, czy odesłać nazad, nie mo-

gąc się go o to zapytać, Mamonicz tknąć ich nie śmiał. Jan ciągle leżał w gorączce. Doktor Fesz kiwał głową i przepowiadał długą słabość. Chwilami okropny szal i gwałtowne miotanie się na wszystkich opano- wywały chorego; chciał bić, dusić, męczyć, zarzynać i mścić się. Mamonicz porwanym z nienacka nożem o mało bardzo niebezpiecznie skaleczony nie został.

Po takich szalach i przystępach obłąkania, rozplywał się chory we łzach, gadał z matką, uniewinniał się przed Rosą, modlił za duszę Artura, pieścił z go- łębkiem i śpiewał piosnkę dziecienną. Z piosnki dzie- cinnéj kończył na *de profundis*.

Słabość przybierała tak dziwne cechy, a tak była uparta, że Tytus począł się lękać obłąkania na zawsze.

Wszakże dzień i noc od łoża nie odstępując, spro- wadzając najlepszych lekarzy, wysechłszy i wybladłszy od tych strapień, współczucia, bezsenności, pracy, po- witał jednego ranka świtającą przytomność! Co to była za radość!

Jan budził się po długim śnie i wyrzekł najprzód:

— Zabiłem ją?

— Ty, kogo?

— Ją!

— Nic.

— Cóż się stało?

— Nic się nie stało; leczysz i chorujesz, a ja cię pilnuję, masz się lepić!

— A ona?

— Kto taki?

— Elwira?

— Nie wiem prawdziwie! zapewne musi próbować oczu na kim innym.

Zawstydzony Jan umikł.

Tytus miał jeszcze dość siły, żeby go rozweselać; a gdy widział znaczne polepszenie, przyniósł mu pieniądze kasztelana i list jego.

— Nietknięte? spytał Jan; ale ja tak długo chorowałem! nie było pieniędzy!

Tytus nic nie odpowiedział.

— Przeczytaj mi ten list.

Kasztelan w kilku grzecznych słowach żegnał zimno Jana, przeproszał go za długi czas stracony, i oznajmował mu o wyjeździe swym do Warszawy na sejm. Sto dukatów było w papierze.

— Myślałem—rzekł Tytus—że przez dziwactwo zechcesz je odesłać nazad; dla tego nie śmiałem ich ruszać, wołałem sam się wyprzedać.

Uściskali się w milczeniu.

— Prawda, rzekł Jan: odesłać muszę; napisz słów kilka i zwróć te pieniądze. Napisz, że przyjąć ich nie mogę; adresuj do kasztelana. Takie męki, jakie wycierpiałem, nie placą się złotem! rzekł z westchnieniem upadając na łóżko.

— Ale powinny być całego życia nauka, dodał Mamonicz. Jesteś przytomny, możemy mówić otwarcie. Teraz ja potrzebuję gwałtownie spoczynku, czuję się trochę zmęczony, nie mam grosza, potrzeba coś sprzedać. Mnie już nie nic zostało, kolój na ciebie. Żarski chce kupić jeden obraz; bierz co daje, bośmy gwałtownie potrzebni, mamy długi, wczoraj sprzedałem ostatni płaszcz i zegarek.

— Sprzedaj co chcesz, ja do niczego nie przywiązuje wartości, a pieniądze odeszlęj.

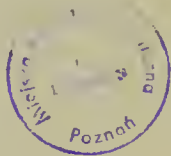
Tytus poszedł sam, i w ręce marszałka dworu złożył list z pieniędzmi, prosząc o rewers, który mu dano.

Jedna przyjaźń ubogiego może tyle wycierpieć, tyle

ofiar zrobić, i tak się niemi nie wynosić, jak milczący uczynił Tytus dla Jana.

Przychodzącego do zdrowia pocieszał, rozweselał, starał się zwrócić znowu ku sztuce, roił wędrówki artystyczne do Włoch, na brzegi Renn, obiecywał towarzyszyć, a unikał wspomnienia kobiety, która tak srodcze zraniła serce łatwowieznego Jana.

(Dokończenie w tomie jedynastym).









Biblioteka Raczyńskich

JIK 1462



JIK1462